

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

WOLNA
SOBOTA

Gorsze niż
samochody?
**POTWORNE
E-ROWERY** ▶ 28



**WYSOKIE
OBCASY**
Zoja Skubis
zdobyła Manaslu
wbrew facetom

GAZETA

wyborcza.pl

wyborcza

NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLI



**CZY
AMERYKA
NADAL
BĘDZIE
WIELKA** ▶ 4-13

FOT. REUTERS/BRIAN SNYDER, VINCENT ALBAN

Wydaje Wyborcza Sp. z o.o.
nr indeksu 3448198



**Polski
botanik
odnalazł
biblijny raj** ▶ 31

**Palikot
i Ziobro
w państwie
przemocy** ▶ 23

**Czy
samurajowie
się bali**
▶ 44

FOT. SHUTTERSTOCK



**Szef
ukraińskiego
IPN: Polacy,
przesadzacie** ▶ 46

Agnieszka
Kublik

PiS ma nowy Smoleńsk

Bóg, Jezus i Najświętsza Maryja właśnie zostali wpłatani w brzydką, prymitywną aferę kryminalną. Ksiądz Michał Olszewski, prezes Fundacji Profeto, od marca 2024 siedział w areszcie jako podejrzany w śledztwie dotyczącym Funduszu Sprawiedliwości. Siedziały też dwie urzędniczki Funduszu. Urszula D., była dyrektorka departamentu FS, ma zarzut przekroczenia uprawnień i niedopełnienia obowiązków. Karolinie K., zastępczyni dyrektorki departamentu, śledczy postawili zarzuty poprawiania projektu oferty Profeto tak, żeby spełniała warunki formalne konkursu o pieniądze z resortu.

Ksiądz i urzędniczki właśnie wyszli z aresztu. I rozpętała się histeria. Pod aresztem rozmodlony tłum, pieśni religijne, święte obrazki. Pełno Boga, Chrystusa Jezusa i Matki Boskiej. Mieli aresztowanych wspomagać w celach. Czy ci wierni spod aresztu wiedzą, jak poważne zarzuty spoczywają na Olszewskim?

Bo część z tych 68 mln szła na prywatne wydatki księdza. Były też wpłaty dla jego rodziców i dla spółki, w której udziały ma jego adwokat i wiceprezeska fundacji.

Trójka oskarżonych wyszła nie dlatego, że sąd ich uniewinnił, chcą wierzyć wierni, ale dlatego, że uznał, że dowody zostały zebrane. Wyszli nie z powodu modlitw, a kaucji – 350 tys. zł

wpłacili sercanie za księdza, po 350 tys. za dwie urzędniczki Michał Rachoń z TV Republika.

Już latem, podczas demonstracji pod Sejmem „w obronie torturowanego księdza Olszewskiego”, został on porównany z ks. Jerzym Popiełuszką i prymasem Wyszyńskim. TV

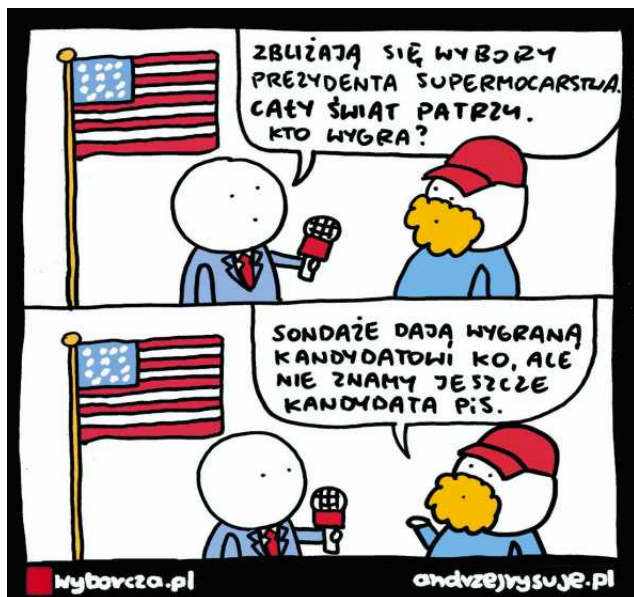
Republika atakowała na paskach: „Reżim Tuska torturuje księży jak w PRL”, „Tusk z Bodnarem jak Niemcy – torturują księży”. W październiku Olszewski otrzymał Nagrodę Społeczną bł. ks. Jerzego Popiełuszki. Gdy wierni protestowali pod prokuraturą, zestawili urzędniczki z „Inką”, nastoletnią sanitariuszką AK zamordowaną przez władzę ludową. Prawicowe media pokazały rysunek jednej z nich – to Olszewski z cierniową koroną, z rękami złożonymi do modlitwy i w kajdankach.

Katolicki portal „Opoka” pisał: „Nękanie ks. Olszewskiego i dwóch urzędniczek – nóż w kieszeni się otwiera, ale i ręce składają się do modlitwy. Do modlitwy za ofiary obecnego »przywracania praworządności« i za po raz kolejny rozdieraną Polskę. Święty Janie Pawle, błogosławiony Stefanie Wyszyński, błogosławiony Jerzy Popiełuszko, módlcie się za nami. Panie Urszula Dubejko i Karolina Kucharska, kruche fizycznie, ale mocne duchem, dały wzruszające świadectwo wiary”.

W dniu wyjścia Olszewskiego z aresztu i w kolejnych dniach taką narrację – o męczennikach, którzy udowodnili, że warto walczyć o wiarę – sprzedawały stacje TV Republika i wPolsce24.

Tak zaczyna się nowa partyjna religia. Prymitywne oszustwo nabiera religijnego wymiaru i nim się spostrzeżemy, wyrośnie kolejna, po smoleńskiej, partyjna sekta. Tak PiS chce swoje przestępstwa – korupcję na najwyższych szczeblach władzy – i swoją klęskę przemienić w sukces. Ugruntować więzi ze swoją niecyniczną częścią elektoratu. ●

Andrzej rysuje



Londyn

Wszystkie dzieci nasze są



FOT. REUTERS/HOLLE ADAMS

710 - tyle, ile młodszych niż rok ofiar izraelskich ataków w Strefie Gazy - śpioszaków rozpięły matki i babcie z kilku brytyjskich organizacji kobiecych pod Pałacem Westminsterskim. Wcześniej na Moście Westminsterskim zawisł transparent „Kobiety dają życie. Inwestujcie w opiekę, nie w ludobójstwo”. **Więcej w tekście Mariusza Zawadzkiego „Izrael spełnił wszystkie warunki. Dlaczego nadal nie ma sankcji?” na Wyborcza.pl/magazyn**

Kod dostępu
do Wyborcza.pl

Wiadomości z kraju
i ze świata
czytaj teraz na
wyborcza.pl

**UŻYJ
BEZPŁATNEGO KODU
i bądź na bieżąco
przez cały weekend ***

76JK1F5

- 1 Wejdź na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
- 2 Wpisz kod w polu „Kod promocyjny”
- 3 Podaj adres e-mail, na który przyznamy dostęp
- 4 Aktywuj dostęp w ten weekend

* Oferta tylko dla użytkowników, którzy w ostatnim roku nie posiadali prenumeraty w serwisie Wyborcza.pl. Dostęp do serwisu w dniach 2-3.11.2024 r.

Liczba dnia

8034

LATA
musiałby podróżować
samolotem zwykły czło-
wiek, żeby wyemitować
tyle zanieczyszczeń, co
Elon Musk przez rok

Iga Świątek

Czy maszyna do wygrywania odpoczęła

Nie grała dwa miesiące, od porażki w ćwierćfinale US Open. Zrezygnowała z turniejów w Azji, co kosztowało ją pozycję liderki WTA. Wcześniej to ona najgłośniej mówiła o przemęczeniu zawodniczek, o tenisowym kieracie, o życiu miesiącami w hotelu i samolocie. Ją to dotykało najmocniej: była najlepsza na świecie, więc grała do końca, do finału.

W tej tenisowej trupie latającej z miasta do miasta nie była sama. Spędzała całe dni z trenerem Tomaszem Wiktorowskim, psychologką Darią Abramowicz, specem od przygotowania fizycznego Maciejem Ryszczukiem, sparringpartnerem Tomaszem Moczkiem. Gdyby wygrywała, pewnie nie czułaby potrzeby zmiany. Ale rywalki nauczyły się jej tenisa, a ona coraz częściej na korcie była zdenerwowana, sfrustrowana, pokrzykująca na trenera. Już nie była maszyną do wygrywania. Trenera zwolniła jednak niespodziewanie – nie oczekiwała do końca sezonu, choć wiadomo, że po US Open jest już



FOT. KUBA ATYS / AGENCJA WYBORCZA.PL

w fazie schyłkowej. Rozstanie było akсамitne, choć publiczność wnioskowała - po minach lub gestach - że to psycholożka była „winna”.

Do podsumowującego sezon turnieju WTA Finals w Rijadzie Polka przystąpi już z nowym trenerem. Belg Wim Fissette w trzy tygodnie nie odmienił gry obrońcy trofeum, ale zobaczymy, czy nadal jej nową dynamikę. Iga Świątek ma mocne rywalki, w Rijadzie gra osiem najlepszych tenisistek sezonu: Coco Gauff była w finale Australian Open, Jessica Pegula dotarła do ostatniego meczu US Open, a Czeszka Barbora Krejčíková to mistrzyni Wimbledonu.

Pierwszy mecz Polki – w niedzielę 3 listopada o 13.30. ● **Marcin Wesołek**

Wiersz Ludwik Janion

Alibi na życie
Czarna papuga już wie
Nic nie zabierzesz skrzeczy
Przekręca łeb w lewo w prawo
Nie spojrzysz prosto w twarz
A wie
Nic nie zabierzesz
Ziarno ci zostawię
Otwarte okno ci zostawię
Firankę ci zostawię
Nic nie zabiorę
Jeszcze tylko to alibi
Do pełna
Do pełna wypełnić
Alibi na życie
Żebyście mi wybaczyli
Wy i papuga

Lider liderów nadal w grze

A może jednak nie Trzaskowski

Jeśli dziś partie wskażą kandydatów na prezydenta, to spieszmy się ich kochać, bo mogą szybko odejść do politycznej rezerwy

Wielowieyska



W największych partiach wciąż trwają intensywne debaty, kogo wystawić na prezydenta.

KO ma ogłosić kandydata 7 grudnia. Do tej roli aspirują Rafał Trzaskowski oraz Radosław Sikorski. Od dawna mówi się, że na nominację największą szansę ma prezydent Warszawy. Ale minister spraw zagranicznych się nie poddaje. Buduje wizerunek w mediach społecznościowych, udziela się publicznie bardzo często i liczy, że ostatecznie badania wykażą, że to on w II turze ma większe szanse na pokonanie kandydata PiS.

Pojawiły się sondaże wskazujące, że w starciu z kimś „od Kaczyńskiego” Trzaskowski może liczyć na lepszy wynik niż Sikorski. Badanie IPSOS przeprowadził we wrześniu. Zwolennicy ministra wskazują, że to sondaż robiony nie tyle przez PO, ile przez otoczenie prezydenta Warszawy, a wypuszczanie ich do mediów ma utrwalić jego pozycję. – Sama Platforma Obywatelska nie przeprowadzała ostatnio sondaży, ostatnie są z sierpnia – mówił także „Wyborczej” szef MSZ.

Zwolennicy Trzaskowskiego odpowiadają, że owszem, to oni robią standardowe cykliczne badania. Ale nie ważne, kto robi, ważne, że robi w kręgu KO, więc wynik jest miarodajny. Ale to, że sondaże korzystne dla prezydenta Warszawy zaczęły krążyć tak intensywnie, mógł być interpretowany w jeden sposób: rywalizacja Sikorskiego i Trzaskowskiego weszła w nową fazę. I ten drugi wcale nie jest pewny, że nominację ma w kieszeni.

Wszyscy czekają więc na wyniki kompleksowych badań, które zostaną przeprowadzone w listopadzie – a będą to pogłębione analizy, wskazujące również oczekiwania wyborców wobec kandydata. KO liczyła, że 11 listopada PiS ujawni swoje nazwisko i będzie mogła wykorzystać to w swoich sondażach jako punkt odniesienia. Ale niewykluczone, że Jarosław Kaczyński opóźni ten moment.

W koalicji rządzącej panuje atmosfera niepewności. Co może się wydarzyć na początku przyszłego roku? Czy dynamika zdarzeń, np. większe zagrożenie zewnętrzne, nie wywróci wszystkich planów do góry nogami? Być może – słyhać w kulisach – dziś kogoś wskażemy, a za trzy miesiące... Dlatego niektórzy politycy KO wciąż nie wykluczają startu samego Tuska.

A tymczasem Władysław Kosiniak-Kamysz zaapelował do premiera, by sięść do stołu i wspólnie wskazać jednego kandydata koalicji. Tusk odpowiedział, że każdy zgłasza swoją nominację, a potem w II turze cała koalicja popiera tego polityka, który się w niej znajdzie. Sprawa jest więc zamknięta.

Ludowcy boją się poprzec Trzaskowskiego w II turze, woła Sikorskie-



• Sierpień 2021, Rafał Trzaskowski i Radosław Sikorski, wówczas europoseł, na Campusie Polska Przyszłości w Kortowie

go, który jest mniej lewicowy. Albo samego Tuska. Sikorski zawitał nawet do gabinetu wicemarszałka Sejmu Piotra Zgorzelskiego, co było szeroko komentowane. Zwolennicy Sikorskiego: wielkie halo, minister był u ludowców tylko raz.

Jednak PSL miał popierać Szymona Hołownię, a tu nagle promują Sikorskiego. Wystąpienie Kosiniaka-Kamysza w Polsce 2050 odebrano jako wbić noża w plecy współkoalicjantowi. Ostatnie zamieszanie związane z faktem, że dziennikarze nie mogli marszałkowi Sejmu zadać pytań na korytarzu sejmowym, też było z tym związane. Marszałek nie chciał odnosić się od razu do wystąpienia Kosiniaka-Kamysza. Dopiero potem zwięźle skomentował: „To propozycja już nieaktualna”.

Napięcie między PSL a PL2050 rośnie. Tu także robiono wewnętrzne badania, z których wynikało, że jeśli Trzecia Droga zyskuje 10 proc. w sondażach partyjnych, to niewiele ponad 2 proc. dostaje PSL, a około 8 proc. – Polska 2050. Ludzie od Hołowni żartują, że jeden procent zbiera Kosiniak, a drugi – Kamysz. Miłości w Trzeciej Drodze nie ma. Są natomiast podejrzania, że ludowcy w związku ze słabymi notowaniami już myślą o dalszej przyszłości. W 2019 r. lewarowali się ugrupowaniem Pawła Kukiza, w 2023 r. – partią Hołowni, a co będzie w 2027? Może, kusząc Sikorskiego, myślą o zbudowaniu jakiejś formacji centroprawicowej wewnątrz Koalicji 15 października, do której przyciągną konserwatywnych polityków z KO i z Polski 2050? A może PiS się rozpadnie i frakcja Mateusza Morawieckiego przyjdzie do PSL?

W KO patrzą sceptycznie na takie koncepcje. Przewidują, że PSL po prostu będzie musiał wejść na jej listę. Partia Tuska w sondażach się umacnia. – Póki co propozycja Kosiniaka-Kamysza to jakiś krzyk rozpacz – słyhać w sejmowych kulisach.

Najzabawniejsze, że część PiS – i to zarówno Przemysław Czarnek, jak i Mateusz Morawiecki – patrzy łakomie na PSL, wierząc, że można z ludowcami kiedyś zrobić koalicję. Tyle tylko, że poparcie na poziomie 2-3 proc. nie jest zbyt atrakcyjne, więc ta miłość do PSL wkrótce osłabnie.

No a co z Hołownią, którego PSL zdradził? Wciąż zastanawia się, czy startować, czy będzie w stanie zanotować niezły wynik. Jeżeli rywalizowałiby Trzaskowski z Czarnekim, to

przestrzeń dla lidera PL2050 byłaby większa. Czarnek jest bardzo radykalny, elektorat umiarkowany go nie lubi. Hołownia mógłby się tym pożywić w pierwszej turze, bo również na tle Trzaskowskiego byłby bliżej centrum i prawicy.

Hipotetyczny scenariusz wygląda tak: Hołownia przestaje być liderem PL2050, stery przekazuje Katarzynie Pelczyńskiej-Nałęcz, on sam startuje w wyborach i przesuwają się lekko w prawo. A ministra funduszy i polityki regionalnej, była ambasadorka w Rosji, ma zadanie utrzymać przy PL2050 wyborców centrowych, którzy chcą związków partnerskich czy liberalizacji ustawy antyaborcyjnej. Ale to jedna opcja. Druga: Hołownia w zamian za rezygnację ze startu zostaje marszałkiem do końca kadencji. Jest jeden kłopot: lider Lewicy Włodzimierz Czarzasty, który miał przejąć pałeczkę w ramach rotacji, na to się nie zgadza. Trudna układanka.

W czasie, gdy Sikorski spotykał się ze Zgorzelskim, Trzaskowski poszedł do Hołowni. Po co? Strona Hołowni: żeby namówić Szymona, by nie startował. Strona Trzaskowskiego: no nie. Rafał by mu nigdy tak nie powiedział. Obie strony się zgodziły, że spotkanie skończyło się bez konkluzji. Ale w tych rozmowach dwie kwestie są ważne. Po pierwsze – czy marszałek Sejmu wystartuje, a po drugie – czy, jeśli wystartuje, w drugiej turze zdecydowanie poprze Trzaskowskiego. Bo w 2020 r. takiego mocnego wsparcia ze strony Hołowni nie było. Skutki znamy.

Ale największe problemy z kandydatem ma PiS. Tusk przynajmniej wie, jaki ma wybór: dwóch bardzo popularnych polityków, a który ma większe szanse, decydują badania. Natomiast Jarosław Kaczyński wciąż zachodzi w głowę, którą opcję wybrać. Kandydaci młodzi i okazali, o jakich prezes PiS marzył i nawet kilku takich znalazł, nie zabłysnęli w badaniach – nie są zbyt rozpoznawalni i mają za mało charakteru. Kaczyński chciał więc wysunąć byłego szefa MEN Czarnka za pomocą

W Pałacu Prezydenckim u Andrzeja Dudy kręcą głową: co też w tym PiS się wyprawia

praw wyborów, ale to napotkało opór wewnątrz PiS. Bo Morawiecki powiedział, że on też wystartuje w prawyborach – a to oznaczałoby polityczną jatkę.

W różnych partiach są silne wewnętrzne napięcia, ale w PiS jest to wyjątkowe zjawisko, podszyte wręcz nienawiścią.

Kaczyński wciąż myśli o przeformowaniu Czarnka, bo ta kandydatura jest mu bliska emocjonalnie. Chce ostrej polaryzacyjnej kampanii, ciągle wierzy, że to polaryzacja przynosiła mu zwycięstwa. To fałszywa diagnoza. Przyczyny kolejnego zwycięstwa PiS w 2019 r. oraz Andrzeja Dudy w 2020 są inne, a mianowicie: stabilna sytuacja, zadowolenie Polaków z ich kondycji materialnej oraz silne przywództwo w Zjednoczonej Prawicy, a alternatywą była opozycja słaba i podzielona. Ale Kaczyński nie lubi nakładać maski polityki stonowanego. To sprzeczne z jego naturą i wymaga od niego zbyt dużego wysiłku, dlatego woli Czarnka. Jednak z drugiej strony prezes nie chce też pęknięcia w partii. A Morawiecki się buntuje, grozi, że po wyborach pójdzie na swoje, uważa, że jego eks-minister zbyt się umocni i sięgnie po władzę w PiS.

Więc dla rozładowania atmosfery prezes orzekł: znów robimy badania. I tak wszyscy od lewa do prawa badają się na wszelkie sposoby, by wybrać optymalny wariant. A jednocześnie na Nowogrodzkiej i tak trwa burza mózgów, jakby tu przeformować Czarnka, unikając buntu w partii.

W Pałacu Prezydenckim u Andrzeja Dudy kręcą głową: co też w tym PiS się wyprawia, sami nie wiedzą, czego chcą. Co ogłaszają, to odwołują. Miał być PiS-owski odpowiednik Campusu Przyszłości. Odwołali. Miała być wielka demonstracja pod ministerstwem sprawiedliwości. Przyszło niewiele osób, a na dodatek uwaga opinii publicznej była skupiona na powodzi. Miał być kongres, to przesunęli go na inny termin, a gdy już go urządzili, mało kto się nim przejął, bo Tusk w tym samym czasie ogłosił zawieszenie prawa do składania wniosku o azyl przy granicy polsko-białoruskiej. Miały być prawyborry. To zaskoczyło działaczy w terenie, bo nikt ich nie uprzedzał. Ale gdy już się z tą myślą oswoili, to Kaczyński je odwołał. I wreszcie miał być kandydat ogłoszony już 11 listopada. Ale już w PiS się przebąkuje, że jednak może w innym terminie, bo trudno podjąć decyzję.

Panuje chaos. Na dodatek ulubiona prezenterka prezesa, Danuta Holec, pozwoliła człowiekowi od Kukiza, biznesmenowi narodowcowi Markowi Jakubiakowi wygłosić manifest wyborczy na antenie TV Republika. W stacji, która ma zastąpić Kaczyńskiemu TVP! Jakubiak zapowiedział udział w wyborach prezydenckich i zbiera sobie poparcie w telewizji Tomasza Sakiewicza, która wszak stanowi główny kanał komunikacji z elektoratem PiS. Czy Nowogrodzkiej się to podoba? Jasne, że nie. Kaczyński jest wściekły, tym bardziej że Sakiewicz w swoich social mediach intensywnie promuje informację o starcie Jakubiaka jako wielki news.

Już tylko nieliczni wierzą w geniusz prezesa i oczekują, że jak w 2015 roku nagle wyjmie królika z kapelusza, kandydata-cud, którego nikt się nie spodziewał. • Dominika Wielowieyska



TO NIE BĘDZIE KONIEC ŚWIATA

O ile Trump uzna, że sojusze jednak się opłacają

Mateusz Mazzini

Ozy Trump będzie dbał o sojuszników? Jasne, że tak. Jeśli się go zapytacie, czy partnerstwo międzynarodowe jest ważne – odpowie twierdząco. Da wam każde gwarancje bezpieczeństwa, o jakie poprosicie.

Jeremy Shapiro, szef waszyngtońskiego biura Europejskiej Rady ds. Stosunków Międzynarodowych (ECFR), być może brzmi drwiąco, ale zachowuje pełną powagę. Gdy rozmawiamy, jest lipiec, środek lata – tyleż upalnego, co nerwowego. Na ukraińskie miasta spada coraz więcej rosyjskich bomb, a Kreml już otwarcie wspiera politycznie, finansowo oraz mniej otwarcie militarnie autokraci z Iranu i Chin. Prezydenturę w Unii kilka dni wcześniej przejął Viktor Orbán, po czym demonstracyjnie zignorował wspólnotowe procedury, wyjeżdżając na tournée do Kijowa, Moskwy i Pekinu. Jego emisariusze podkreślają, że jako jedyny może doprowadzić do zawieszenia broni, lepiej mu więc nie przeszkadzać.

Shapiro, były dyplomata w administracji Obamy, jest jedną z gwiazd konferencji ECFR w Madrycie. Dopiero co opublikował głośny raport o kierunkach polityki zagranicznej USA pod rządami Trumpa.

Analitycy przestudiowali najbliższe otoczenie kandydata Republikanów, dzieląc wpływowych polityków i ekspertów na trzy grupy. Pierwszą nazwali ograni-

czaczami, *restrainers*. Shapiro tłumaczy, że do tego grona zaliczają się osoby uważające Amerykę ostatnich dekad za nadaktywną. W drugiej administracji Trumpa nacisk na sprawy krajowe ma być dominujący, koniec z odgrywaniem roli policjanta dla planety.

Słowom dyplomaty towarzyszy na dużym ekranie zdjęcie J.D. Vance'a, wówczas jeszcze kontrowersyjnego senatora z Ohio, dzisiaj już republikańskiego kandydata na wiceprezydenta. To on, bidok z ciężko doświadczonego przez globalizację „pasa rdzy”, w którym w początkach kariery upatrywano rooseveltońskiego społecznika, jest zdaniem ekspertów czołowym ograniczaczem – i rychło potwierdza tę opinię. Prezentuje własny „plan pokojowy dla Ukrainy”, który brzmi tak, jakby napisali go propagandyści Kremla.

Szybko jego pomysły zaczną przenikać do retoryki samego Trumpa, który na finiszu kampanii przestanie się krygować. Wołodomyra Zełenskiego oskarży o prowokowanie Rosji do agresji na Ukrainę i z pogardą nazwie „dobrym sprzedawcą”, sugerując, że ów jeździ po świecie i wyłudza pieniądze dla Kijowa na konflikt, który sam sztucznie podtrzymuje.

Sam Vance krytykował amerykańskie zaangażowanie w konflikty na Bliskim Wschodzie, a swoją wiarygodność próbował podbijać własną służbą wojskową. Na papierze wygląda, jakby wiedział, o czym mówi, bo w szeregach marines spędził cztery lata – a sześć miesięcy w Iraku. Jednak o tym, że nie uczestniczył tam w walce zbrojnej, tylko pracował dla wojskowych służb prasowych, dzisiaj już raczej nie wspomina.

Druża kategoria z raportu Shapiro zawiera tych polityków, którzy domagają się nowej hierarchii priorytetów w polityce zagranicznej. *Prioritisers* chodzi o wzmocnienie konsensusu, który istnieje w Waszyngtonie już teraz: to Chiny stanowią największe zagrożenie dla bezpieczeństwa USA, militarnie i go-

spodarczo. Na kierunek chiński musi więc zostać przerwane jeszcze więcej zasobów niż dotychczas – kosztem zaangażowania Waszyngtonu w Europie.

Taki zwrot miałby mieć zdecydowanie większy zasięg niż słynny „The Pacific Pivot”, zwrot ku Pacyfikowi, wykonany za czasów Obamy. Trzeba też doprecyzować, że niekoniecznie chodziłoby w nim o ewentualną obronę Tajwanu przed chińską inwazją. Amerykańscy analitycy i dyplomaci, zwłaszcza ci, którzy z Trumpem już pracowali, podkreślają na każdym kroku, że to polityk transakcyjny. O sprawach zagranicznych nie myśli jako o skomplikowanej sieci wielostronnych zależności, ale jak o bilateralnych negocjacjach biznesowych.

Działa w takich sytuacjach wyłącznie krótkoterminowo – chce ubić interes z tym, z kim akurat siada do stołu, bez względu na konsekwencje dla szerszego układu sił na świecie.

H.R. McMaster, były wojskowy, który służył u Trumpa przez rok jako główny doradca ds. bezpieczeństwa, w niedawnej książce o wymownym tytule „At War with Ourselves” zawarł anegdotę o tym, jak były prezydent ochoczo potwierdzał światopogląd Xi Jinpinga w czasie wizyty w Pekinie. Chiński lider narzekał, że wspólne ćwiczenia amerykańskich i południowokoreańskich wojsk destabilizują region i mogą sprowokować na przykład Kim Dzong Una do niepotrzebnej eskalacji militarnej. Trump kiwał głową z aprobatą. Choć obecnym przy tej rozmowie amerykańskim doradcą skręcały się kiszki, był z siebie bardzo zadowolony. Mógł powiedzieć potem przed kamerami, że zrobił coś, czego nie byłoby w stanie zrobić Demokraci – dogadał się z chińskim przywódcą.

Niespodzianka goni zaskoczenie – tak było prawie za każdym razem, bez względu na to, czy Trump spotykał się z Kimem, czy z którymkolwiek z europejskich polityków. W dodatku, nawet jeśli w trakcie rozmowy był miły i zadowolony z jej przebiegu, potrafił



• **Listopad 2017, prze-wodniczący Xi Jinping wita prezydenta Trumpa w Pekinie**

FOT. THOMAS
PETER-POOL/GETTY
IMAGES

syla amerykańskich żołnierzy do walki w zagranicznych konfliktach, chcieli zgłosić go w 2019 r. do pokojowego Nobla.

Głównym głosem *prioritisers* jest Robert O'Brien – a to akurat postać, którą należy brać na poważnie. Zawodowy dyplomata, u Trumpa pracował dwa lata jako główny doradca ds. bezpieczeństwa. Przed nim na tym stanowisku byli Herbert Raymond McMaster i John Bolton, obaj odeszli w niesławie, dzisiaj krytykują dawnego szefa w mediach i autobiograficznych książkach. O'Brien, dbający o wizerunek spokojnego, wyważonego eksperta, siedzi cicho – prawdopodobnie dlatego, że – jak spekulują amerykańskie media – ma ambicję wrócić do dawnej roli w Białym Domu. Gdyby tak się stało, nieco zblakłaby teza, że w drugiej administracji Trumpa „nie będzie już dorosłych w pokoju”.

Pierwszy tego sformułowania użył redaktor naczelny „The Atlantic” Jeffrey Goldberg. Na początku roku jego redakcja wydała nawet specjalny numer, w którym najważniejsi autorzy magazynu – George Packer, Franklin Foer, David Frum i Anne Applebaum – opisywali potencjalną rzeczywistość w przypadku kolejnego zwycięstwa Trumpa. Była oczywiście rzeczywistość możliwie najczarniejsza, a składały się na nią: koniec demokracji w Ameryce (z potencjalną wojną domową), porzucenie NATO (zawarte w tytule eseju Applebaum) oraz, co za tym idzie, terminalna choroba całego liberalnego systemu międzynarodowego.

I owszem, zdecydowana większość spekulacji o potencjalnych nominacjach w drugiej administracji Trumpa potwierdza tezę, że lubi brać na pokład politycznych amatorów, miernych, ale wiernych. Na razie są one jednak właśnie tym – spekulacjami. A w gigantycznym szumie medialnym wokół amerykańskich wyborów poważne kandydatury, takie jak O'Briena, cały czas się gubią.

On akurat ma dość duże zasługi dla Ameryki. Na Chinach zna się jak mało kto i w przeciwieństwie do wielu przekonanych o własnej nieomyślności i przenikliwości trumpistów ceni ekspertyzy doświadczonych współpracowników. W „Peril”, jednej z bestsellerowych książek o czasach Trumpa, legenda amery-

nie przygotowuje grunt pod ewentualną nominację. W wakacyjnym numerze magazynu „Foreign Affairs” opublikował głośny, intelektualnie solidny esej o założeniach polityki zagranicznej dla drugiej administracji Trumpa. Niektórzy w otoczeniu republikańskiego kandydata uznali ten ruch za buńczuczny, bo O'Brien sam umieścił się w Białym Domu, ale były (niewykluczone, że także przyszły) doradca ds. bezpieczeństwa prezydenta USA przedstawił pomysły, z którymi można się nie zgadzać, ale nie można ich od razu odrzucić, uznając za absurdalne.

Chciałby więc O'Brien „pokoju poprzez siłę”, cytując przypisywaną cesarzowi Hadrianowi frazę o konieczności przygotowania się na wojnę, by dojść właśnie do pokoju. Nie brzmi to jak doktryna wycofywania się zewsząd i natychmiast, wręcz przeciwnie – dyplomata chciałby większej manifestacji siły militarnej USA w kluczowych miejscach na świecie.

Później w wywiadzie dla Margaret Brennan w popularnym programie „Face The Nation” w CBS precyzował, że mocarstwowe ambicje Chin powstrzymać można tylko prężeniem mięśni. Rekomendowałby więc chociażby przeniesienie sporej części wojsk USA właśnie do Azji Południowo-Wschodniej. Więcej marines na Guam, na Filipinach, nawet na Alasce. Zdecydowanie mniej w Niemczech – gdzie zdaniem O'Briena są całkowicie zbędni, bo Niemcy „przestały być już krajem frontowym”. Z tym twierdzeniem akurat trudno się nie zgodzić, bo w ostatnich latach militarny środek ciężkości Europy przesunął się dalej na wschód. Jeśli już gdzieś „nasi chłopcy” mają w Europie stacjonować, to w Polsce, ewentualnie w Czechach i Słowacji – stwierdził O'Brien.

Znów: nie brzmi to jak porzucenie struktur sojuszniczych, a co najwyżej reorganizacja strategicznych priorytetów. Ameryki powinno być więcej, nie mniej – mówią Republikanie z grupy *prioritisers*. Tyle że niekoniecznie tam, gdzie jest od lat. Zdaniem O'Briena to właśnie brak widoczności amerykańskich wojsk na kluczowych obszarach strategicznych ośmielił Putina do inwazji na Ukrainę. Mówi wprost to, co po cichu szepczą nawet dyplomaci i eksperci związani z Partią Demokratyczną oraz liberalnymi elitami USA: ro-

W otoczeniu Trumpa jest wielu specjalistów, z których poglądami zgodziłaby się większość dzisiejszych europejskich przywódców

chwile później zmienić zdanie. Inny jego były współpracownik, były dyrektor ds. komunikacji Białego Domu Anthony Scaramucci, wspomina wizytę w Waszyngtonie Teresy May.

Ówczesna premier Wielkiej Brytanii polecała za ocean odwiedzić Trumpa, ze spotkania wyszła zachwycona, bo prezydent chwalił ją i jej rząd. Już w czasie jej lotu powrotnego do Londynu Trump stał przed kamerami, narzekając na ubogą ofertę współpracy gospodarczej, którą przedstawiła mu strona brytyjska.

Co to wszystko ma wspólnego z kierunkiem chińskim i nowymi priorytetami amerykańskiej dyplomacji? Bardzo dużo, bo pokazuje, że Trump nie musiałby koniecznie umierać za Tajwan, mimo że – patrz punkt „transakcyjność” – Amerykę łączą z wyspiarską republiką nie tylko wartości, ale przede wszystkim poważne interesy, na czele ze strategicznymi technologiami chipowymi zapewniającymi prymat czołowym producentom w rodzaju Apple'a. Bo gdyby dostał – patrz punkt „transakcyjność” – z Pekinu gwarancje, że terytoria zależne od USA i amerykańskie interesy w Azji Południowo-Wschodniej pozostaną nienaruszone, naciski Pekinu na Tajpej w ogóle by mu nie przeszkadzały. Dopóty, dopóki nie wybuchłby regularny zbrojny konflikt.

Xi Jinping byłby gotów taką obietnicę złożyć, bo wie, że Trump by w nią uwierzył. I może by nawet jej dotrzymał – co byłoby ogromnym triumfem wizerunkowym dla Republikanów i samego prezydenta. Oto skupili się na amerykańskich obywatelach i firmach, oszczędzili narodowi niepotrzebnych strat w ludziach, a sam Trump jest gołębiem pokoju, który konfliktom zapobiega albo je kończy, zamiast wywoływać.

To wyobrażenie Trumpa o sobie zresztą nie uszło uwadze niektórych republikańskich działaczy, którzy za to, że stawia się „wykorzystującym” Amerykę słabszym sojusznikiem, w ich optyce petentem, i nie wy-

• **Mateusz Mazzini**

(ur. w 1990 r.) – reporter, socjolog, latyno-amerykanista. Absolwent Oxfordu, studiował także w Kordobie i Bilbao oraz na University College London. Pisze o krajach Ameryki Łacińskiej, globalnego Południa, wydarzeniach na zachodzie i południu Europy oraz o europejskiej skrajnej prawicy. Nominowany do Grand Press za reportaż prasowy w 2020 r. Autor książek „Koniec Tęczy. Chile po Pinochecie” oraz „Włochy prawdziwe. Podróż śladami mafii, migracji i kryzysów”. Współprzewadzi program „Wider View” w TVP World.

kańskiego dziennikarstwa Bob Woodward bardzo dokładnie opisał kluczową rolę O'Briena w przekonaniu prezydenta do wprowadzenia całkowitego zakazu podróży obywateli USA do Chin w pierwszych dniach pandemii koronawirusa.

O'Brien chińskie realia rozumie doskonale i z tego powodu postrzega Państwo Środka jako największe zagrożenie. Pierwsze depeche o bliżej nieokreślonej chorobie górnych dróg oddechowych, która zbierała tragiczne żniwo w Chinach, O'Brien pokazał ścisłemu gronu doradców Trumpa już w styczniu 2020 r. Opierał się na sieci kontaktów swojego zastępcy Matthew Pottingera, innego ważnego człowieka w republikańskiej społeczności dyplomatycznej.

Pottinger służył w marynarce wojennej, a wcześniej był dziennikarzem. Zaczynał w Reutersie, potem był szefem pekińskiego biura dziennika „The Wall Street Journal”. To on informował O'Briena nie tylko o sytuacji epidemiologicznej w Chinach, ale też o cenzurze informacyjnej, którą zastosował Xi Jinping. O'Brien wtedy zrzucił maskę stonowanego eksperta. W czasie spotkań w Białym Domu dosłownie walił pięścią w stół, pacyfikując zwłaszcza Mike'a Pence'a i sekretarza skarbu Stevena Mnuchina. Obaj kategorycznie sprzeciwiali się jakimkolwiek restrykcjom wobec Chin, twierdząc, że natychmiast odbiją się negatywnie na amerykańskiej gospodarce i wywołają kryzys polityczny. O'Brien się nie ugiął – i dał Ameryce sporo czasu na przygotowanie się do pandemii.

To, że sam Trump całkowicie ten czas zmarnował, to już inna sprawa. W tej historii ważny jest jej dalszy ciąg rozgrywający się w depechez dyplomatycznych. O'Brien, świadomy tego, jakiej skali katastrofę Pekin ukrywa przed własnym społeczeństwem, a także całym światem, od razu próbował do takich samych restrykcji przekonać europejskich sojuszników Waszyngtonu. Ale przed marcem nikt na Starym Kontynencie nie chciał go słuchać. Teraz bardzo aktyw-

syjski przywódca ostatecznie utwierdził się w przekonaniu o słabości Zachodu, oglądając w telewizji, jak Amerykanie w popłochu uciekają z Afganistanu, zostawiając za sobą sprzęt wart miliardy dolarów i dwie dekady nieudanego eksperymentu w budowaniu demokratycznych struktur państwowych. Z Chinami tego błędu jego zdaniem nie wolno już popełnić.

Trzecią grupą są *primacists* – tradycyjni Republikanie przywiązani do niekwestionowanego amerykańskiego przywództwa na arenie międzynarodowej. Wnioskowi analityków ECFR są w kontrze do popularnej narracji mediów głównego nurtu mówiącej o otoczeniu Trumpa złożonym wyłącznie z oszołomów. Zdaniem Shapiro to właśnie *primacists* są najliczniejszą częścią republikańskiego establishmentu dyplomatycznego – stanowią w nim 70-75 proc.

Oczywiście może się to okazać faktem całkowicie bez znaczenia, bo nie jest powiedziane, że Trump będzie ich słuchać. Tak jak na początku nie chciał słuchać O'Briena ani Pottingera. Niemniej tacy ludzie wokół eksprezydenta też są. W tej grupie zwrócić uwagę należy na Mike'a Pompeo, sekretarza stanu w poprzedniej administracji republikańskiej. On, podobnie jak O'Brien, o byłym szefie wypowiada się raczej dyplomatycznie – i też krążą spekulacje na temat jego ewentualnego powrotu do polityki najwyższego szczebla. Tym razem miałby przejąć Departament Obrony – a znając jego filozofię dyplomacji i stosunków międzynarodowych, raczej nie byłby adwokatem radykalnego wycofania się Ameryki ze wszystkich obszarów, w których jest zaangażowana. W dodatku jawnie popiera ostry kurs wobec Iranu, który uznaje za ogromne zagrożenie nie tylko dla stabilności samego Bliskiego Wschodu, ale też bezpośrednio dla USA.

Z tym stwierdzeniem też trudno polemizować, bo reżim w Teheranie dawno przestał się ograniczać

do działań terrorystycznych i propagandowych na własnym podwórku. Niedawno „The Washington Post” opisał nową strategię Irańczyków w walce z krajową i zagraniczną opozycją. Zabójcy z Teheranu działają w największych europejskich stolicach, a nawet na terenie USA, wykorzystując do wykonywania wyroków lokalne grupy przestępcze. Podwykonawcą stał się nawet słynny gang motocyklowy Hells Angels. Wcześniej dziennikarze „The Financial Times” opisali serię zabójstw w irańskiej diaspory w Holandii. Dla Pompeo, ale też dla wielu bezpartyjnych ekspertów w Waszyngtonie to tylko kolejny dowód na to, że Irańczykom nie wolno pobrać. I ten kurs Trump utrzymywał – to za jego rządów amerykański dron wystrzelił pocisk, który na początku stycznia 2020 r. zabił w Bagdadzie Ghasema Solejmaniego, generała Korpusu Strażników Rewolucji Islamskiej, potocznie Gwardii Rewolucyjnej, najpotężniejszej w kraju struktury militarno-biznesowej. Irańczyk był uznawany za osobę numer dwa w hierarchii reżimu.

W kuluarowych spekulacjach o nominacjach w departamentach Stanu i Obrony, a także na inne kluczowe stanowiska przewija się jeszcze Elbridge Colby, który także pracował w Pentagonie za „pierwszego Trumpa”. On z kolei należy do grona bardzo głośnych krytyków wojny w Iraku. Uznaje ją za niepotrzebną interwencję, która Ameryce i regionowi przyniosła więcej złego niż dobrego. Po raz kolejny więc wokół kandydata Republikanów pojawia się ktoś, z kogo poglądami zgodziłaby się pewnie miazdząca większość dzisiejszych europejskich przywódców.

Wszystkie te wpływowe osoby wygłaszają dzisiaj tezy, które określić można mianem polityki Trumpa oczyszczonej z absurdów, niedomówień i bezsensownego potoku słów. Problem w tym, że samo takie stwierdzenie jest sprzecznością. Bo Trump to nie tylko polityk chaotyczny, impulsywny, antyintelektualny – przede wszystkim cechują go reakcyjność i przekora. I to właśnie to, a nie jego poglądy, jest najniebezpieczniejsze.

Ogromną satysfakcję przynosi mu zrobienie czegoś odwrotnie, niż radzą mu współpracownicy. Właśnie przez to jest niekonsekwentny i nieprzewidywalny, w efekcie podcinając gałąź, na której sam siedzi. Raz się na coś zgodzi, żeby zaraz potem tę zgodę wycofać. Zapowie wielkie zmiany i natychmiast o nich zapomni. Jeden autokrata podliże mu się komplementami na bezpośrednim spotkaniu – Trump będzie z siebie dumny, ale tylko do momentu, kiedy nie usłyszy lepszych peanów na swoją część od drugiego satrapy. Ma wielu doradców, lepszych i gorszych, ale często ich w ogóle nie słucha.

Faktem jest jednak to, że jako prezydent Stanów Zjednoczonych nie poprowadził swojego kraju do żadnej wojny – jak sprawdził to Reuters, poza nim od końca II wojny światowej tak samo zachowali się wyłącznie Gerald Ford i Jimmy Carter.

Im dłużej trwa kampania wyborcza, tym więcej pojawia się też dowodów na potwierdzenie tezy, że Trump nie jest żadnym izolacjonistą, którego nie obchodzi to, co dzieje się na innych półkulach czy kontynentach. Wbrew temu, co mówił w czasie pierwszej kadencji i co często powtarza chór jego krytyków, nie byłby prezydentem, który koncentrowałby się wyłącznie na sprawach własnego kraju. Widać to zwłaszcza teraz, na finiszu kampanii, kiedy kandydat Republikanów próbuje przekonać do siebie wyborców spoza najtwardszego elektoratu MAGA.

Co ciekawe, robi to przede wszystkim za pośrednictwem podcastów – a więc nowego medium, z którego niekoniecznie korzystają jego typowi, starsi wyborcy, ale które jest popularne wśród młodych, często politycznie niezaangażowanych osób. Tylko w ostat-

■
Jeśli już gdzieś „nasi chłopcy” mają w Europie stacjonować, to w Polsce, ewentualnie w Czechach i Słowacji – uważa współpracownik Trumpa

nich trzech tygodniach Trump udzielił wywiadów trwających łącznie 12 godzin. Od początku kampanii gościł między innymi w programach Logana Paula, Bena Shapiro, Andrew Schulza czy Lexa Fridmana. Polskim odbiorcom te nazwiska mówią niewiele albo nic, ale w Stanach ich programy mają kilkunastomilionową publiczność, często bardziej lojalną od tej telewizyjnej.

John T. Seward, dziennikarz portalu NOTUS, przeprowadził analizę podcastowych wystąpień Trumpa i zauważył, że zwłaszcza w ostatnim czasie były prezydent sporo mówił o polityce zagranicznej i bezpieczeństwie. Najczęściej w towarzystwie tematów takich jak dostęp do broni palnej, podatki, walka z feminizmem czy sprzeciw wobec kultury „woke”. Zupełnie jakby chciał swoją wizją polityki zagranicznej zdobyć poparcie młodych mężczyzn stanowiących główną część publiki tych programów.

Obraz, który wylania się z analizy Sewarda, jest jednoznaczny. Trumpowi imponuje siła i chciałby używać jej jak najczęściej. Imponuje mu Orbán, o którym mówi, że jest „inteligentnym gościem, który samodzielnie rządzi Węgrami”. Zawsze blisko było mu do Putina – Andrew Schulzowi chwalił się, że „jest w stanie dogadać się z każdym”, a „im Rosjanie byli twardsi, tym lepsze on miał z nimi rezultaty, bo takich ludzi łatwiej kontrolować”.

Seward zwraca też uwagę na inny aspekt wypowiedzi Trumpa – używanie przykładów innych przywódców rządzących siłą do ewentualnego usprawiedliwiania takiej samej strategii Ameryki. W kilku miejscach dał jednoznacznie do zrozumienia, że chętnie wysłałby wojska przeciwko nieprzychylnym mu rządów w Ameryce Łacińskiej – co wyjaśnia, czemu nie widzi problemu w rosyjskiej agresji na Ukrainę. Świat postrzega bowiem w kategoriach stref interesu. Więc gdy jest przekonany, że Kijów powinien złożyć hołd lenny Moskwie, to dlatego, że kraje leżące na półkuli zachodniej powinny uznać zwierzchnictwo Waszyngtonu.

A jednocześnie w tych samych wywiadach Trump wielokrotnie zaprzecza ledwo co zaprezentowanym własnym wojowniczo-imperialnym poglądom. Straszy III wojną światową, dodając, że jako prezydent USA zaprowadzi pokój na planecie, ale nie zamierza „amerykańskich chłopców” wysyłać na śmierć poza granicami kraju. Mówi, że za jego rządów wszyscy się go bali, na czele z Rosją i Chinami, ale dodaje zaraz, że takiej pozycji nie chce osiągnąć, angażując się bezpośrednio w konflikty.

Krótko mówiąc: trudno te wywiady uznać za cokolwiek więcej niż kampanijny słowotok na ostatniej prostej przed wyborami. I warto dodać, że dla wielu w establishmentie Partii Republikańskiej ten słowotok, zwłaszcza w części militarystycznej, jest już nie do zaakceptowania. Dowód tego dał niedawno Daniel Drezner, znany konserwatywny komentator, profesor stosunków międzynarodowych na Tufts University w Bostonie, który dołączył do coraz większego chóru krytyków jednoznacznie określających Trumpa mianem faszysty.

Dlatego właśnie na pytanie, czy Donald Trump, będąc po raz kolejny prezydentem Stanów Zjednoczonych i najpotężniejszym człowiekiem na świecie, wycofałby się z NATO, odrzucił amerykańskie przywództwo w sprawach międzynarodowych i przyspieszył rozkład powojennego porządku liberalnego – można odpowiedzieć tylko w jeden sposób.

Może tak. A może nie. ●



★★★★ WYBORY W USA ★★★★★

STAL, KETCHUP CZEKOLADA

Droga do Białego Domu wiedzie właśnie tędy.



Maciej Czarnecki

PENNSYLVANIA

Bóg chciał, by prezydent Trump przeżył zamach w Butler. I Bóg chciał, by Pensylwania ocaliła nasz kraj! – woła na wiejskim wiecu ubrana w różową bluzę i czarne legginsy Kimberly Guilfoyle, partnerka Donalda Trumpa juniora.

Przyjechała ogromnym trum-pobusem z kilkoma innymi ludźmi byłego prezydenta, takimi jak niegdysiejsza ambasador-ka w Danii Carla Sands, która zasłynęła inicjatywą wykupienia przez USA Grenlandii, czy były wicegubernator Kalifornii Abel Maldonado – na tyle znanymi, by przyciągnąć lokalsów, a zarazem za mało ważnymi, żeby występować gdzieś indziej.

– Tym razem nie wystarczy oddać głos. Musicie być żołnierzami prezydenta Trumpa na polu bitwy – mówi Sands, przekonując ludzi, by chodzili po domach znajomych i namawiali do głosowania.

Wydarzenie, na które dotarło ok. 100 osób z okolicy, zorganizowano w czymś pomiędzy stodołą a pałacem ślubów, co doskonale oddaje bezpretensjonalna nazwa przybytku – The Barn at Little Buffalo. Przed sceną, na której występują goście, ustawiono rzędy białych krzesełek. Jesteśmy w hrabstwie Perry, bastionie Trumpa. W 2020 roku zagłosowało tu na niego ponad 1000 osób, na Bidena – 300.

Nie oglądam Fox News aż tak często jak on

Trzynastomilionowa Pensylwania jest najważniejszym z siedmiu swing states – stanów, które w praktyce przesądzą, kto wygra wybory. Droga do Białego Domu wiedzie właśnie tędy: zwycięstwo bez 19 elektorów z tego stanu nadal jest możliwe, ale znacznie trudniejsze.

W ostatnich tygodniach Kamala Harris, Donald Trump i ich kandydaci na wiceprezydenta w zasadzie co kilka dni zaglądają do Filadelfii, Pittsburgha i rozrzuconych między nimi mniejszych miejscowości. To jednak tylko część tutejszej kampanii na sterydach.

Znacznie więcej jest właśnie takich mniejszych wieców. Do tego pukanie do drzwi wyborców przez wolontariuszy, rozdawanie ulotek, spoty wyborcze bombardujące telewizorów i internautów. Liczy się każdy głos, bo sondaże pokazują remis.

W 2016 roku Trump pokonał tu Hillary Clinton różnicą 44 tys. głosów. Cztery lata później przegrał z Joem Bidenem o 80 tys. głosów.

– Wszystkie te reklamy w telewizji doprowadzają mnie już do szału. Mówię mu, żeby wyłączył telewizor. Nie oglądam Fox News aż tak często jak on – skarży mi się na wiecu mieszkająca parę kilometrów dalej Betty Fischer, wskazując na siedzącego obok męża, Mike’a Fischera.

– A jednak tu przejechałaś – zauważam.

– Bo mam nadzieję, że Trump wygra i będą nas czekały dobre cztery lata – odpowiada.



• **Kamala Harris obejmuje Ann Hughes, matkę senatora Vincenta Hughesa. Hakim’s Bookstore & Gift Shop w Filadelfii 27 października 2024 r.**

• **Aplauz dla Kamali Harris w The Alan Horwitz „Sixth Man” Center, ośrodku koszykówki dla młodzieży. Filadelfia, 27 października 2024 r.**

• **Były prezydent USA Barack Obama wita się z ludźmi na wiecu wyborczym kandydatki Demokratów w Filadelfii, 28 października 2024 r.**



■

Jeśli nie osiągniemy 70-procentowej frekwencji w Filadelfii, nasz kraj straci demokrację – mówi zwolenniczka Harris

Trump jest za obroną życia – mówi Betty.

Fischerowie wybrali tradycyjny model rodziny: on zarabia pieniądze (jako malarz pokojowy), ona ogarnia dom. Mają szóstkę dorosłych dzieci, duży, przytulny dom i nie lubią obcych.

– Najważniejsze jest bezpieczeństwo naszych domów i zatrudnienia. Nie podoba mi się, że nielegalni przyjeżdżają do naszego kraju, żeby zabierać nam pracę. Chcę też, żeby spadły ceny i koszty ubezpieczeń zdrowotnych. Żyjemy na wsi. Kiedy idę do sklepu, nie chcę płacić siedem dolarów za jajka – wymienia Betty.

Do poparcia Trumpa, opowiada, skłoniły ją także „kłamstwa Demokratów”. – Trzeba odróżniać dobro od zła. Nigdy nie miałam aborcji. Nie wiem, w jakich okolicznościach życiowych decydują się na to kobiety, ale osobiście tego nie chcę, to nie dla mnie. Trump jest za obroną życia – mówi.

Pytam Fischerów, czy boją się o bezpieczeństwo z powodu osobistych doświadczeń, czy tak ogólnie. Znów odzywa się Betty, milczący Mike tylko lypie z boku. Odpo-

wiada, że w okolicy czują się bezpiecznie, ale napatrzyła się wystarczająco, gdy dorastała w Harrisburgu – to odległa o mniej więcej 45 minut jazdy samochodem stolica stanu.

– Po zamordowaniu Martina Luthera Kinga widziałam rozruchy rasowe. Napędziło mi to niezłego stracha. Nie mam nic przeciwko kolorowym, ale nie lubię przemocy i przeklinania. Chcę po prostu mieszkać w bezpiecznym otoczeniu.

Dopytuję Betty, czy wystraszyła się też cztery lata temu, kiedy przez Amerykę przetaczała się fala protestów rasowych po zabiciu George’a Floyd’a.

– Nie, bo tu nic się nie działo. Ale życie w tych dużych miastach... Latem pojechaliśmy z mężem zobaczyć Phillies [drużyna baseballowa z Filadelfii]. Syn zabrał nas do miasta, wszędzie na ulicach były zombie, wiesz, ludzie po narkotykach.

– Trump robi z tym porządek?

– Nie sądzę, by mu się udało, ale przynajmniej spróbuje.

Chodzi nie tylko o morderstwa, ale i plagę samobójstw – mówi Michelle

Michelle Parker, z którą rozmawiam na pro-frekwencyjnym wiecu Afroamerykanów w zachodniej Filadelfii, patrzy na to zupełnie inaczej. Jej zdaniem Trump jest dwulicowy, bo mówi o bezpieczeństwie, a jego partia blokuje ograniczenie dostępu do broni palnej.

– To najważniejszy problem, przed którym stoi Ameryka. Chodzi nie tylko o morderstwa, ale i plagę samobójstw, ludzie strzelają sobie w głowę – przekonuje.



Opowiada mi o rodzinnej tragedii: właśnie w tej dzielnicy zginął jej 23-letni syn Evan Baylor. 19 czerwca 2021 roku Evan umówił się przed domem z człowiekiem, któremu zamierzał sprzedać samochód. Ten przyszedł ze swoim trzyletnim synkiem.

Gdy dobijali targu, podjechał biały SUV, z którego wyskoczyły dwie osoby i zaczęły strzelać. Obaj młodzi mężczyźni zginęli, dziecko zostało ranne. Parker twierdzi, że jej syn zginął przypadkiem – znalazł się w złym miejscu, w złym czasie.

– Zdruzgotało mnie to. Postanowiłam, że nie będę milczeć, tylko zacznę opowiadać o tej fali przemocy. To się może przytrafić każdemu. Mój syn był sportowcem na Uniwersytecie Stanowym Pensylwanii, lubił swoją pracę, był młodszym diakonem w kościele. Zabrano mi całą resztę tego, kim mógł zostać i co zrobić w życiu.

Parker jest zdeklarowaną przeciwniczką Trumpa podobnie jak pozostałe kilkadziesiąt osób na wiecu.

– Nie możesz opowiadać o bezpieczeństwie, jednocześnie atakując werbalnie. Nie możesz zapewniać, że zależy ci na ludziach, a jednocześnie piętnować podziały. Nigdy nie widziałam, by jakiś kandydat Republikanów odwiedził moją społeczność. Kiedy pojechałam do Harrisburga namawiać polityków do reform, przyszliznęli tylko demokraci – mówi.

Teoretycznie spotkanie zorganizowane przez aktywistów w gmachu szkoły ma tylko zachęcać ludzi do udziału w wyborach, ale wszyscy rozumieją, że chodzi o poparcie Kamali Harris. Czarni w dużych miastach to żelazny elektorat Demokratów.

– Jeśli nie osiągniemy 70-procentowej frekwencji w Filadelfii, nasz kraj straci demokrację. Patrzy na nas cała Ameryka – apeluje do zebranych zaproszona członkini stanowej Izby Reprezentantów Morgan Cephas, oczywiście z Partii Demokratycznej.

Wynik wyborów w Pensylwanii, a tym samym może i w całych USA, zależy od tego, czy trochę więcej ludzi uda się zmobilizować takim jak ona, czy Guilfoyle i spółce.

laboratorium kapitalizmu

Pensylwania zawsze była wyjątkowa. Oddaje to jej przydomek – The Keystone State, czyli stan – kamienny zwornik, nawiązując do historycznej roli. To tu przyjęto Deklarację Niepodległości. Tu niemal najszybciej ratyfikowano amerykańską konstytucję, zaraz po Delaware. Tutaj, pod Gettysburgiem, rozegrała się najkrwawsza bitwa wojny secesyjnej uznawana za punkt zwrotny.

Od zakończenia wojny secesyjnej napędzana bogactwami naturalnymi i napływem imigranckiej siły roboczej ze wschodu i południa Europy gospodarka Pensylwanii – ogromne huty stali, tartaki, kopalnie węgla, fabryki włókiennicze i inne zakłady przemysłowe – budowała amerykański dobrobyt, zapewniając nośne mity założycielskie zarówno zaprzysięgłym libertarianom, jak i orędownikom lewicy.

Dla pierwszych Pensylwania zapisała się w historii jako laboratorium kapitalizmu. Tu działali John D. Rockefeller i Jay Gould.

Tu Andrew Carnegie i Charles M. Schwab założyli jedne z największych na świecie koncernów stalowych. Henry J. Heinz – fabrykę ketchupu, a Milton S. Hershey – czekolady.

Drudzy dodają do tego, że właśnie w tym stanie udokumentowano pierwszy zorganizowany strajk, a rozkwit miejscowej klasy średniej był możliwy dzięki rozwojowi związków zawodowych, które do dziś odgrywają w Pensylwanii sporą rolę.

Nawet jeśli w drugiej połowie XX wieku wiele fabryk, hut i kopalń zamknięto na cztery spusty, przez co tereny w tej części USA – od Bostonu aż po Indianę – zaczęto określać mianem pasa rdzy.

Starsi, biali mężczyźni z podupadłych miasteczek

– Tak naprawdę w różnych częściach stanu mamy różne trendy, których skutki niemal się znoszą. Bogate przedmieścia, gdzie jest więcej dobrze wykształconych i przyjezdnych – czy to z innych części USA, czy z zagranicy – oraz na ogół młodsza, prężniejsza i bardziej zasobna populacja, nadal prze-

suwają się w stronę Demokratów. A tereny wiejskie w stronę Republikanów – opowiada Lara Putnam, historyczka z Uniwersytetu w Pittsburghu.

Pomiędzy nimi jest właśnie pas rdzy – dawne przemysłowe lub górnicze miejscowości, które albo wymyśliły siebie na nowo, albo nie.

Te, które odnalazły się w nowej rzeczywistości – najczęściej dzięki uniwersytetom, instytutom badawczym, szpitalom i innym placówkom prężnego i dochodowego sektora medycznego – zaczynają przypominać przedmieścia dużych miast.

– Sam żyję w jednym z takich miejsc – śmieje się politolog Christopher Borick, kiedy pytam o przykłady.

– Położona na wschodzie stanu Dolina Lehigh kiedyś była klasycznym miejscem pasa rdzy – to dawne ważne centrum przemysłowe, w którym siedzibę miał jeden z największych producentów stali na świecie, Bethlehem Steel. Po czasie kryzysu teraz rozkwita, obojętnie jak to mierzyć: dobre posady, wysoki wskaźnik zatrudnienia, wzrost gospodarczy, ściąganie firm. Owszem, przez to wszystko wzrosły ceny nieruchomości, ale to przecież typowy problem rozwijających się terenów, czyż nie? – dodaje Borick.

Na drugim biegunie są miejsca, które jakby zatrzymały się w czasie, nie mają „źródła nowej dynamiki”, jak mówi Putnam, ciągną w stronę wsi i powoli tracą mieszkańców, zwłaszcza tych młodszych. Krótko mówiąc, nadal rdzewieją.

Zdaniem Putnam zwycięstwo Trumpa w Pensylwanii w 2016 roku nie było wypadkiem przy pracy, tylko konsekwencją przyspieszenia trendu, który kształtował się już od dziesięcioleci: przenoszeniu poparcia z Demokratów na Republikanów przez starszych, białych mężczyzn z podupadłych, postprzemysłowych miasteczek.

– Udało się to, bo Trump porzucił niepopularne w pasie rdzy postulaty głoszone przez republikanów w rodzaju Mitta Romneya – cięcie Medicare [systemu państwowych ubezpieczeń zdrowotnych dla seniorów]

i wsparcia socjalnego – by zamiast tego mocniej akcentować sprawy kulturowe, zwłaszcza imigracji – mówi politolożka.

W 2020 roku Bidenowi udało się spowolnić ten trend, a do tego zdobyć trochę dodatkowego poparcia w innych grupach.

– Czy w 2024 roku da się wskazać jakieś naprawdę kluczowe miejsca w Pensylwanii, które rozstrzygną, kto wygra tym razem? – pytam.

Putnam: – Cóż, jeśli mam być szczerą, to nie. Wszystko tak bardzo się równoważy, że każdy okręg może zrobić różnicę. Na pewno warto obserwować, ile głosów dostaną Demokraci w kluczowych miastach, przede wszystkim Filadelfii i Pittsburghu. No i jak mocno wieś poprze Trumpa.

Haitańczycy pożerają zwierzęta domowe

Gdy pytam o najważniejsze tematy dla wyborców w Pensylwanii, Putnam wymienia inflację, imigrację i aborcję – czyli to, co w całym kraju.

– Zlikwidowanie przez Sąd Najwyższy w 2022 roku konstytucyjnych gwarancji prawa do aborcji – mówi Putnam – w ostatnich wyborach do Kongresu zmobilizowało kobiety we wszystkich grupach demograficznych. Nie jest jasne, czy uda się to powtórzyć.

Temat imigracji raczej sprzyja Trumpowi, który straszy, że Wenezuelczycy to gangsterzy, a Haitańczykowie pożerają zwierzęta domowe. Musi jednak uważać, by nie nadepnąć na odcisk tym, którzy przyjechali do Ameryki nieco wcześniej albo są potomkami imigrantów i mają już prawo do głosowania.

27 października podczas jego wiecu w nowojorskiej Madison Square Garden jeden z zaproszonych gości, komik Tony Hinchcliffe, nazwał Portoryko wyspą śmieci. W Pensylwanii Portorykańczyków jest wyjątkowo wielu – ponad 450 tys. Rozpętała się afera, po której sztab republikanina odciął się od Hinchcliffe'a.

Jeszcze więcej – ponad 750 tys. – jest Amerykanów polskiego pochodzenia,



FOT. REUTERS/BRIAN SNYDER (2)

• **Zwolennicy Donalda Trumpa zbierają się przed restauracją McDonalds w Feasterville-Treose w Pensylwanii, 20 października 2024 r.**

• **„Zbuduj mur, deportuj wszystkich” napisane jest na t-shircie dziewczynki. Wiec Donalda Trumpa w Latrobe w Pensylwanii, 19 października 2024 r.**

Chcą, żeby dziewczynki wchodziły pod prysznic razem z chłopcami. To ludzie o bardzo złym charakterze



o których podczas wrześniowej debaty prezydenckiej wspomniała Harris. Choć oni często żyją w USA już od pokoleń i są podzieleni jak reszta obywateli.

W debatach często przewija się też kwestia frackingu, czyli szczelinowania hydraulicznego – dość popularnej w Pensylwanii i szkodliwej dla środowiska metody wydobycia gazu. Zdaniem politologów to kwestia raczej symboliki, a nie realnej polityki gospodarczej.

– Nawet 5-10 lat temu, kiedy fracking jeszcze się rozwijał, zapewniał lokalnym mieszkańcom niewiele pracy. Wykonywali ją głównie przyjezdni. Owszem, powstała pewna dynamika gospodarcza. Właściciele ziem, na których prowadzono szczelinowanie, trochę zarobili, ale potem wzrosła konkurencja ze strony innych regionów, ceny gazu spadły. W niektórych miejscach to nadal ważny temat dla republikańskich i niezależnych wyborców, ale bardziej jako symbol świadczący o tym, kto rozumie ich problemy i na serio się nimi przejmuje – twierdzi Putnam.

– Do tego w wielu miejscach, nawet jeśli ludzie byli pozytywnie nastawieni do frackingu, to się rozczarowali, kiedy zaczęli mieć problemy z jakością wody pitnej. Teraz ta metoda wywołuje duży dysprietw, i nie mówię tu o hardkorowych ekologach, tylko zwyczajnych matkach, które chcą, by ich dzieci piły wodę z bezpiecznych źródeł – dodaje ekspertka.

Kamala raz chce wiercić, raz nie – mówi Andrew

Podczas rozmów z republikańskimi wyborcami faktycznie nie spotkałem nikogo, kto pracowałby przy szczelinowaniu. Jednak wielu ludzi liczy, że w przypadku zwycięstwa Trumpa zwiększenie wydobycia surowców i poluzowanie norm środowiskowych rozkręci gospodarkę.

– Ten rejon kraju ma pod ziemią więcej źródeł energii niż jakiekolwiek inne miejsce na świecie – przekonuje mnie emeryt Andrew Burger.

Nie mam nic przeciwko kolorowym, ale nie lubię przemocy i przeklinania

Przesadza, ale chwytam, o co mu chodzi.

– Mamy mnóstwo gazu ziemnego, a do tego węgiel antracytowy, naprawdę najlepszej jakości. To nasze błogosławieństwo. Kamala raz chce wiercić, raz nie. Cały czas zmienia zdanie – narzeka Burger.

Wychował się w miasteczku Steelton, jak sama nazwa wskazuje należącym do pasa rdzy. Sto lat temu mieszkało tam ponad 13 tys. ludzi, teraz – nieco ponad 6 tys.

– Mieliśmy Chorwatów, Serbów, Polaków, wszystkie narody z Europy Wschodniej. Oni zawsze mieli lepsze jedzenie od nas. Wszyscy się ze sobą dogadywali. Teraz Steelton to umierające miasto. Nadal mają hutę stali, ale... – Burger macha ręką.

Teraz mieszka w hrabstwie Perry. Po drodze zaliczył jeszcze sześćioletnią przygodę na Florydzie, gdzie przeprowadza się wielu amerykańskich emerytów, ale nie wytrzymał i wrócił. Tęsknił za czterema porami roku, a tam cały czas było gorąco.

Jeśli masz własną łódź i lubisz wędkować, opowiada Burger, to w porządku, ale i tak nie ma to jak jesienne spacerowanie po lasach Pensylwanii. Poza tym starsi członkowie jego rodziny zaczęli potrzebować pomocy i Burger chciał być w pobliżu.

W młodości zasiadał we władzach Middletown, miasteczka, nieopodal którego znajduje się nieczynna elektrownia jądrowa Three Mile Island (TMI). 28 marca 1979 roku doszło tam do najpoważniejszego wypadku w historii komercyjnych reaktorów w USA – częściowego stopienia rdzenia w drugim reaktorze.

Przyczynił się on do spadku poparcia Amerykanów dla energii jądrowej (by

nie powiedzieć: strachu przed atomem), a drugi reaktor nigdy nie był już wykorzystywany. Kolejny cios dla stanowego przemysłu.

Burger twierdzi, że współtworzył rezolucje w sprawie dekontaminacji miejsca wypadku. – Prezydent Carter był ekspertem od technologii nuklearnych. Wszedł do skażonego budynku, wiesz? To był dobry człowiek, tylko nie był dobrym prezydentem – wspomina Burger.

– A Trump będzie dobry? – pytam.

– Tak. Jeśli będziemy produkować więcej paliw, spadną ceny benzyny, a wtedy obniży się koszt transportu i, co za tym idzie, jedzenia – odpowiada.

Przytaczam mu argument demokratów, że zapowiadane przez Trumpa podwyżki cel mogą podnieść inflację.

– Nieee, demokraci są głupi. Nienawidzę generalizować, jestem dość wykształcony, ale jak gadasz z demokratą, to on o niczym nie ma pojęcia.

– Zresztą nie chodzi tylko o gospodarkę – dodaje. – Ameryka opiera się na wartościach judeochrześcijańskich, a oni wprowadzają kulturę, w której nie ma żadnej moralności. Chcą zabijać dzieci.

Chcą, żeby dziewczynki wchodziły pod prysznic razem z chłopcami. To ludzie o bardzo złym charakterze.

Związkowcy odpływają

Polityka w Pensylwanii ma jeszcze jedną ciekawą cechę. Otóż jest tu nieco więcej niż w innych stanach wyborców należących do związków zawodowych. Nie mają one takiej siły jak kiedyś, ale nadal się liczą.

Tradycyjnie był to elektorat Demokratów. Obecnie – według badań Pew Research Center – na każdych dziesięciu związkowców, którzy pójść do urn, zagłosuje na nich sześciu, czterech zaś na Republikanów. Sondaż Emerson College w Pensylwanii pokazał podobne wyniki (57 proc. do 42 proc. dla Harris).

Wiele miejscowych związków zawodowych aktywnie włączyło się w kampa-

nię. Przykładowo działacze United Steelworkers z Pittsburgha co rano wystają pod bramami hut, by namawiać do głosowania na Harris.

Zorganizowali serię spotkań z pracownikami. Są też organizacje wspierające Trumpa albo takie, które nie poparły żadnego z kandydatów, co – biorąc pod uwagę tradycję – też jest dla republikanina nie najgorszym scenariuszem.

Jak wylicza w portalu The Conversation historyk Robert Forrant, przewaga Demokratów wśród szeregowych związkowców i ich rodzin systematycznie spada: w 2012 roku Barack Obama wygrał w tej grupie różnicą 18 pkt proc., w 2016 roku Hillary Clinton już tylko 8 pkt proc., a przeprowadzony pod koniec 2023 roku sondaż „The New York Times” wśród związkowców z kluczowych stanów, w tym Pensylwanii, wskazał nawet na remis Trumpa i Bidena.

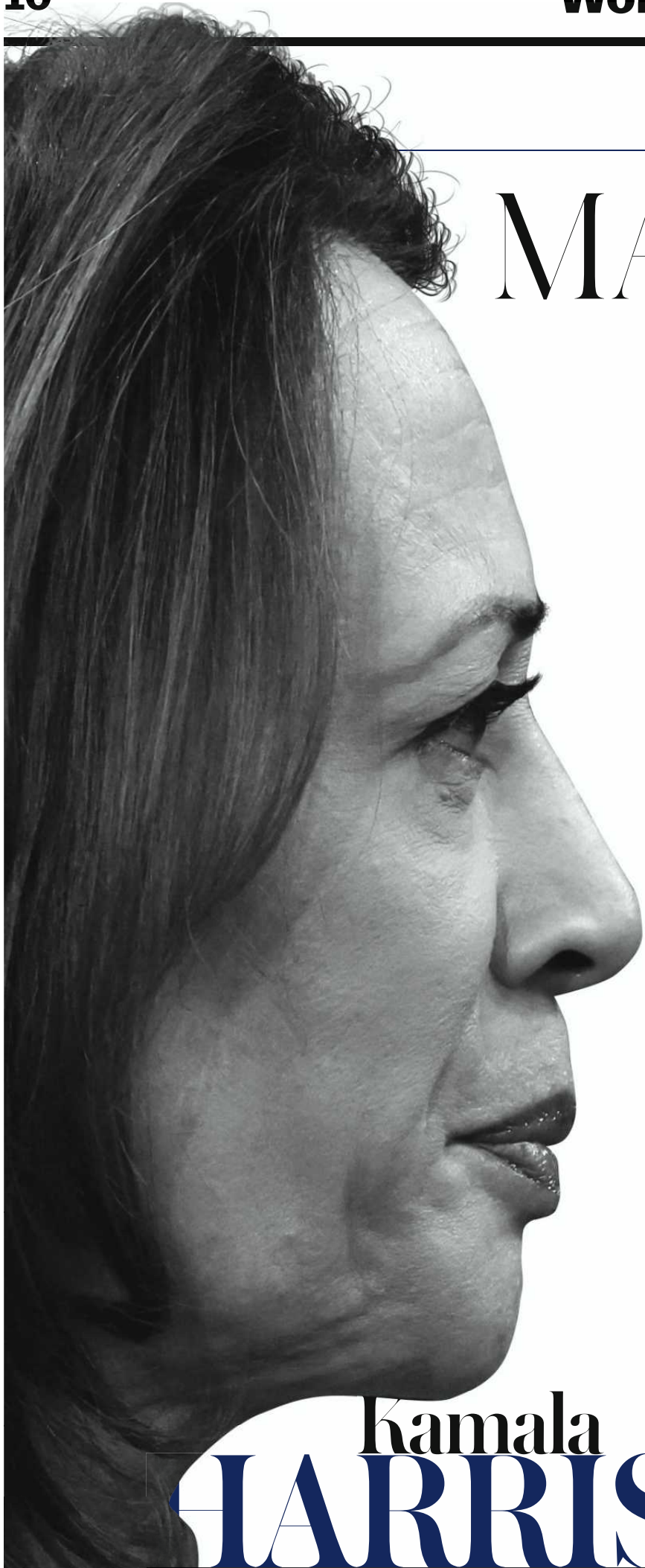
– W Pensylwanii większość związkowców, którzy idą za Trumpem, ma ten sam profil demograficzny co reszta ludzi sceptycznych wobec Demokratów: to biali mężczyźni w starszym lub średnim wieku – tłumaczy Putnam.

Demokraci nadal mocno walczą o to środowisko w całym kraju: choć prezydent USA zwykle stronią od opowiadania się po którejś ze stron w sporach amerykańskich związkowców z pracodawcami, Biden w zeszłym roku dołączył do strajkujących w fabrykach samochodowych. Przy tak wyrównanym wyścigu naprawdę może to zrobić różnicę.

Pytam politologa Boricka, który od 30 lat przeprowadza sondaże w swoim Allentown, kto wygra wybory w Pensylwanii.

– Och, nie sposób tego przewidzieć. Chciałbym mieć choćby jakieś przeczucie, ale nie mam. Będzie bardzo blisko. Trump złapał trochę wiatru w żagle, ale badania wskazują na remis. Kiedy kandydaci są tak blisko siebie, trzeba to po prostu zaakceptować i poczekać na wyniki. Żaden mnie nie zdziwi. ●

FOT. REUTERS/EVELYN HOCKSTEIN



Kamala HARRIS

Wiek: **60 lat**
Najwyższe stanowisko polityczne: **Wiceprezydent USA (od 2021), p.o. prezydenta USA (19.11.2021)**
Pochodzenie: **Ojciec – imigrant z Jamajki, matka – imigrantka z Indii**
Religia: **Wychowała się w rodzinie baptystyczno-hinduistycznej**
Zawód: **Prawnik, była m. in. prokuratorem generalnym Kalifornii**
Edukacja: **Uniwersytet Kalifornijski (prawo)**
Kandydat na wiceprezydenta: **Tim Walz**
ONI OFICJALNIE POPIERAJĄ KAMALĘ HARRIS:

Barack Obama

Michelle Obama

Eminem

Billie Eilish

Taylor Swift

Leonardo DiCaprio

Bruce Springsteen

John Legend

George Clooney

Spike Lee

*** WYBORY

MAŁE MIASTEC

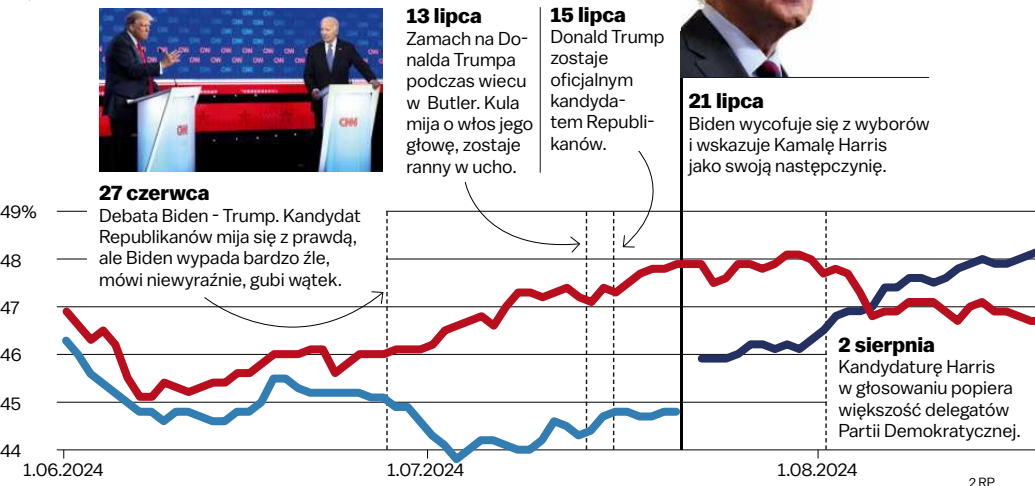
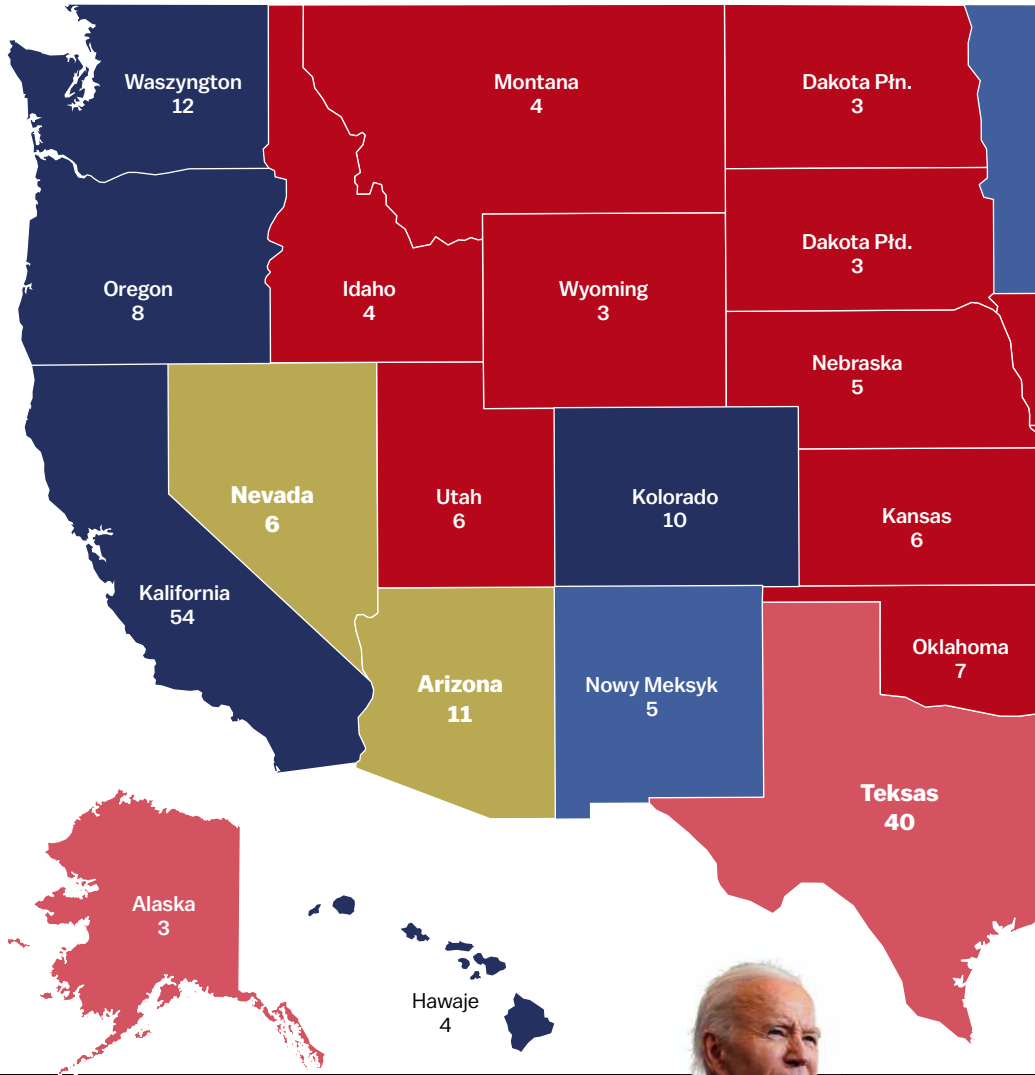
Kandydaci jeżdżą nawet po naj
O przyszłości świata zdecyduje

Tekst: **Maciej Czarnecki**, infografika:

Ok. 244 mln ludzi jest uprawnionych do głosowania w amerykańskich wyborach prezydenckich. A tak naprawdę liczą się głosy niewielu. Odpowiada za to specyficzny system wyborczy. Obywatele wybierają prezydenta za pośrednictwem elektorów z poszczególnych stanów. Im stan ludniejszy, tym ma ich więcej. Przykładowo Kalifornia ma ich 54, a niewielkie New Hampshire - 4. Pomijając nieliczne wyjątki, zwycięzca bierze wszystkich. I tu leży pies pogrzebany: bowiem z góry wiadomo, że elektorów z Kalifornii, Nowego Jorku czy Oregonu zgarnie Demokrat, a z Luizjany, Oklahomy czy Kentucky Republikanie. Gra toczy się o kilka stanów "wahadlowych" (swing states), w których wynik jest niepewny. W obecnych wyborach jest ich siedem: Pensylwania, Michigan, Wisconsin, Karolina Północna, Georgia, Arizona i Nevada. I to tam koncentruje się kampania, a kandydaci jeżdżą jak najęci nawet po niewielkich miejscowościach. Do zwycięstwa potrzeba 270 elektorów, którzy formalnie oddadzą swoje głosy w swoich stanach 17 grudnia. 6 stycznia podliczy je podczas uroczystej sesji Kongres. Na początku 2021 roku właśnie taką sesję przerwał pamiętny szturm zwolenników Donalda Trumpa na Kapitol. Każdy stan ma trochę inne reguły głosowania i zliczania głosów. W niektórych

Mapa poparcia kandydatów w wyborach prezydenckich w USA

Liczba przy nazwie stanu określa liczbę głosów elektorskich. Wyniki sondażowe oraz poparcie w stanach na 29.10.2024



W U S A ★★ ★

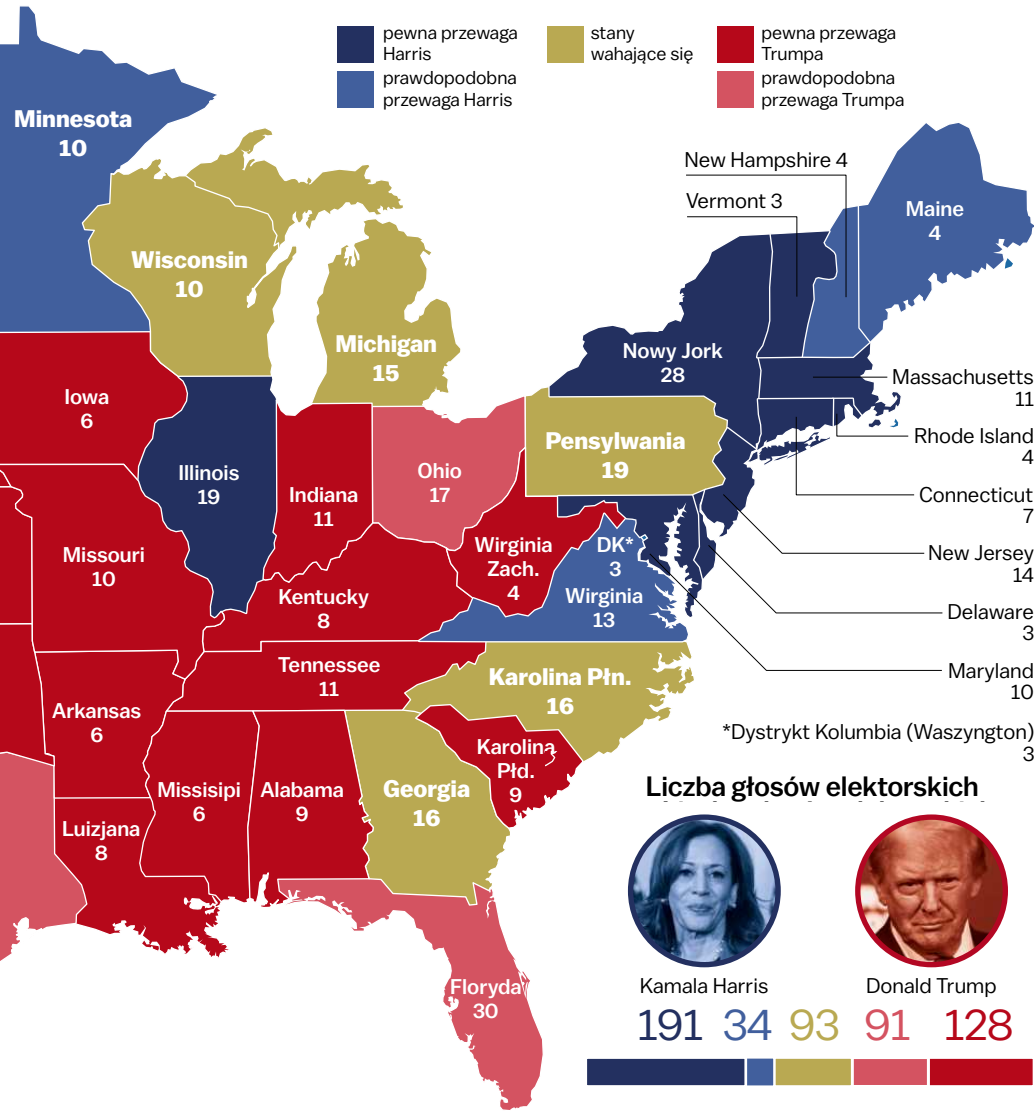
ZKA SĄ WAŻNE

mniejszych miejscowościach.
nieco ponad 61 milionów ludzi

Paweł Lubowicz i Tomasz Lebioda

miejscach po prostu zakreśla się krzyżyk na karcie do głosowania. W innych wykorzystywane są maszyny: wkłada się kartę do automatu i wybiera nazwisko kandydata na ekranie. Czy raczej kandydatów, bo głosuje się na tandem: prezydenta i jego zastępcę. Część osób woli skorzystać z opcji oddania głosu jeszcze przed oficjalnym dniem wyborów, osobiście w lokalu wyborczym lub korespondencyjnie. Ułatwia to głosowanie, ale czasem komplikuje zliczanie głosów. W niektórych stanach głosy nadesłane pocztą można otwierać od razu, w innych można to uczynić dopiero po zamknięciu lokali. Toteż poszczególne stany podają rezultaty głosowania o innych porach, a niektóre dopiero po kilku dniach. Cztery lata temu już podczas nocy wyborczej okazało się, że Trump podbił Florydę. Ale na wyniki z Pensylwanii, które ostatecznie przeważą szalę na korzyść Bidena, trzeba było poczekać aż cztery dni.

Relacjonowaliśmy ten moment z Filadelfii, gdzie zwolennicy obu kandydatów urządzali żywiołowe demonstracje pod siedzibą komisji wyborczej. Kiedy ogłoszono zwycięstwo Bidena, na ulicach miasta - bastionu Demokratów - wybuchła euforia, kierowcy trąbili jak oszaleali, przechodnie rzucali się sobie w objęcia. Jaki nastrój zapanuje tym razem? Przekonamy się już niedługo. ●



Donald TRUMP

Wiek: **78 lat**
Najwyższe stanowisko polityczne: **prezydent USA (2017 - 2021)**
Pochodzenie: **rodzice Trumpa to potomkowie imigrantów z Niemiec i Szkocji**
Religia: **określa się jako „chrześcijanin bezwyznaniowy”**
Zawód: **przedsiębiorca**
Edukacja: **Uniwersytet Pensylwanii (ekonomia)**
Kandydat na wiceprezydenta: **J. D. Vance**

ONI OFICJALNIE POPIERAJĄ DONALDA TRUMPA:



Elon Musk



Hulk Hogan



Dana White



Mel Gibson



Robert F. Kennedy



Kanye West



Amber Rose



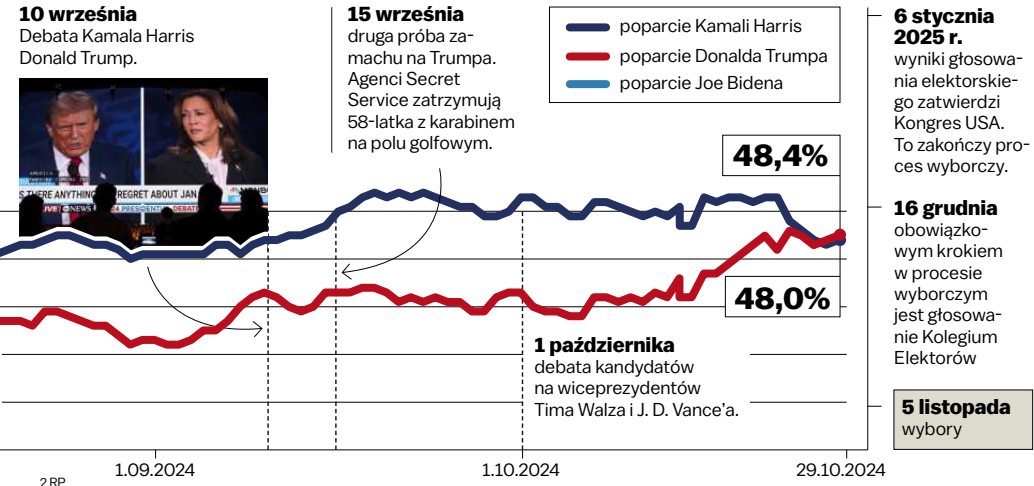
Kid Rock



50 Cent



Lil' Wayne



Źródło: ZTOTOVIN.COM, REALCLEARPOLING.COM

REUTERS/BRAN SNYDER

FOT. REUTERS (13) FOT. SHUTTERSTOCK (10), EASTNEWS (2)

★★★★ WYBORY W USA ★★★★★

PRZYSTANEK
TRUMPSTOCK

Trump, który wychował się na budowach, w otoczeniu robotników budowlanych, intuicyjnie rozumie, co dla ciężko pracujących ludzi jest ważne i jak do nich dotrzeć.

Alek Korab

NOWY JORK

W iec Donalda Trumpa w Oaks w Pensylwanii, 30 kilometrów od Filadelfii, nie zaczął się najlepiej. Tysiące zwolenników byłego prezydenta musiały przejść przez bramki bezpieczeństwa i drobiazgową kontrolę nerwowych agentów FBI próbujących zapobiec trzeciej w tym roku próbie zamachu na kandydata Republikanów. Dominują kolory białe-czerwone, ale nie z powodu licznej Polonii zasiedlającej Pensylwanię. Przeważa biały kolor skóry uczestników i czerwone gadżety ruchu MAGA, który zaczerpnął akronim od słynnego zawołania Trumpa „Make America Great Again”.

Przed finiszem kampanii wieców jest coraz więcej. Trump podobnie jak jego rywalka Kamala Harris podkręca tempo – w samym wrześniu miał 26 spotkań z wyborcami, dwa razy więcej niż w czerwcu i lipcu. Na wiecu w Oaks moderowanym przez wschodzącą gwiazdę partii republikańskiej, gubernatorkę Dakoty Południowej Kristi L. Noem (która zasłynęła m.in. z tego, że pochwaliła się zastrzeleniem swojego 14-miesięcznego psa Świerszcza, bo był niepo-

śluszy) Trump miał odpowiadać na wcześniej ustalone pytania dotyczące dostępności mieszkań i małego biznesu.

Zanim zabrał głos, ktoś w sali zemdlał. Na to Trump nakazał didżejowi zagrać „Ave Maria”. „Żebyśmy mieli piękny wieczór” – wytłumaczył zebranym. Nim spotkanie wróciło na tory, kolejna osoba zemdlała i Trump ponownie zagrał „Ave Marię”. Tu polskiemu czytelnikowi należy się wyjaśnienie kontekstu – w USA to popularna piosenka pogrzebowa. „Ktoś jeszcze ma ochotę zemdleć?” – zażartował eksprezydent. Po czym nagle zdecydował: „Odpuśćmy sobie pytania. Posłuchajmy po prostu muzyki. Zróbmy z tego muzykę. Kto do cholery chce słuchać pytań, prawda?”.

Kolejne 40 minut wiecu zamieniło się w dyskotekę. Trump zignorował sugestię powrotu do pytań przekazaną mu teleprompterem i kazał didżejowi grać kolejne przeboje, w trakcie których stał i rytmicznie się kiwał. Komik Jimmy Kimmel porównał ten taniec do „kołysania manata złapanego w wodorosty”.

Trump jest znany z muzycznego zacięcia. Doświadczona reporterka „New York Timesa” Maggie Habberman opisywała, jak w swojej słynnej rezydencji Mar-a-Lago był prezydent organizuje imprezy, podczas których wciela się w rolę didżeja, grając muzykę z iPada, sterując nagłośnieniem i podnosząc rytmicznie pięść w świetle lamp stroboskopowych. I zawsze gra ulubiony przebój „YMCA”. „To niedoceniany utwór” – emocjonował się w wywiadzie dla podcastu „Full Send”. „Nazywają go gejojskim hymnem narodowym. Czy kiedykolwiek to słyszałeś? Podnosi ludzi z krzeseł i sprawia, że się ruszają... Ludzie uwielbiają, kiedy to robię”. Bywalcy nazywają tę dyskotekę występami „Didżeja T”.

Talent showmański i miłość do muzyki to jedno, ale zmiana formatu wiecu na dyskotekę na 22 dni przed wyborami mo-

że się okazać gwoździem do trumny kampanii, która i bez tego przypomina kolejkę górską z wesołego miasteczka. Trudno się dziwić, że ludzie z otoczenia Trumpa wyglądali na zszokowanych i przerażonych potencjalnymi konsekwencjami wykołowania wiecu.

Gubernator Noem została na scenie, ale z paniką wypisaną na twarzy. „Wyglądała, jakby chciała zastrzelić kolejnego szczeniaka, żeby tylko odwrócić uwagę od sceny” – komentowała Kara Swisher, doświadczona dziennikarka polityczno-społeczna, w podcaście „Pivot”. W miarę jak wiec zamieniał się w absurd, jedni z publiczności wychodzili rozczarowani, inni filmowali scenę telefonami. Nikt z otoczenia Trumpa nie był w stanie go zatrzymać. Ludzie, którzy przyszliznęli posłuchać o małym biznesie i sposobach rozwiązania kryzysu mieszkaniowego, słuchali kolejno z listy Spotify Trumpa:

- „God Bless America” – hymn USA;
- „Ave Maria” – Luciano Pavarotti;
- „Time to Say Goodbye” – Sarah Brightman i Andrea Bocelli;
- „It’s A Man’s Man’s Man’s World” – James Brown;
- „YMCA” – The Village People;
- „Hallelujah” – wersja Rufusa Wainwrighta;
- „Nothing Compares 2 U” – Sinéad O’Connor;
- „An American Trilogy” – Elvis Presley;
- „Rich Men North of Richmond” – Oliver Anthony;
- „November Rain” – Guns N’ Roses;
- „Memory” – z musicalu „Cats”.

Ezra Klein, analizując wiec w esej dla „New York Timesa”, napisał: „Trump nie widzi nic poza sobą, tym, co myśli, czego chce i co czuje. Nie słucha innych ludzi. Nie przyjmuje korekt ani wskazówek”.

Reakcje mediów, ekspertów i demokratów były jednoznaczne: Trump nie panuje nad swoim zachowaniem, wykazuje spadek



• Rok 2005, Donald Trump na imprezie w swojej słynnej posiadłości Mar-a-Lago w Palm Beach

funkcji poznawczych typowy dla jego wieku. Trudno było ukryć, że po rezygnacji Joe Bidena 78-letni Trump nie tylko wygląda na dużo starszego od 60-latk Harris, ale też wszystkie ageistyczne zarzuty, które republikanie stawiali Bidenowi, nagle zaczęły pasować jak ulał do niego samego. Teraz to on stał się „być może najstarszym prezydentem USA w historii”. „Jeśli to byłby wasz dziadek, to zabralibyście mu kluczyki do auta” – grzmiał Tim „Swojak” Walz, demokratyczny kandydat na wiceprezydenta. Inni dodawali, że te kluczyki już niedługo mogą otwierać dostęp do kodów broni nuklearnej.

A jeszcze kilka miesięcy wcześniej entuzjastyczni republikanie przybijali pięć-

Wyjaśnia Michael Freidson, były redaktor naczelny magazynu „Time Out NY” Greatest Hits Ameryki, za którą tęsknimy

ALEK KORAB: Coś łączy te piosenki? Muzycznie, tematycznie, a może jedno i drugie?

MICHAEL FREIDSON: Jaskrawy, niemal schlebający nostalgiczny nastrój. To odgrywa kluczową rolę w wyborze piosenek przez Trumpa i łączy go z jego elektorem. Wielu zwolenników MAGA tęskni za tym, co postrzegają jako lepsze czasy w przeszłości Ameryki. Dowód mamy na tej playliście – tylko jedna piosenka pochodzi z tego tysiąclecia – „Rich Men North of Richmond”, hymn politycznej krzywdy przyjęty przez Republikanów.

Wybór starszych piosenek, takich jak „My Way” Franka Sinatry i „An American Trilogy” Elvisa Presleya, przywołuje wspomnienia z epoki, w której kraj był po-

strzegany jako silniejszy, bardziej zjednoczony i zamożny. Opierając się na tej nostalgii, Trump subtelnie wzmacnia swoje przesłanie „Make America Great Again”, sugerując, że wartości, kultura i styl życia sprzed dekad są warte ożywienia.

Ale za tym wyborem kryje się też inny przekaz: ustaw się w szeregu i zrób to „po mojemu” – po trumpowemu – albo spotkają cię konsekwencje.

Jaką wiadomość te piosenki wysyłają Amerykanom?

– Można by się spodziewać, że muzyka na wiecach będzie optymistyczna i energetyzująca jak na weselu, a przecież wiele z tych utworów bardziej pasuje na pogrzeb pradziadka. Ja-

sne, niektóre piosenki, takie jak „YMCA”, przynoszą oczekiwaną energię parkietu, ale większość jest żalobna – „Ave Maria” jest płaczliwa, „Nothing Compares 2 U” jest smutna, „An American Trilogy” Elvisa jest ponura. A „Hallelujah” ma szczególnie elegijny ton.

Biorąc pod uwagę narrację Trumpa o Ameryce w upadku, zalewanej przestępczością i imigracją, jasne jest, dlaczego ta lista odzwierciedla wydaję się tak refleksyjna i nostalgiczna. W jego umyśle Ameryka umarła z ręki Demokratów i tylko on może ją przywrócić do życia.

Jak Amerykanie reagują na te piosenki na wiecach i wydarzeniach?

– Tłumy na wiecach Trumpa są w przeważającej mierze białe, podobnie jak te piosenki. Na liście odtwarzania jest załóżniczo mało głosów mniejszości, co ostro kontrastuje z bardziej zróżnicowaną, współczesną muzyką prezentowaną na wydarzeniach Demokratów. Demokraci często wybierają hip-hop i stawiają na młodszych artystów, przykłady pierwsze z brzegu – Lil Jon na konwencji, wywiad Kamali Harris z Charlamagne Tha God lub coroczne playlisty Baracka Obamy, na których występuje Kendrick Lamar.

Trump nie próbuje być modny ani przebudzony; jest 78-letnim białym mężczyzną, który lubi starą muzykę wykonywaną przez artystów, którzy wyglądają jak jego baza.

I te piosenki serio działają w kampanii?

– Większość najbardziej lubianych amerykańskich muzyków i piosenkarzy odmówiła Trumpowi wykorzystania ich piosenek lub otwarcie poparła Kamalę Harris, jak Bruce Springsteen, Eminem, Taylor Swift i Billie Eilish. Pozostawia to Trumpowi prawie zero współczesnych opcji – poza na polu kabaretowym Kid Rockiem – ale on nie ma z tym problemu.

W jego umyśle jedyną osobą bardziej znaną niż Springsteen, a nawet Taylor Swift jest sam Trump. Być może wydanie albumu jest następnym punktem na jego liście – obok sprzedaży Biblii i trampek! ●



ki na konwencji partii w Milwaukee. Po debacie, w której Biden zaprezentował się niczym sarna w świetle reflektorów, Trump przodował w rankingach. Niedawna próba zamachu i jego przytomna reakcja tylko powiększały tę przewagę. Wszyscy w Milwaukee oczekiwali nie tyle zwycięstwa, ile miażdżącego triumfu.

Po rezygnacji (nie do końca dobrowolnej) Bidena sytuacja diametralnie się odwróciła. Nowa kandydatka chirurgicznym manewrem pozbyła się wewnętrznych kandydatów i dogoniła Trumpa w sondażach, kreując entuzjazm porównywalny do czasów Obamy. Konwencja wyborcza Demokratów wyglądała jak lista przebojów teledysków z TikToka, z magnetycznym występem rapera Lil Johna na czele, który skandując „Turn Down For What”, praktycznie wystrzelił dach budynku konwencji w powietrze. Kamalę poparł cały sznur gwiazd z Oprah Winfrey, Bruce'em Springsteenem i Beyonce na czele. Piosenka tej ostatniej, „Freedom”, posłużyła za hymn kampanii. W końcu nawet najsłynniejsza kobieta na świecie Taylor Swift także poparła Kamalę.

Jakby tego było mało, podczas kolejnej debaty telewizyjnej Trump wpadał w oczywiste pułapki zastawione przez wiceprezydentkę z impetem i entuzjazmem, z jakim kawalerzyści generała Custerza wpadali w wilcze doły pod Little Bighorn. W reakcji na blitzkrieg Kamali Trump zaczął robić coraz bardziej agresywne, wręcz wulgarne uwagi wobec przeciwników, oskarżać ich o prawdziwe, wymyślone i kosmiczne przewinienia, obiecując uwięzienie swoich wrogów po wyborach – nie wspominając już o niestandardowych zachowaniach na wiecach, których esencją była dyskoteka w Oaks.

Czy ta brudna strategia przekonała wyborców, którzy prawdopodobnie widzieli już

wszystkie możliwe triki podczas poprzednich brutalnych kampanii?

Hm... Trudno wyrokować w 100 procentach, ale notowania Trumpa, zamiast polecieć w dół, poszły nieznacznie w górę i republikanin idzie leb w leb z Harris. Rzut monetą – i to rzut monetą nie w całej Ameryce, ale tylko w kilku stanach czy wręcz w wybranych hrabstwach tych stanów – tak naprawdę zadecyduje o wyniku wyborów.

„Trump czerpie swoją siłę polityczną z wyobcowania wyborców z naszego dysfunkcyjnego i coraz bardziej niedemokratycznego systemu politycznego. Od czasu wejścia do polityki w 2015 r. skutecznie pozycjonował się jako outsider rzucający wyzwanie zakorzenionym i aroganckim elitom. Przedstawia się jako obrońca ludu, wizerunek ten jest wypolerowany przez jego wulgarne maniery i język. Jego akty oskarżenia i oburzone potępienie go przez elity tylko wzmacniają tę narrację: Trump i ludzie przeciwko elitom i systemowi” – tłumaczy mi dr Dan McMillan, założyciel i dyrektor wykonawczy organizacji Save Democracy in America.

Wyśmiewana przez komików miłość Trumpa do blichtru, sztucznych złotych wykończeń w swoich komnatach, wrestlingu, muzyki łatwo wpadającej w ucho (jako nowojorczyk kocha musicale, „Evitę” widział sześć razy) oraz nazywania budynków i rzeczy swoim nazwiskiem jest tak naprawdę jego supersiłą. Trump, który wychował się na budowach – owszem, prowadzonych przez ojca milionera, ale w otoczeniu robotników budowlanych – intuicyjnie rozumie, co dla ciężko pracujących ludzi jest ważne i jak do nich dotrzeć. Jak sam mówił o sobie w wywiadzie dla „The Washington Post”: „Mam przeczucie, a moje przeczucie mówi mi czasem więcej, niż jakikolwiek inny mózg mógłby mi powiedzieć”.

„Trumpowi nie zależy na tym, by wydawać się fajnym czy inkluzywnym. Je-

■

W swojej słynnej rezydencji Mar-a-Lago były prezydent organizuje imprezy, gdzie uciela się w rolę didżeja, grając muzykę z iPada, sterując nagłośnieniem i podnosząc rytmicznie pięść w świetle lamp stroboskopowych

go zwolennicy interpretują jego akceptację sentymentalnej muzyki – głównie białych artystów – jako oznakę autentyczności. Trump nie próbuje być modny ani woke; jest 78-letnim białym mężczyzną, który lubi starą muzykę wykonywaną przez artystów, którzy wyglądają jak jego wyborcy” – wyjaśnia mi Michael Freidson, przedsiębiorca medialny i były naczelny magazynu kulturalnego „Time Out NY”.

„Kandydaci obu partii – w tym Trumpa – reprezentują zasobnych darczyńców, którzy finansują ich absurdalnie drogie kampanie. Przeciwnicy Trumpa z obu partii nie mogą już rościć sobie prawa do miana demokracji, ponieważ nie reprezentują już ludu. Dla wielu Amerykanów Trump oferuje przynajmniej pozory demokracji w formie swojej populistycznej retoryki przeciwko elitom. W tym ograniczonym sensie on rozumie rzeczywistość polityczną lepiej niż ktokolwiek inny. Dlatego wciąż ma za sobą prawie połowę kraju, a eksperci nadal tego nie rozumieją” – dodaje McMillan.

„Teflonowy Don” może popelniać gafę za gafą, może łamać normy i prawo i nawet

być za to skazany, tradycyjne media mogą mówić o tym miesiącami, ale i tak nic z tego się nie przylepia do teflonu, bo większość wyborców odcięła się od tradycyjnej telewizji i nie czyta gazet, nie czyta właściwie niczego. Czerpie informacje o świecie z krótkich rolek wideo. „Większość Amerykanów nie czerpie wiadomości z tradycyjnych mediów, jeśli w ogóle je czerpie. Informują ich media społecznościowe, a natura tych mediów jest taka, że zawsze koncentrują się na czymś nowym. To zjawisko istniało oczywiście w prasie codziennej i w telewizji już wcześniej, ale Facebook, Instagram, TikTok to podkręciły, podniosły na nowy poziom. Za ich sprawą mamy krótką pamięć i szybko zapominamy o ostatniej kontrowersji, gdy pojawia się kolejna – a Trump od lat potrafi kontrolować cykl wiadomości, więc jeśli zrobi lub powie coś, co może zdenerwować część elektoratu, jest to szybko zapominane, ponieważ społeczeństwo przechodzi do kolejnego wirusowego newsa” – wyjaśnia mi Andrew Selepak, medioznawca z Uniwersytetu Floryda.

To wszystko może tłumaczyć, dlaczego Trump jest dla wielu Amerykanów tak hipnotyczną postacią, że niektórzy porównują go do Jezusa. Sęk w tym, że rzeczy, które w mediach społecznościowych kończą się na emotikonie lub krótkim shit stormie, w realnym świecie mają fundamentalne konsekwencje. Jeśli były prezydent powróci do władzy, większość z nas w Ameryce będzie już niedługo się czuła jak wyborcy na wiecu w Oaks. Będziemy mieli do wyboru dwie opcje: albo wyjść z wiecu, albo go nagrywać komórkami, wiedząc, że to, co się dzieje, pójdzie w świat.

●

Ale czy tak nie było osiem lat temu, kiedy Trump wygrał po raz pierwszy? Zasadnicza różnica od pamiętnego triumfu w 2016 jest taka, że tym razem, jeśli milioner celebryta wygra, nie będzie już przy nim ludzi, którzy byli w stanie mu powiedzieć „nie”, jak generałowie, którzy odmówili strzelania do protestującego pokojowo tłumu po śmierci George'a Floyda w 2020 r. („Ale nie możecie tylko w kolana albo coś podobnego?” – sugerował im Trump), czy wysocy urzędnicy odmawiający certyfikowania przegranych wyborów.

„The Wall Street Journal” cytuje Dona Juniora mówiącego o planach taty na drugą kadencję: „Chcemy ludzi, którzy faktycznie będą podążać za prezydentem, należycie wybranym prezydentem, a nie działać jak nieobieralni urzędnicy, którzy wiedzą lepiej, bo nie wiedzą lepiej”. Innymi słowy, czeka nas długa dyskoteka i wiele wersji „Ave Maria”.

A jeśli Trump przegra? Po pierwsze, tłum jego akolitów od 4 lat pracuje nad planem wykoślenia i zdyskredytowania wyborów i tym razem na pewno będzie lepiej przygotowany na bardziej efektowne sianie dezinformacji niż w 2020 roku. A nawet jeśli to nie wypali, to Trump znajdzie sposób, żeby na tej przegranej zarobić. ●

Alek Korab

• przedsiębiorca medialny, dziennikarz, redaktor. Urodził się w Rzeszowie, współtworzył polski dziennik „Metropol”, był redaktorem naczelnym „Metro” - jednej z największych gazet codziennych w USA - kierując jej redakcjami w Nowym Jorku, Bostonie i Filadelfii. Prowadził lub uruchamiał projekty medialne w 14 krajach (m.in. w Hiszpanii, Szwecji, Czechach, Francji, Brazylii, Chile) współpracując m.in. z Lady Gagą, Richardem Bransonem i Karlem Lagerfeldem. Mieszka na Brooklynie w Nowym Jorku z partnerką Magdą, córką Stefanią i suczką Prymską. W tym roku, po otrzymaniu amerykańskiego obywatelstwa, wraz z Magdą po raz pierwszy weźmie udział w amerykańskich wyborach prezydenckich.

Przyjechałem do Kijowa, by spotkać się z człowiekiem, który tworzył nie tylko ścieżkę dźwiękową obu proeuropejskich rewolucji, ale i same rewolucje.

Jędrzej Ślódkowski

A ha! Gdyby chciał pan skorzystać ze schronu przeciwlotniczego, to wejście znajduje się po prawej stronie, między recepcją a windami – woła za mną recepcjonistka, a echo niesie jej głos wśród ponurych marmurów lobby. O schronie pomyślę później, na razie z radością podrzucam do góry klucz. Numer 1219 na breloku zwiastuje, że powinienem mieć doskonały widok na plac Niepodległości. Lepiej znany jako Majdan Niezależności.

W windzie wciskam guzik – wypukły, plastikowy – z numerem 12. Kiedy ja ostatnio jechałem windą z plastikowymi guzikami? I kiedy ja ostatnio widziałem windę z plastikowymi guzikami, żeby żaden z tych guzików nie wyglądał, potraktowany zapalniczką znudzonego podróżnego, jakby na zawsze zastygła na nim ślina wymieszana z węglem?

No ale to w końcu nie blok na jakimś tam polskim osiedlu w latach 90., to przesławny hotel Ukraina, socrealistyczne gmaszysko królujące nad najsłynniejszym placem Kijowa.

Pierwotnie – hotel Moskwa. Moskwa z pewnością jednak już tu nie króluje.

Majdan w mózgu

Przekręcam klucz w zamku pokoju nr 1219, wkraczam na puszysty przestwór czerwonej wykładziny i mijając kineskopowy telewizor (kiedy ostatnio widziałem kineskopowy telewizor?), łapię za kilogramy obszytych frędzlami zaslonisk i ostatnim wysiłkiem, w końcu tłukłem się tu pociągami z Warszawy 16 godzin, wpuszczam do pokoju światło.

Aua! Moje oczy nie są gotowe na przyjęcie złota, jakim promieniają kopuły kijowskich cerkwi. Słońce jak na tandetnej pocztówce odbija się też od złoceń na strzelającej w niebo prawie tak wysoko jak hotel kolumnie z Berehynią, symbolem niepodległości Ukrainy.

Ale to nie jest pocztówka. Od lat marzyłem, żeby zobaczyć Majdan z takiej perspektywy, ale aż takiego widoku się nie spodziewałem. Och, niech Berehynia błogosławi ci, Elizabeth (tak miała napisane na wizytówce) z recepcji hotelu Ukraina!

– O co wam, Polakom, chodzi z tym hotelem? Przecież to komunistyczny skansen. Mamy tu wiele znacznie fajniejszych fancy hoteli – słyszę od kolejnych Ukraińców.

– Jak to o co?! – dziwię się, że się dziwią. – A Majdan? A jedna rewolucja? Druga rewolucja? Juszczenko, Tymoszenko, „Razom nas bahato, nas ne podolały” i „Wstawaj, miła moja, wstawaj!”. A barykady z opon i co tam mieliście pod ręką? A ludzie ginący od kul Berkutu pod flagami Unii Europejskiej? My to wszystko oglądaliśmy w telewizji i obgryzaliśmy paznokcie. Wiesz, jak wam kibicowaliśmy? My to mamy ten obraz wdrukowany w mózg. Nie mógłbym chcieć spać gdzieś indziej.

I kiedy tak patrzę na Kijów z 12. piętra Ukrainy, to uświadamiam sobie, że pierwszy raz widzę Majdan w słońcu. Bo ten, który wdrukował mi się w mózg podczas pomarańczowej rewolucji na przełomie 2004 i 2005 r. i utrwalił dziewięć lat później podczas rewolucji godności zwanej Euromajdanem, to Majdan zimowy, mroźny, mroczny. Dziwne przypadki chodzą po narodach – Ukraińcy umiłowali sobie akurat przeprowadzanie rewolucji zimą. Jest połowa października, a ja przespacerowałem się tu z dworca w krótkim rękawie.

Ale przyjechałem do Kijowa nie po to, by spacerować, ale by spotkać się z człowiekiem, który współtworzył nie tylko ścieżkę dźwiękową obu proeuropejskich rewolucji, ale też współtworzył je same.

Wstawaj, miła moja, wstawaj!

Odpalam YouTube’a, by sprawdzić, gdzie podczas pomarańczowej rewolucji i Euromajdanu stała scena, na której występował Okean Elzy i z której Swiatosław Wakarczuk (mówią na niego Slawa) zarzucał rodaków do boju o europejskość Ukrainy.



POKÓJ Z WIDOKIEM W

Otóż scena stała dokładnie na drugim końcu Majdanu, daleko w dole, przy szklanej kopule – wejściu do ciągnącego się pod całym Majdanem podziemnego centrum handlowego Globus.

Na teledysku do „Wstawaj”, hymnu protestów z przełomu lat 2004/05 przeciwko wyborom prezydenckim sfalszowanym przez ówczesnego prorosyjskiego premiera Wiktora Janukowycza, kudyłty Slawa woła do placu tonącego pod morzem pomarańczowych flag: „Wstawaj, miła moja, wstawaj! Dawaj, miła moja, dawaj! Żądaj więcej!”.

Od tej piosenki zaczyna się też obrosły dziś legendami koncert, który Okean Elzy dał w tym samym miejscu dziewięć lat później. Jak zanotował ówczesny korespondent „Wyborczej”, termometry pokazywały tego wieczoru –7 st. C.

Oprócz „Wstawaj” Ukraińcy podczas tamtej rewolucji podśpiewywali też inną piosenkę Okeanu Elzy – „Stinė” (Ścianę). Oglądam fanowski teledysk na YouTube z obrazkami z Euromajdanu. Są na nim zarówno demonstranci wymachujący ukraińskimi i unijnymi flagami – rewolucja wybuchła, gdy Janukowycz odmówił podpisania umowy stowarzyszeniowej z Unią Europejską – jak i ukraińscy ZOMO-wcy, którzy atakują tłum na Majdanie.

Czy w Kijowie czuje się wojnę

Schodzę w dół placu i oglądam portrety członków Niebiańskiej Sotni wystawione wzdłuż alei zamykającej Majdan od północy. Na Majdanie zostali na zawsze, zamordowani przez służby Janukowycza.

Heroje trwającej wojny upamiętniani są natomiast na skwerze w południowej części placu. Pomędzy fotografiami, zniczami, kwiatami, wspomnieniami żon, matek, kolegów, wierszami łopoczą tysiące ukraińskich flag i chorągiewek. Pomędzy nimi także flagi wolnej Białorusi, Polski, Turcji, Gruzji i innych państw, z których pochodzili zamordowani przez Rosjan żołnierze.

Z Majdanu skręcam w Chreszczatyk, Marszałkowską Kijowa, ale do sześcianu – szerokości są tu szersze, wysokości wyższe, bieda biedniejsza, a bogactwo bogatsze.

Czy w Kijowie czuje się wojnę? – zapytacie.

Zakochani grzeją się w słońcu na ławkach. Damy w zjawiskowych toaletach pielgrzymują od sklepu do sklepu. Przegląść tiktokerzy kręcą rolki do amerykańskich hyperpopowych przebojów. Staruszka z czułością wkłada mężowi (chyba, nie pytałem) do buzi obrane cząstki pomarańczy. Zebracy zebrzą. Pijacy chleją i głośno się śmieją. Wszyscy palą.



HOTELU UKRAINA

Pod CUM-em (Centralnym Domem Towarowym), którego wystawy ozdabiają stwory z imaginarium malarki Marii Prymaczenko, na punkcie której wiosną, po otwarciu wystawy w Muzeum Sztuki Nowoczesnej, oszalała także Warszawa, babuleńka w chustce wciska mi bukiecik polnych kwiatów. Przepraszam ją, tłumacząc, że nie mam hrywien, bo nawet w knajpach płaci się tu QR kodem i napiwki też daje się w necie. W CUM-ie oprócz Hugonów Bossów, Karłów Lagerfeldów i Paców Rabbane’ów pewna firma o włosko brzmiącej nazwie oferuje towar, którego jednak w Vitkacu nie uświadczysz – wyszywanki, czyli tradycyjne ukraińskie koszule. W przejściu podziemnym przy stacji Majdan kosztują 60 zł. Tutaj – ponad 900. To prawie połowa zarobków męża mojej koleżanki, oświetleniowca w kijowskim teatrze.

Wychodzę znów na Chreszczatyk, gdzie trwa okupacja wszechobecných bud z kawą. – To zaczęło się jakieś dziesięć lat temu, wcześniej w Kijowie nie pilo się kawy. Moi rodzice dostali kiedyś ziarna w prezencie, ale nie wiedzieliśmy, do czego służą, i je komuś oddaliśmy. Sama pierwszą kawę wypilałam jako dorosła, kiedy pojechałam na studia do Lwowa – mówi Olesia. A kiedy Kijów oszalał już na punkcie kawy, to musiał być oczywiście lepszy niż rozkawiarniony po galicyjsku Lwów. – My nie mamy tu tego, co gdzie in-

dziej znane jest jako „speciality coffee”. U nas prawie każda kawa jest „speciality” – mówi mi Wład.

Po kilku próbach na chybił trafił, podczas których za 1/4 ceny w polskiej kawiarni za każdym razem rozkoszuję się kawą smaczniejszą niż w 95 proc. polskich lokali, przyznaję mu rację.

I można by zapomnieć o wojnie, gdyby nie to, że mniej więcej co minutę mijam kogoś odzianego w spodnie moro albo cały mundur. Albo chociaż dźwigającego monstrualny wojskowy plecak ozdobiony tryzubami i emblematami własnego oddziału. Spod bejsbolówek niektórych żołnierzy zwisają kozackie oseołedce. Zachodzące słońce odbija się od dynających na ich szyjach niezbędniów – zajączki skaczą po sklepowych witrynach.



Na Chreszczatyku zakochani grzeją się w słońcu na ławkach. Przeglęci tiktokerzy kręcą rolki. Żebracy żebrzą. Pijacy chleją. Wszyscy palą

• **Pięć koncertów Sławy Wakarczuka i jego Okeanu Elzy w Pałacu Sportu w Kijowie zobaczyło ponad 50 tys. osób. To były największe koncerty w Ukrainie od początku inwazji**
FOT. YURI GRVAZNOV
(KIRAI GIGS)

Kłękajcie, stadiony!

Chreszczatyk kończy się rozjazdem, zanurzam się w labirynt przejść podziemnych zamienionych na centrum handlowe. Chwila moment i już jestem pod Pałacem Sportu. Do socmodernistycznej hali o aluminiowo-szklanej fasadzie wartko wpływa już rzeka fanów Okeanu Elzy. Zaraz zacznie się pierwszy z pięciu wyjątkowych koncertów najpopularniejszego zespołu rockowego w tej części świata.

Jakby tu oddać skalę popularności Okeanu Elzy? Może tak: jeśli w Polsce podniecamy się tym, że od kilku lat kilkoro rodzimych artystów jest w stanie wypełniać stadiony, Okean Elzy wielkie areny wypełnia od lat. Dość powiedzieć, że przed pełnoskalową inwazją 100 tys. Ukraińców wybrało się na solowy koncert Sławy Wakarczuka w Kijowie. Okean Elzy wielokrotnie wygrywał doroczne podsumowania wykonawców najczęściej prezentowanych w ukraińskim eterze.

Wakarczuk, z którym spotkam się dwa dni później, jest idolem wielu Ukraińców. Nie tylko jako artysta, ale także aktywista, który od początku wojny zbiera pieniądze na rzecz uchodźców wojennych, dzieci i armii; regularnie jeździ na front i występuje dla żołnierzy.

Jeśli coś mu zaszkodziło, to czysto polityczna aktywność. Był doradcą Wiktora Juszczenki, który dzięki rewolucji został pomarańczowym prezydentem i deputowanym z ramienia jego partii. W 2019 r. zaś założona przez niego prozachodnia, liberalna partia Hołos (Głos) wprowadziła do Rady Najwyższej 20 deputowanych. W obu wypadkach Wakarczuk składał mandaty po roku posłowania.

30 lat minęło

Dla Okeanu Elzy to moment wyjątkowy z czterech powodów. Po pierwsze, to największy koncert w Ukrainie od początku pełnoskalowej inwazji.

Po drugie, zespół świętuje 30. urodziny.

Po trzecie, właśnie ukazała się pierwsza anglojęzyczna płyta Okeanu Elzy „Lighthouse”. Kilka zespołów z naszej Europy próbowało wozic gitarowe drewno do zachodniego lasu, włącznie z polskimi – Myslovitz, Cool Kids of Death czy Comą – ale Okean Elzy to zupełnie inny przypadek.

Dotyczy bowiem zespołu, który od lat gra duże koncerty na Zachodzie, co prawda głównie dla ukraińskiej diaspory, ale jednak, i który w dziejowym momencie, w którym znajduje się Ukraina, pełni funkcję ambasadora swej ojczyzny.

Skoro wytwórnia – fonograficzny gigant Warner – tak dużo inwestuje w Okean Elzy, to znaczy, że wierzy w możliwość odniesienia przez Wakarczuka i kolegów sukcesu na Zachodzie. Na albumie pojawiają się nie byle jacy goście, m.in. John Rzeznik z Goo Goo Dolls, single zostały okraszone bynajmniej nie niskobudżetowymi teledyskami, a zaraz po koncertach w Kijowie kwartet wyjeżdża na trasę po Kanadzie i Stanach Zjednoczonych.

Po czwarte, we wrześniu ukazał się z kolei pierwszy od ośmiu lat ukraińskojęzyczny album Okeanu Elzy „Toj den”, czyli „Ten dzień” – to tytuł jednego z dawniejszych hitów grupy. Fani i krytycy nie mogą się go nachwalić, przyłączam się do tego chóru, a od tworzenia promującego płytę singla „Mukaczewo” idą w miliony.

Przemierzam w tłumie splekaną posadzkę Pałacu Sportu, desperacko walcząc z telefonem. W hotelu nie udało mi się aktywować żadnej z dwóch kupionych przeze mnie wirtualnych kart SIM firmy Kyivstar, którego niebiesko-żółte reklamy jak na ironię atakują mnie w hali ze wszystkich stron.

Za poradą znajomych zainstalowałem aplikacje Cyfrowy Kijów oraz Alert, które zamieniają telefon w małą syrenę, gdy tylko na niebie pojawi się zagrożenie ze strony rosyjskich samolotów, rakiet albo dronów. Ale bez sieci nic mi po nich.

Pocieszam się, że obok mnie będzie 10 tysięcy ludzi, którzy w razie czego i tak będą wiedzieć lepiej ode mnie, co należy robić. Na wszelki wypadek jednak studiuję porozlepiane po hali kartki z informacjami na temat najbliższych schronów. I dziękuję sobie, że umierając z nudów na matematyce, dla rozrywki nauczyłem się cyrylicy.

Ciepło – zimno

Nie tylko mnie zaskakuje to, że koncert zaczyna się już o godz. 18.30. Ochroniarze nie chcą wpuszczać późnialskich na przepelnione sektory i na płytę dobiję dopiero pod koniec pierwszej piosenki, „Tam de nas nema” (Tam, gdzie nas nie ma), hitu, od którego w 1998 r. zaczęła się międzynarodowa kariera Okeanu Elzy.

Na płycie tańce trwają od pierwszych minut, ale i na trybunach mało kto bumeluje na krzeselkach, niebieskich i żółtych, rzecz jasna. Gdzieś co chwilę

powiewa ukraińska flaga, sporo fanów ma na sobie koszulki w narodowych barwach, bluzy z tryzubem albo wyszywanki.

Wakarczuk tak jak na koncercie z Euromajdanu co kilka utworów przemawia do tłumu.

– Tę piosenkę dedykujemy wszystkim bohaterom, którzy tworzyli i każdego dnia, każdej minuty tworzą tam, na wschodzie i południu, historię naszego kraju. Tym wszystkim, którzy przebywają w strasznych warunkach niewoli – chrypi. – Musimy zrobić wszystko, by każdy z nich wrócił do domu. To jest nasze zadanie. Herojom sława!

I zaczyna śpiewać: „Słońce weszło nad Azowem/ I wiatr dmie nad wydmami...”. To „Misto Marii”, hymn poświęcony obrońcom Mariupola. Ciarki chodzą po plecach, kiedy Sława w prostych, żołnierskich słowach deklaruje, że żadne „okrętowe armaty/ nie zniszczą mego marzenia”, a miasto Marii „nad dumnym Azowem” pozostanie niepokonane; do najgłębszych piwnic/ światło znów powróci”.

Ciarki przechodzą też z innego powodu: na gigantycznym kwadratowym ekranie zawieszonym nad sceną i jego dżdżownicowatych odnogach, które wiją się przez całą scenę, zachodząc aż na boczne ściany hali – nigdy czegoś takiego nie widziałem – pada wirtualny śnieg. A w kulminacyjnym punkcie piosenki śnieg zaczyna też padać w realu. Niby to tylko proste efekty, niby to tylko białe konfetti. A jednak robi się zimno. I jakoś ciężko na duszy.

Ale już w następnej piosence lider zaczyna odprawiać dzikie tany i spaceruje po wrzynającym się w publiczność wybiegu, jak Mick Jagger – od razu jest weselej.

Unplugged in Kyiv

Keithem Richardsem Okeanu Elzy był Pawło Hudimow, który odszedł z zespołu ponad dekadę temu. Wrócił jednak choćby m.in. na koncert na Euromajdanie.

W Pałacu Sportu Hudimow i Wakarczuk w akustycznym duecie grają i śpiewają najstarszy kawalek Okeanu. – Jak na ironię, naszemu pierwszemu utworowi daliśmy tytuł „Long Time Ago”. Ludzie, mieliśmy wtedy po 20 lat – śmieją się współtwórcy grupy.

Towarzyszy im jeszcze grzechoczący delikatnie perkusista Denys Hlinin, jedyny obok Wakarczuka muzyk „złotego składu” Okeanu Elzy, wciąż będący częścią zespołu. Słuchając tej rasowej rockowej ballady, przypominającej trochę piosenki Nirvany czy Alice in Chains z koncertów „MTV Unplugged”, rozejrzałem się wokół i napotkałem niejedną parę zaszklonych oczu.

I tak to się plotło przez 2 godz. 40 minut – wesoło i smutno, aktualnie i sentymentalnie, po ukraińsku i po angielsku. O perfekcyjnej dramaturgii zadecydował przede wszystkim kapitanie wymyślony punkt kulminacyjny.

Gdzieś po półtorej godziny Wakarczuk wymusza na publiczności zgodę na „wspólne karaoke”, nie zdradzając, jaką piosenkę będzie musiała zaśpiewać. Kiedy okazuje się, że to „Bez boju”, spēkane posadzki korytarzy Pałacu Sportu doznają z pewnością kolejnych obrażeń.

To nie tylko jeden z największych przebojów Okeanu Elzy – w Polsce znany też z brawurowego nagrania Igora Herbuta – o porywającej dynamice i zaraźliwej melodyce, ale także wielce znaczący tekst.

„Bez boju” to list do toksycznej kochanki, która „zabrała moje życie i go nie oddała” i która „wypiła moją krew”. Ale ten tekst po lutym 2022 r. nabrał zgoła innego znaczenia. A już na pewno refren – „Ja ne zdam sia bez boju!” (Nie poddam się bez walki!), w Kijowie wyskandowany przez 10 tysięcy gardel.

Łapanka

Uniesiony wychodzę z Pałacu Sportu i idę do pobliskiego centrum handlowego kupić coś na kolację. Z głośników w sklepie dobiega ballada śpiewana przez Sławę Wakarczuka.

Przegapiam przez to sceny, które staną się newsem także za granicą: mundurowi zatrzymują losowo wychodzących z koncertu mężczyzn i zgodnie z uchwalonym w tym roku prawem żądają okazania aplikacji świadczącej o uregulowanym stosunku służby wojskowej.

Wśród okrzyków oburzonych bliskich ładują do suk tych, którzy – jak wykazuje aplikacja – powinni być w armii. – I tych, którym nie apdejtowała się ta beznadziejna, wieszająca się apka – twierdzi potem moja znajoma. – A część na pewno zabrali na ślepo, by dostać od nich w łapę.

Parę dni później sam zostaję zatrzymany na stacji metra przez jakiegoś starszego sierżanta, który widocznie typuje mnie na dezterera. Gdy okazuję polski dowód, uśmiecha się – jak wszyscy spotkani przeze mnie Ukraińcy, gdy słyszą, że „ja Polak” – grzecznie dziękuje i życzy milego dnia.

Iść czy nie iść? Oto jest pytanie

Wracam do hotelu. Na Chreszczatyku zakochani dalej siedzą na ławkach, ale teraz grzeją się przytulasami. Osoby w kryzysie alkoholizmu i być może także bezdomności ogrzewają się butelką. Wszyscy palą.

Hotelowe wi-fi czasem zanika, a wolałbym jednak obudzić się od alertu w telefonie niż od eksplozji. Do trzech razy sztuka – kupuję kolejną kartę e-SIM, tym razem innej firmy, i wreszcie wchodzę do ukraińskiego internetu. Dwie minuty później telefon zaczyna wyć i wibrować. „Idź do najbliższego schronu!” – rozkazuje mi. Dzieś się sekund później tak samo skrzeczą już syreny w mieście. Wcale staram się nie wpaść w panikę.

Biorę oddech i przypominam sobie rozkazy moich kijowskich znajomych. Sprawdzam w kanale wojsk powietrznych Ukraińskich Sił Zbrojnych na Telegramie, co takiego leci na Kijów. „Jeśli to drony, olej to – przypominam sobie ich instrukcje. – Nikt nie schodzi do schronów z powodu dronów, są zestrzeliwane, nawet jeśli jakiś zdola wlecieć do miasta. Ale jeśli to rakiety balistyczne albo samoloty, mozesz iść do schronu”. Odnajduję na liście miejsc zagrożonych Kijów. Czytam po ukraińsku. Na wszelki wypadek wrzucam jeszcze treść komunikatu w automatycznego tłumacza i czytam po polsku. To szachedy. Uff. No i teoretycznie, przypominam sobie, teoretycznie jestem w najbezpieczniejszym miejscu Ukrainy. 100 m powyżej hotelu zaczyna się już zamknięta, doskonale chroniona dzielnica prezydencko-rządowa.

Pół godziny później aplikacja odwołuje alert. Zamiast „dobranoc” żegna się ze mną cytatem z „Gwiezdnych wojen”: „May the force be with you”.

Trzy kolejne kijowskie koncerty Okeanu Elzy przebiegną bez zakłóceń. Piąty, ostatni, zostanie jednak przerwany przez alarm przeciwlotniczy. I nie z powodu drona, ale ewentualności ataku raketowego. Dowiem się o tym już w Polsce z filmu na instagramowym koncie Okeanu Elzy: Sława Wakarczuk – z megafonem w dłoni – i jego koledzy z zespołu grają na schodach metra. Otacza ich morze fanów. Oświetlają korytarz światłkami z komórek. Wszyscy razem skandują: „Ja ne zdam sia bez boju!”.

Tydzień później zespół poinformuje, że ponad 10 mln hrywien (1 mln zł), które zarobił na biletach na kijowskie koncerty, przekaze na potrzeby ukraińskich żołnierzy.



Zostaję zatrzymany na stacji metra przez jakiegoś starszego sierżanta, który widocznie typuje mnie na dezterera

NIE MOŻNA ZROBIĆ Z UKRAINY WIELKIEGO OKOPU



FOT. YURI GRAZIMOV (KRAI GIG)

JĘDRZEJ SŁODKOWSKI: Jak to właściwie możliwe, że gracie w centrum Kijowa pięć koncertów, każdy na ponad 10 tys. widzów? Jest wojna, co najmniej raz dziennie ogłaszane są alarmy przeciwlotnicze.

SWIATOSŁAW WAKARCZUK: Pałac Sportu w Kijowie to praktycznie jedyne miejsce w Ukrainie, w którym można zorganizować tak duże wydarzenia. Powód jest prosty: można go szybko ewakuować, a cała publiczność i ludzie pracujący przy koncercie – około 11 tys. – bez problemu zmieszczą się w okolicznych schronach. Wokół Pałacu są bowiem trzy stacje metra, które podczas alarmów służą za schrony, a także duże centrum handlowe z dużym poziomem podziemnym oraz podziemne parkingi. Gdyby nie to, władze miasta nie wydałyby zgody na koncerty.

Z jakimi jeszcze wyzwaniem musieliście się zmierzyć podczas organizacji takiej serii koncertów?

– Przede wszystkim z dylematem moralnym: czy granie koncertów w czasie wojny jest w porządku?

Odpowiadam z całą stanowczością: tak, to jest w porządku. Co więcej, trzeba to robić! Trwa wojna, ale musimy w miarę możliwości utrzymywać rzeczywistość taką, jaka była przed wojną.

Dla mnie to główny motor napędowy koncertowania. Nasi żołnierze na wschodzie i południu walczą o tę normalność. Bo jeśli nie ma normalnego życia w Kijowie i innych miastach Ukrainy, to o co właściwie walczyć? Nie można przecież zrobić z całego kraju wielkiego okopu.

O tym zresztą mówią mi żołnierze: „Jesteśmy na froncie, żeby inni ludzie mogli żyć normalnie. Grajcie dla nich”. Dlatego na koncertach zawsze proszę publiczność o jedno: żeby pamiętała o naszych chłopcach i dziewczętach. Jesteś pod sceną i bawisz się świetnie? To super, ale pamiętaj, że to możliwe jest tylko dzięki tym chłopcom i dziewczętom, którzy ryzykują dla ciebie życie i zdrowie na wschodzie i południu.

Musimy też usprawniać naszą pracę na rzecz zwycięstwa. Musimy mieć pieniądze jako państwo. Płacić podatki. Być wolontariuszami. Musimy wstępować do wojska. Te wszystkie elementy w połączeniu sprawiają, że Ukraina jest w stanie walczyć z tak potężnym wrogiem jak Rosja.

Zawsze powtarzam, że wojna nie jest prowadzona przez armię. Wojna jest prowadzona przez ludzi.

To naród jest w stanie wygrać wojnę. Armia jest tylko tego narodu przedłużeniem; jego najważniejszym, najbardziej niebezpiecznym narzędziem. I jeśli wola narodu jest silna, to i armia będzie silna. A jeśli wola narodu jest słaba, to nawet bardzo profesjonalna armia długo nie przetrwa.

Zgoda, ale armia potrzebuje broni, samochodów, lekarstw. A z tym nie jest różowo.

– To prawda. I to jest kolejna część tej całej historii.

A ty, jak rozumiem, jako lider najpopularniejszego ukraińskiego zespołu poczuwasz się do misji. Podczas niedawnej europejskiej trasy zebraliście 4 mln hrywien (ok. 380 tys. zł) na karetki ratujące żołnierzy na froncie.

– Ta suma powinna pozwolić na zakup czterech karettek. Zaraz zaczynamy trasę po Kanadzie i Stanach Zjednoczonych, podczas której będziemy dalej zbierać pieniądze. Chciałbym, żebyśmy do końca roku mieli fundusze na 30 karettek.

Jak zbieracie te pieniądze?

– Część pochodzi z aukcji, które organizujemy. Część to procent ze sprzedanych biletów. Współpracujemy też z dużymi, renomowanymi fundacjami. Na przykład akcję z karetkami prowadzimy wspólnie z fundacją OpenEyes firmy technologicznej SoftServe.

Karetki to nasza główna akcja, ale kupujemy wiele innych rzeczy dla armii, choćby drony. Gdyby podliczyć wszystko, co udało nam się zebrać od początku pełnoskalowej inwazji, to wyszłaby z tego suma 3-4 mln euro. My jesteśmy dużym zespołem, ale mniej popularni artyści też zbierają pieniądze przy każdej możliwej okazji.

Nie przeceniam jednak rozmiarów tej pomocy, bo nie są to duże pieniądze w skali tego, czego Ukraina potrzebuje. Ważniejszy jest efekt psychologiczny, poczucie, że jesteśmy częścią wielkiej wspólnoty.

Myślę, że ma to też wymiar czysto polityczny. Analitycy, którzy współpracują z różnymi rządami, zwracają przeciw uważę na to, jak mocno Ukraińcy są zdeterminowani, by bronić ojczyzny. Szczerzej zachęca swoje rządy, by zaangażować się w pomoc Ukrainie już na większą skalę.

Gracie w Stanach Zjednoczonych w momencie, który może przesądzić o losie Ukrainy. To przypadek?

– Zgadza się, gramy koncerty tuż przed wyborami prezydenckimi i zaraz po nich. Dzień wyborów, czyli 5 listopada, też spędzimy w Stanach.

Cóż, tak się to zbiegło w czasie, że 11 października wydaliśmy nasz pierwszy angielskojęzyczny album „Lighthouse” i jedziemy po prostu w dużą trasę promocyjną.

Oczywiście, żywo interesuję się tym, co dzieje się teraz w najpotężniejszej demokracji świata...

Sława, przecież wiesz, co miałem na myśli. Będziecie grali dla tysięcy osób, zapewne w ogromnej mierze tamtejszych Ukraińców i Amerykanów ukraińskiego pochodzenia. Zamierzasz zabierać tam publicznie głos na temat wyborów? Wszyscy wiemy, że wybór Kamali Harris jest bezpieczniejszy dla Ukrainy, bo Donald Trump głosi, że trzeba się dogadać z Putinem.

– Powiem to głośno i wyraźnie: ani ja, ani Okean Elzy nie jedziemy do USA, by mieszać się w wybory. Jesteśmy Ukraińcami, nie Amerykanami. Nie wolno nam tego robić!

A zresztą nie chcemy tego robić. Nie nawidzę, gdy ktoś wsadza nos w nie swoje sprawy i poucza innych. Tak właśnie zachowują się Rosjanie.

Dla nas najważniejszą sprawą jest rozmowa z tamtejszymi Ukraińcami i zaapelowanie do nich, by powtarzali informacje o Ukrainie i naszych racjach oraz potrzebach tak głośno, jak to tylko możliwe. Niezależnie od tego, kto wygra wybory, i chodź tu nie tylko o USA, ale też o każdy kraj, naszym, Ukraińców, zadaniem jest praca nad tym, by siła polityczna rządząca danym krajem rozumiała znaczenie kwestii ukraińskiej.

A czy w dwa i pół roku po rozpoczęciu inwazji i tuż po zakończeniu trasy koncertowej po Europie Zachodniej uważasz, że kwestia ukraińska, czyli także to, że walczyć w imieniu całej Europy, jest znana? Bo ja odnoszę wrażenie, że o ile Litwini czy Polacy to rozumieją, bo

wiedzą, że mogą być następni, o tyle już np. Niemcy czy Holendrzy nie bardzo. – Ależ w twoim wrazeniu nie ma nic niezrozumiałego! Jeśli słyszysz melodię dobiegającą z sąsiedniego pokoju, zapewne będziesz w stanie powiedzieć, co to za utwór. Ale jeśli echa piosenki dobiegają do ciebie z sąsiedniego mieszkania, to pewnie będziesz umiał powiedzieć tyle, że ktoś coś głośno puścił. Chęć powiedzieć, że to normalne, że ktoś, kto jest twoim sąsiadem, rozumie więcej niż ten, który mieszka dalej.

Wy, Polacy, wykonujecie niesamowitą robotę, wspierając Ukrainę, przyjmując ukraińskich uchodźców, a i wcześniej też Ukraińców, którzy postanowili po prostu w Polsce zamieszkać i pracować. Ja nie mam innych słów niż te (*tu Wakarczuk przeskakuje z angielskiego na polski*): dziękujemy bardzo za to, co dla nas robicie!

Nawiasem mówiąc, rodzina mojego brata częściowo mieszka w Polsce. Moja siostrzenica studiuje stosunki międzynarodowe na Uniwersytecie Jagiellońskim. Tak więc ja sam mam dziś polskie powiązania. Nie lekceważyłbym jednak wysiłków wielu zachodnich krajów, a dokładniej ich rządów, na rzecz Ukrainy. Wspomniałeś o Holandii, a ona wysyła do nas mnóstwo broni, samoloty F-16, instruktorów. Niemcy też przekazują nam broń. Nie sądzę, aby można było utrzymać Ukrainę w nagłówkach wiadomości przez wiele lat. I nie jest to potrzebne. To, co jest potrzebne, to aby rządy różnych państw rozumiały znaczenie tej wojny.

Ale my jesteśmy muzykami, gramy dla zwykłych ludzi. I właśnie dlatego zdecydowaliśmy się nagrać również album po angielsku – aby komunikować się z ludźmi w języku, który jest powszechnie zrozumiały. I to działa, bo po opublikowaniu dwóch teledysków z tego albumu wielu ludzi z całego świata dołączyło do naszych kanałów w mediach społecznościowych. Poznali nas, poczytali i posłuchali po angielsku także o naszej misji na rzecz Ukrainy, a następnie włączyli się w jakiś sposób w nasze działania.

A jak sądzisz jako były polityk: co będzie, jeśli Trump wygra? – Odmawiam odpowiedzi na to pytanie. Zrozum, ja już przestałem nawet o tym myśleć. Jeszcze raz: to nie do nas należy decyzja o wyborze prezydenta USA, tylko do Amerykanów! A myślenie o tym, na co nie ma się wpływu, tylko bezsensownie wysysa z ciebie energię. Wierzę, że nasz rząd znajdzie sposób na współpracę z każdym, kto zostanie wybrany.

Uważam też, że kimkolwiek byłby prezydent Stanów, to szeroka elita polityczna USA rozumie, jakie szkody Rosja wyrządza nie tylko Ukrainie, ale też całemu światu w ogóle, jak szkodzi jego stabilności. Bo w ostatecznym rozrachunku potrzebujemy przecież stabilnego, przewidywalnego świata, a kraje takie jak Rosja są nieprzewidywalne. Nieprzewidywalność zaś powoduje międzynarodowe napięcia, szkodzi gospodarce, winduje ceny i w końcu niepokój przychodzi do każdego gospodarstwa domowego w postaci inflacji. A ta w końcu powoduje napięcia we wnątrz państw.

To teraz o waszym prezydencie. Jest tak jak ty artystą... – Był artystą!

Tak czy owak, Wołodymyr Zelenski, aktor i komik, też wywodzi się ze świata kultury i show-biznesu. Jak oceniasz, także jako były lider partii konkurencyjnej wobec partii prezydenta, to, jak Zelenski radzi sobie z sytuacją? – Nasz prezydent jest dziś przede wszystkim głównodowodzącym armii. I to kompletnie nieistotne, czy ja go lubię, czy nie. Od ponad dwóch lat Ukraińcy odkładają na bok zwykłą politykę i zamiast prowadzić ze sobą walki o mało istotne sprawy, jednoczą się przeciwko prawdziwemu zagrożeniu, jakim jest Rosja.

Jako obywatel Ukrainy uważam, że Zelenski jako głównodowodzący armii ma prawo prosić nas o wsparcie. A my, obywatele, musimy zrobić wszystko, by wesprzeć naszą armię.

Okean Elzy świętuje właśnie 30. urodziny. We wrześniu wydaliście pierwszy od lat album, zatytułowany „Toj den”, czyli „Ten dzień”. To jaki był najważniejszy dla ciebie „ten dzień” w ciągu 30 lat? – Było kilka „tych dni”. Pierwszy był wtedy, kiedy zdecydowałem, że chcę być zawodowym muzykiem, a nie zawodowym naukowcem.

Miałeś iść w ślady twojego ojca Iwana Wakarczuka, fizyka, wieloletniego rektora Uniwersytetu Narodowego im. Iwana Franki we Lwowie? – Taki był plan, ale wygrała muzyka. Okazało się, że to była moja najważniejsza decyzja w życiu. Drugi „ten dzień” wydarzył się w 1998 r., kiedy wydaliśmy debiutancki album, a piosenka „Tam, de nas nema” (Tam, gdzie nas nie ma) stała się wielkim hitem. Nagle zostaliśmy gwiazdami nie tylko w Ukrainie, ale też w Rosji i innych krajach byłego ZSRR.

Russkij mir jest jak plaga. Gdy raz go zaznałeś, jesteś zaszczepiony. Nigdy już na niego nie zachorujesz

Trzeci kluczowy moment, a właściwie momenty, to oba Majdany – czyli pomarańczowa rewolucja i rewolucja godności zwana Euromajdanem. Podczas obu Okean Elzy dodawał ludziom otuchy, grając na scenie ustawionej na Majdanie. Czwarte kluczowe doświadczenie to moje regularne podróże na wschód i południe Ukrainy od początku pełnoskalowej inwazji.

W pierwszych tygodniach po inwazji także w „Wyborczej” opisywaliście twoje misje do Donbasu. Namawiałeś mieszkańców w terenów atakowanych przez Rosjan do ewakuacji. – Nie przestałem jeździć na front, choć zmienił się charakter tych wyjazdów. Teraz przede wszystkim koncertuję, by wesprzeć chłopców i dziewczyny, którzy nas bronią. Przez te dwa i pół roku dałem 285 występów. I kiedy skończy się trasa po Ameryce Północnej, pojadę tam znowu. I last but not least, piąty „mój dzień”, też podwójny, to doświadczenie ojcostwa. W ciągu ostatnich trzech i pół roku dwukrotnie zostałem ojcem. Mam syna i córkę.

Przed naszym spotkaniem obejrzałem po latach wasz legendarny koncert, który na ostrym mrozie daliście w połowie grudnia 2013 r. na Majdanie. To był jeden z przełomowych momentów Euromajdanu. Także dlatego, że tysiące uczestników anty-Majdanu, czyli zgromadzenia zorganizowanego przez ówczesne prorosyjskie władze w kontrze do Euromajdanu, zdezerterowało ze swego obozu, żeby was posłuchać. – Ten koncert był niezwykły i ważny na wielu poziomach. Odbывał się pod hasłem „Ważne rzeczy jednoczą”. Oczywiście, dziś wszyscy myślą o tym hasle w kontekście politycznym, ale dla nas to była też ważna sprawa osobista. W tym czasie Okean Elzy grał już w innym składzie niż oryginalny. My, członkowie pierwszego składu, nie komunikowaliśmy się z sobą od lat. Może nie to, że staliśmy się wrody wobec siebie, ale

było między nami dużo złej krwi. Tak to bywa, kiedy spędzasz ze sobą non stop 20 lat. Aż nagle wydarzył się Euromajdan. Wobec walki o naszą wspólną przyszłość te wszystkie niesnaski między nami okazały się śmieszne. Znow byliśmy razem i zjednoczeni wyszliśmy na scenę. Chcieliśmy, aby wszyscy ludzie, którzy tam przybyli, zarówno zwolennicy Euromajdanu, jak i jego hejterzy, po prostu się ze sobą spotkali. I to się nam udało!

Anty-Majdan się wtedy posypał. Okazało się przy okazji, jak wielu jego uczestników brało w nim udział, bo zostało zwiezionych autobusami ze Wschodu albo dlatego, że się bało się raczej europejskich cen, a nie europejskich wartości. – Zwolennicy ówczesnego prezydenta Wiktor Janukowycza, który nie chciał podpisać umowy stowarzyszeniowej z Unią Europejską, obozowali w parku Maryjskim, jakiś kilometr, półtora w górę od Majdanu. To nie było tak, że pomyśleliśmy sobie: „Oho, rozwalmy anty-Majdan, na pewno są tam też nasi fani”. Wszystko wcześniej przygotowaliśmy, by nie doszło do prowokacji. Uzgodniliśmy z, nazwijmy go, zawiadowcą Euromajdanu, że na szczycie placu, od strony parku Maryjskiego, zosta-

nie zarezerwowane specjalne miejsce dla kilku tysięcy ludzi z anty-Majdanu, którzy chcieliby nas posłuchać. I zgodnie z hasłem „Ważne rzeczy jednoczą” ludzie z Euromajdanu dotrzyмали obietnicy i ugościli na Majdanie własnych wrogów! Ba, nikt nikogo nie dotknął, wszyscy byli szczęśliwi i śpiewali razem z nami. Mówisz, że anty-Majdan się posypał i okazał w dużej mierze sterowany przez ówczesną władzę, czyli przez Rosję. To prawda, ale ten brak rzeczywistego silnego poparcia w społeczeństwie miał też swoją straszną cenę, bo władza, próbując się utrzymać, w konwulsjach użyła siły i chociaż wygraliśmy, a Janukowycz uciekł do Rosji, to sam Euromajdan skończył się krwawą masakrą. A zaraz potem Rosja zaatakowała Donbas i weszła na Krym.

Jak myślisz, co się dziś dzieje z tamtymi ludźmi z anty-Majdanu? – Ja nie „myślę”, ja znam całkiem sporo osób, które całkowicie zmieniły zdanie i dziś walczą w ukraińskiej armii przeciwko Rosji. Mogą mieć inne poglądy polityczne, mogą nie lubić Unii Europejskiej, ale bronią swojej ziemi, bo kochają Ukrainę i nie będą pozwalać na to, by ktoś tu wchodził i zaprowadzał z bronią własne porządki. Może przed pełnoskalową inwazją byli jeszcze tacy, którzy marzyli o Rosji, bo mówili po rosyjsku, nie rozumieli nowoczesnego świata, Europy i jej wartości, mieli sentyment do Związku Radzieckiego, ale dziś i oni już wiedzą doskonale, jak wygląda ta Rosja, która przychodzi i ratuje „swoich” z opresji. Sami zaznali tego ruskiego miru albo widzieli jego skutki w mediach, słyszeli o nim od swoich znajomych. Ja też widziałem ruskij mir. Byłem w Izumie kilka dni po tym, gdy we wrześniu 2022 r. nasza armia wyrzuciła stamtąd Rosjan. To było przerażające. Russkij mir jest jak plaga. Gdy raz go zaznałeś, jesteś zaszczepiony. Nigdy już na niego nie zachorujesz.

A co z waszymi fanami Rosjanami? Byliście pierwszym zespołem śpiewającym po ukraińsku, który zrobił tam tak wielką karierę. Graliście nawet na stadionie Łuźniki. Po aneksji Krymu przestaliście grać w Rosji, a od 2020 r. jesteście objęty rosyjskimi sankcjami. – Jak to mówią Francuzi: à la guerre comme à la guerre. Na wojnie, jak to na wojnie, różnie bywa. Niestety, nie mam luksusu dzielenia ludzi na naszych fanów i niefanów. Dzielę ludzi na naszych przyjaciół i naszych wrogów. Jeśli ktoś przychodzi do mojego kraju, by zabijać innych ludzi, jest moim wrogiem. I nie obchodzi mnie, czy słucha naszych piosenek czy nie. I jeśli ktoś wspiera tych, którzy przychodzą zabijać ludzi w moim kraju, też jest moim wrogiem.

W piosence „Mukaczewo” z nowej płyty zastanawiasz się, co by było, gdybyś w twoim rodzinnym Mukaczewie na Zakarpaciu spotkał „siebie samego z lat 80.” i „zapytał tego chłopczyka, który zobaczyłby mnie jako dorosłego, czy chciałby się stać głosem pokolenia tych, którzy cierpią”. Chciałby? – To bardzo filozoficzne pytanie. Jako tamten chłopiec z Mukaczewa nie przejąłbym się pewnie zbyt tą wizją, bo przecież żadne kilkuletnie dziecko nie zastanawia się specjalnie nad scenariuszami własnego życia. Chce się nim po prostu cieszyć. To jest więc raczej pytanie retoryczne, na które sam nie znam odpowiedzi. Nad całą tą piosenką unosi się znak zapytania.

A jak to jest właściwie być głosem pokolenia? Przepraszam, ale pierwszy raz w życiu rozmawiam z głosem pokolenia. – Nie wiem. Nie wiem. Nie wiem! Jestem tylko muzykiem.

Ślawa, błagam, jesteś liderem najpopularniejszego zespołu w tej części świata, idolem dla tysięcy i autorytetem dla milionów ludzi, bohaterem dwóch narodowych rewolucji, byłem liderem partii, byłem doradcą prezydenta kraju. Mam dalej wymieniać? – Już dobrze, dobrze! Słuchaj, kiedy mówię, że „jestem tylko muzykiem”, nie kokietuję. Próbuję przez to powiedzieć, że staram się nie myśleć o tych wszystkich funkcjach i przygodach, które wymienileś. Zgoda, może niektórzy uważają mnie za autorytet czy idola, ale jeśli będę o tym za dużo myślał, stracę niezależność. Stracę lekkość. A ja chcę być lekki, bo chcę być artystą. Chcę tworzyć muzykę. Dlatego wiem doskonale, że do niektórych rzeczy już w życiu nie wrócę. Na przykład na polityczną ścieżkę. Jeźdź na front i zbieram kasę dla żołnierzy. To jest teraz moja „pozaartystyczna” misja. Tak naprawdę nadal jednak jestem chłopakiem, który chce po prostu robić te wszystkie rockandrollowe rzeczy.

A dlaczego właściwie zrezygnowałeś z polityki? W rok po wyborach parlamentarnych w 2019 r., w których jako lider partii Hołos wszedłeś do Rady Najwyższej, złożyłeś mandat. – Bo o wiele bardziej przydatny jestem w tym, co robię jako artysta. Nigdy nie zamierzałem robić kariery politycznej. Nigdy!

Czy myślisz, że będziesz musiał po raz trzeci wychodzić na scenę na Majdanie, by przypilnować europejskiego kursu Ukrainy? – Zagram jeszcze na Majdanie, ale wtedy, kiedy nastąpi koniec wojny, na warunkach sprawiedliwych dla Ukrainy. Kiedy poczujemy, że o taki koniec tej wojny właśnie walczyliśmy. Kiedy zwyciężymy. ●

• Zbiórka Okeanu Elzy na karetki: <https://openeyesfund.com/pl/projects>
• Zbiórka „Wyborczej” na pomoc mieszkańcom Ukrainy: <https://zrzutka.pl/n2fj3m>



**Zamiast
„planu zwycięstwa”**

• **Powitalny toast Putina podczas szczytu BRICS w Kazaniu 23 października. Stawili się przywódcy Chin, Indii i RPA, nie było za to prezydenta Brazylii oraz księcia Saudów**

FOT. REUTERS / ALEXANDER ZEMLIANICHENKO / POOL

PIĘĆ POWODÓW DLA KTÓRYCH UKRAINA „MUSI PRZEGRACĆ”

Forsując swój „plan zwycięstwa”, Kijów chciał dać jasno do zrozumienia, że Moskwa musi przegrać rozpętaną przez siebie wojnę. Ale Zachód się z tym nie zgodził. Po prawie tysiącu dni walk Ukraina stoi pod ścianą.

Christoph B. Schiltz

WELT

Wojna w Ukrainie wkracza w nową, niepokojącą fazę. Sugerują to zarówno komunikaty ukraińskich, jak i ustalenia zachodnich służb wywiadowczych.

Według nich, do walki u boku Rosji przeciwko ukraińskiej armii przygotowuje się obecnie nawet 12 tysięcy północnokoreańskich żołnierzy, dowodzonych przez 500 oficerów.

Według Kijowa, pierwsze oddziały przysłane przez Kim Dzong Una zostaną rozmieszczone na froncie w ciągu najbliższych dni.

Chociaż te posiłki nie stanowią decydującego punktu zwrotnego na polu bitwy, Ukraina z pewnością znajdzie się pod jeszcze większą presją.

Ze względu na nadejście jesiennych opadów intensywność walk prawdopodobnie spadnie. Austriacki analityk wojskowy, płk Markus Reisner, spodziewa się jednak, że Moskwa będzie nadal atakowała ukraińskie miasta i linie obrony za pomocą artylerii i bomb szybujących, a wiosną rozpocznie kolejną ofensywę.

Rosja okupuje obecnie jedną piątą terytorium Ukrainy. Tylko w sierpniu i wrze-

śniu wojska Władimira Putina zdobyły pięć razy więcej terenu niż w całym 2023 r. Około 80 proc. przemysłowego regionu Donbasu, w tym obwody ługański i doniecki, znajduje się obecnie w rękach Moskwy, do tego 70 proc. obwodów zaporoskiego i chersońskiego.

Z dzisiejszej perspektywy Kijów nie ma realnych szans na pełne odzyskanie okupowanych terytoriów drogą militarną. Jednak to właśnie przywrócenie integralności terytorialnej Ukrainy jest niezmiennie deklarowanym celem prezydenta Wołodymyra Zełenskiego.

Jeśli brać ten cel za warunek zwycięstwa, Ukraina przegra wojnę, a Putin ją wygra. Nawet zawieszenie broni i ewentualne negocjacje pokojowe – które obecnie nadal trudno sobie wyobrazić – raczej tego nie zmienią. Jest bowiem co najmniej jedna kwestia, co do której NATO i Rosja są w dużej mierze zgodne: wynik negocjacji zostanie zdeterminowany przez układ sił panujący na froncie w momencie rozpoczęcia poszukiwania „kompromisu”.

Jak Putin – z uśmiechem – zauważył w zeszłym tygodniu na szczycie BRICS w Kazaniu, ewentualne rozmowy muszą „uwzględniać realia w terenie”.

„Niezależnie od tego, jak ostatecznie będzie wyglądało porozumienie, nigdy nie uznamy go za zwycięstwo Rosji” – powiedział nam kilka dni temu wysoki rangą urzędnik NATO. Tylko co z tego?

Istnieje pięć powodów, dla których Ukraina nie może osiągnąć swoich celów.

„Plan zwycięstwa” wzgardzony

Celem planu, do którego Zełenski usiłował przekonać kolejnych liderów na Zachodzie, było realne odwrócenie losów wojny. Kijów kalkulował tak: Ukraina miała zostać wzmocniona militarnie, politycznie i moralnie w taki sposób i na tyle, aby Putin zdał sobie sprawę, że faktycznie nie może wygrać. Dwa najważniejsze zapisy w pięciopunktowym planie to: zaproszenie Ukrainy do przystąpienia do NATO i pozwolenie na zaatakowanie celów w Rosji zachodnią bronią dalekiego zasięgu.

„Nie ma czasu do stracenia” – powtarzał w zachodnich stolicach Zełenski. Ataki Ukraińców na rosyjskie terytoria w samobronie zostały nazwane przez przewodniczącego Komitetu Wojskowego NATO, generała Rona Bauera, „logiczną decyzją” z wojskowego punktu widzenia. Niemniej jednak Zachód nadal odrzuca żądania Kijowa a najsilniejszy opór istnieje w Waszyngtonie i Berlinie. I raczej się to nie zmieni, niezależnie od tego, czy wybory w USA wygra Donald Trump, czy Kamala Harris.

Zachód nadal poważnie obawia się eskalacji: sabotażu, cyberataków, dezinformacji prowadzonej przez Rosjan na Zachodzie i ich ingerencji w trwające konflikty, takie jak obecne wsparcie Moskwy dla rebeliantów Huti na Bliskim Wschodzie, którzy coraz mocniej zagrażają międzynarodowemu transportowi morskiemu w regionie.

Zełenski został więc po swojej trasie promującej „plan zwycięstwa” z pustymi rękoma. „Teraz Zachód oczekuje bardziej realistycznego planu”, przyznaje pułkownik Reisner.

Brytyjski dziennik „Guardian” i kilka amerykańskich mediów doniosło ostatnio, że według urzędników administracji w Waszyngtonie plan proponowany przez Kijów może doprowadzić do „niekończącej się wojny”, a także stanowić bezpośrednie zagrożenie dla bezpieczeństwa Zachodu. Konieczne jest zatem „zachowanie powściągliwości” w przyszłych dostawach broni. Co więcej,

w samym NATO pojawiają się już pojedyncze głosy wyrażające wątpliwości, „czy Ukrainie uda się odzyskać wszystkie terytoria”.

Niedobory broni

Wsparcie wojskowe zapewniane przez Zachód wystarcza Ukrainie do przetrwania. Ale to zdecydowanie za mało, aby chronić infrastrukturę krytyczną, nie mówiąc o przejściu do skutecznej ofensywy na froncie.

Według ukraińskiego portalu „Kyiv Post”, w ostatnich miesiącach „dostawy broni osiągnęły rozmiary najskromniejsze od początku wojny”.

Brakuje amunicji artyleryjskiej, systemów obrony powietrznej, czołgów i pocisków dalekiego zasięgu, które są niezbędne, by niszczyć rosyjskie składy amunicji, centra dowodzenia i bazy samolotów daleko za linią frontu.

Spośród broni dostarczanej przez Niemcy największym zasięgiem dysponuje wyrzutnia rakiet Mars II – ale to zaledwie 80 kilometrów. Zamiast pocisku manewrującego powietrze-ziemia AGM 158 o zasięgu do 1800 kilometrów, USA wysłały jedynie model AGM 154 o zasięgu zaledwie 160 kilometrów. Co więcej, zapasy nатовskie również powoli się wyczerpują, to dotyczy nawet przenośnej amerykańskiej broni przeciwpancernej Javelin.

Ma to swoje widoczne konsekwencje: na wschodzie Ukrainy rosyjskie siły zbrojne stopniowo posuwają się naprzód, zajmując jeden punkt oporu po drugim. Na początku października padło strategicznie ważne miasto Wuhledar, które długo było umacniane przez Ukraińców i miało stanowić twierdzą nie do ruszenia. Obecnie Rosja przełamała drugą linię obrony Ukrainy i jest już tylko około 7 km od miasta Pokrowsk znajdujące się na trzeciej – i ostatniej – linii obrony.

Według płk. Reisnera, zdobycie Pokrowska może umożliwić głębokie przebicie się Rosjan na zachód najpóźniej do wiosny i doprowadzić do „załamania się całego

frontu w Donbasie”. Oznaczałoby to, że Putin osiągnąłby kluczowy cel wojenny.

Inwazja ok. 6 tys. ukraińskich żołnierzy na rosyjski region przygraniczny w obwodzie kurskim w sierpniu nie przyniosła oczekiwanych przez Kijów skutków: Rosja nie przesunęła tam żadnych oddziałów bojowych z Donbasu. Za to manewr z zajęciem rosyjskiego terytorium związał istotne zasoby Ukraińców, którym brakuje teraz na froncie pojazdów gąsienicowych i sprzętu inżynieryjnego do budowy umocnień.

Za mało żołnierzy

Na froncie walczy obecnie ok. 450 tys. ukraińskich żołnierzy przeciwko 540 tys. Rosjan. Naczelny dowódca armii Ukrainy, generał Oлександр Syrski, spodziewa się, że do końca roku na terytorium kraju będzie aż 690 tys. rosyjskich żołnierzy. Średnia wieku w ukraińskiej armii wynosi 45 lat, a wielu jest na froncie od samego początku wojny.

Wbrew żądaniom Zachodu, Kijów nie chce obniżyć wieku poborowego poniżej 25 lat, bojąc się wielkiego niezadowolenia ludności. Według szacunków, ok. 800 tys. młodych mężczyzn na różne sposoby skutecznie unika powołania do armii.

Według tygodnika „Economist” skala dezercji oscyluje od pięciu do dziesięciu procent stanu osobowego armii. Nastąpiło „załamanie mobilizacji”, przynajmniej Roman Kostenko, sekretarz komisji obrony w ukraińskim parlamencie.

Jednocześnie, według nowych danych amerykańskiego wywiadu, bilans strat Ukrainy to już 80 tys. ofiar śmiertelnych i 400 tys. rannych – znacznie więcej, niż dotąd zakładano.

Udane sojusze Putina

Budżet wojenny Putina ma się dobrze dzięki wysokim dochodom ze sprzedaży surowców energetycznych. Eksperci zakładają, że Kreml będzie w stanie utrzymać wojnę na obecnym poziomie intensywności przez co najmniej kolejne dwa do trzech lat.

Według fińskiego Centrum Badań nad Energią i Czystym Powietrzem (CREA), od rozpoczęcia wojny w lutym 2022 Moskwa zarobiła 707 miliardów euro na sprzedaży gazu, ropy i węgla. Z drugiej strony rosyjskie wydatki wojskowe w tym roku to „tylko” 100 miliardów euro – przynajmniej oficjalnie, bo liczby tej nie można niezależnie zweryfikować.

Według Wiedeńskiego Instytutu Badań Ekonomicznych (WIFO), handel Rosji z Chinami wzrósł od 2022 r. o 40 proc., z Turcją – o 23 proc., a z Indiami – aż o 140 proc.

Ponadto coraz więcej krajów tzw. globalnego Południa wspiera Rosję w jej planie ustanowienia nowego „wielobiegunowego” porządku światowego, jak ponownie nawzał to Putin na szczycie BRICS w Kazaniu.

Słabnące poparcie w samej Ukrainie

Wsparcie dla Ukrainy rozpada się na kilku frontach jednocześnie. Po pierwsze, USA muszą teraz dostarczać broń także otwierającemu nowe fronty na Bliskim Wschodzie Izraelowi.

Po drugie, wiara w ukraińskie zwycięstwo słabnie, a strach przed eskalacją wojny rośnie. Poparcie i gotowość do poświęceń w społeczeństwach zachodnich mają stałą tendencję spadkową.

Po trzecie, rząd cieszy się coraz mniej poparciem w samej Ukrainie. Właśnie znacząco podniesiono podatki, a według sondaży Kijowskiego Międzynarodowego Instytutu Socjologii, tylko 7 proc. Ukraińców ocenia zdecydowanie pozytywnie prezydencką partię Sługa Ludu, podczas gdy 55 proc. daje jej noty złe lub bardzo złe.

Po czwarte, według ONZ zimą należy spodziewać się najdotkliwszych jak dotąd przerw w dostawach prądu, trwających do 18 godzin dziennie, z powodu zniszczonych dostaw energii. To wyczerpuje ludzi.

Według sondaży, zwłaszcza młodzi Ukraińcy są coraz bardziej gotowi „oddać terytorium za pokój”. ●

Garton Ash

W miarę, jak prezydent Wołodymyr Zelenski coraz bardziej desperacko szuka poparcia dla swojego „planu zwycięstwa”, w zachodnich stolicach dochodzi do głosu pogląd, że nasza polityka wobec Ukrainy musi ewoluować. Kolejnym kluczowym posunięciem Waszyngtonu ma być obietnica członkostwa Ukrainy w NATO, przy czym artykuł 5 Traktatu Północnoatlantyckiego, dotyczący wzajemnej obrony wszystkich członków, obejmowałby tylko te części kraju, które kontroluje Kijów.

Co różni sytuację Ukrainy od Niemiec powojennych

Jest to rozwiązanie nazywane obecnie skrótowo „zachodnioniemieckim” – więc warto tu wyjaśnić podobieństwa i różnice z sytuacją Niemiec po 1945 roku, do której to określenie się odnosi.

Niemcy zostały podzielone, ponieważ Niemcy rozpoczęły wojnę. Ukraina zostałaby podzielona, ponieważ Rosja rozpoczęła wojnę.

Główni niemieccy zbrodniarze wojenni zostali postawieni przed sądem w Norymberdze. Władimir Putin i jego poplecznicy raczej nie staną przed żadnym sądem w najbliższym czasie.

Historyczny punkt wyjścia i bilans moralny nie mogłyby być bardziej odmienne.

Niemcy zostały podzielone według linii uzgodnionej i jasno określonej przez zwycięskich sojuszników z czasów II wojny światowej. Siły anglo-amerykańskie faktycznie nawet wycofały się w tym celu z terytorium, które początkowo okupowały w 1945 roku. W Ukrainie nie ma żadnych uzgodnionych linii demarkacyjnych.

Od samego początku ówczesnego procesu podziału w Niemczech Zachodnich znajdowała się duża liczba zachodnich żołnierzy. W Ukrainie nie ma obecnie żadnych oddziałów armii zachodnich (choć nie można powiedzieć, że nie są one w żaden sposób zaangażowane w ten konflikt).

Niemcy Wschodnie uległy sowietyzacji, ale nadal stanowiły odrębne państwo, które przez dekady pozostało, jak mogę zaświadczyć z własnego doświadczenia, bardzo niemieckie. Natomiast okupowane przez Rosję części Ukrainy nie dość, że są brutalnie rusyfikowane, to jeszcze Putin uważa je za integralne prowincje Federacji Rosyjskiej. Prawdopodobnie, że jakikolwiek przyszły rosyjski przywódca zwróci te terytoria Ukrainie w drodze pokojowych negocjacji, tak jak Michaił Gorbaczow „oddął” NRD Zachodowi, nie jest wysokie.

Jest to bolesne dla wszystkich Ukraińców, a dodatkowo straszne dla tych, którzy przecież nadal mieszkają na tych okupowanych terytoriach. Zakładam, że zachodni decydenci nie mówiliby tak lekko o potrzebie „kompromisu terytorialnego”, gdyby cho-

Opcja awaryjna

Ukraina jak Niemcy po 1945 roku?

Rozważmy konsekwencje i warunki takiej opcji – skoro Zachód nie daje rady skutecznie pomóc Ukrainie inaczej.

dzilo o odstąpienie komuś, powiedzmy, Florydy przez USA, Badenii-Wirtembergii przez Niemcy czy Walii przez Wielką Brytanię.

Zamiast listka figowego dla kapitulacji Zachodu

Niemcy Zachodnie przystąpiły do NATO w 1955 roku, zaledwie sześć lat po utworzeniu sojuszu, a już w 1957 roku współtworzyły Europejską Wspólnotę Gospodarczą. Ukraina jest obecnie kandydatem do członkostwa w UE, a rozmowy akcesyjne są w toku.

Jeśli jednak „zachodnioniemiecka analogia” ma być czymś więcej niż listkiem figowym dla wywieszenia przez Zachód białej flagi, wejście do UE musi zostać uzupełnione przez akcesję do NATO, sojusz bezpieczeństwa pod przywództwem i z gwarancjami USA.

Bezpieczeństwo jest bowiem kluczem. Bez zagwarantowania bezpieczeństwa Ukrainy nie wrócą z zagranicy, by odbudowywać swój zdevastowany kraj, niezbędne do tego inwestycje nie napłyną, nie powstanie też żaden stabilny rząd, który byłby w stanie przeprowadzić reformy konieczne, by Ukraina mogła faktycznie wejść do UE.

Prawie połowa Ukraińców mogłaby to zaakceptować?

A jednak bez względu na to, jak fatalna i bolesna byłaby de facto utrata części terytorium, już w maju aż 47 proc. Ukraińców przyznało ankieterom Międzynarodowego Instytutu Socjologii

Aż 47 proc. Ukraińców przyznało ankieterom – już w maju – że gdyby szło to w parze z odpowiednim finansowaniem odbudowy kraju i członkostwem zarówno w UE, jak i w NATO, mogliby, choć z trudem, zaakceptować takie rozwiązanie jako kompromis kończący wojnę

w Kijowie, że gdyby szło to w parze z odpowiednim finansowaniem odbudowy kraju i członkostwem zarówno w UE, jak i w NATO, mogliby, choć z trudem, zaakceptować takie rozwiązanie jako kompromis kończący wojnę.

Nic w tej sprawie nie wydarzy się przed wyborami prezydenckimi w USA 5 listopada. Jeśli zwycięży w nich Donald Trump, wszystkie plany i kalkulacje i tak pójdą do kosza. Ale już wygrana Kamali Harris stanowiłaby przynajmniej okazję do zasygnalizowania takiej zmiany w strategii Zachodu.

Ale to wymagałoby szeregu innych kroków. W ciągu następnego roku byłaby niezbędna znacznie zwiększona pomoc wojskowa, aby ustabilizować linię frontu i wytrącić Rosji z ręki argumenty militarne. Putin nie zatrzyma się bowiem, dopóki nie uzna, że jednak przegrywa w tej wojnie.

Pierwszym konkretnym krokiem mogłoby być objęcie skuteczną obrotową powietrzną kluczowej infrastruktury w Ukrainie, w tym elektrowni jądrowych. A ponieważ doprowadzenie do ratyfikacji rozszerzenia Sojuszu przez wszystkich jego 32 członków będzie zapewne długim procesem, to niezbędne byłoby przejściowe, ale natychmiastowe zobowiązanie do militarnej ochrony Ukrainy ze strony głównych europejskich sojuszników. Francja i Wielka Brytania już omawiają tę kwestię na najwyższym szczeblu, ale tu zasadniczą rolę odgrywają Niemcy, jako nadal centralna potęga Europy.

Wprawdzie utrzymywanie kanałów komunikacji z wrogiem jest zawsze przydatne, jednak miejsce na jakiegokolwiek poważne formalne negocjacje z Rosją pojawi się prawdopodobnie dopiero za jakiś czas. Może to nawet potrwać lata. W końcu ostateczne negocjacje pokojowe po klęsce nazistowskich Niemczech w 1945 roku miały miejsce dopiero w roku 1990. Ale jak pokazuje historia zimnej wojny, nawet porozumienie uznawane za prowizoryczne może trwać długo, a do tego być dość stabilne.

Przeszkody na tej drodze są ogromne. Rozważmy jednak alternatywę. Pokonana, podzielona, sfrustrowana, wyludniona Ukraina, palająca gniewem i zasadnymi pretensjami do Zachodu oraz – jak zasugerował Zelenski w zeszłym tygodniu – prawdopodobnie dążąca na własną rękę do zdobycia broni nuklearnej. Moskwa triumfująca. Reszta świata dochodząca do wniosku, że Zachód to już tylko papierowy tygrys. Xi Jinping zachęcony do zaatakowania Tajwanu. Biden i Harris przechodzący do historii jako przywódcy, którzy „stracili Ukrainę”.

Musi być – i jest – lepsze rozwiązanie. ●

Timothy Garton Ash

tłum. Łukasz Grzymiśławski



FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Timothy Garton Ash

• jest profesorem europeistyki na Uniwersytecie Oksfordzkim i Senior Fellow w Hoover Institution na Uniwersytecie Stanforda.



WYBIERZMY NASZĄ EUROPE

FORT EUROPA

Strategia migracyjna Tuska: 36 stron, pod którymi podpisuje się cała Unia Europejska.

Anna Mikulska

„kryzysie migracyjnym” w Europie usłyszeliśmy wszyscy 10 lat temu. Od 2014 r. Międzynarodowa Organizacja ds. Migracji (IOM), agenda ONZ, naliczyła już ponad 30 tys. zaginionych na Morzu Śródziemnym, w krajach Wspólnoty powstały setki tzw. ośrodków recepcyjnych, miliardy euro popłynęły na konta autorytarnych przywódców krajów afrykańskich i bliskowschodnich w zamian za zatrzymywanie migrantów i uchodźców u siebie, a u bram Europy zaczęto wznosić coraz to nowocześniejsze zapory, których strzegą uzbrojeni po zęby mundurowi.

Propozycja premiera Donalda Tuska o „czasowym i terytorialnym zawieszeniu

prawa do azylu” wpisuje się idealnie w ten krajobraz – jest zgodna z polityką Fortu Europa, a jednocześnie łamie prawo unijne i międzynarodowe.

Jeśli ktoś jeszcze ludził się, że działania obecnego rządu na granicy polsko-białoruskiej będą odmienne od tych Prawa i Sprawiedliwości, to 12 października musiał przejrzeć na oczy. Tego dnia na konwencji Koalicji Obywatelskiej premier zapowiedział krajową strategię migracyjną.

Nim pojawił się oficjalny dokument, wiele instytucji, fundacji i organizacji pozarządowych – w tym Amnesty International, Grupa Granica, Fundacja Grand Press – zdążyło wystosować apele, domagając się respektowania prawa. Przypomniano, że prawo do ubiegania się o ochronę międzynarodową jest prawem podstawowym i wynika z ratyfikowanej przez Polskę konwencji genewskiej, Karty Praw Podstawowych Unii Europejskiej oraz z konstytucji.

Trzy dni później Rada Ministrów przegłosowała uchwałę w sprawie przyjęcia dokumentu „Odzyskać kontrolę. Zapewnić bezpieczeństwo. Kompleksowa i odpowiedzialna strategia migracyjna Polski na la-

ta 2025-2030”. Strategię Tuska zmieszczono na zaledwie 36 stronach.

Projekt zakłada zawieszenie przyjmowania wniosków o ochronę międzynarodową na przejściach granicznych i poza nimi „w sytuacji bezpośredniego zagrożenia bezpieczeństwa państwa”. Zdaniem Tuska właśnie z tym mamy do czynienia na granicy białoruskiej. „Respektowanie wszystkich przepisów w sytuacji, gdy wiemy, że formuła azylu politycznego jest nadużywana i wykorzystywana przez naszych nieprzyjaciół [Putina i Łukaszenkę], czyni państwo kompletnie bezradnym” – mówił w rozmowie z „Wyborczą” premier, wyrażając nadzieję, że polski scenariusz stanie się inspiracją dla innych państw Wspólnoty.

Strategia mówi o „nowym modelu udzielania ochrony”, „określonych zasadach” składania wniosków oraz wprowadzeniu „kontroli przesiewowych”. Żadnych szczegółów modelu ani zasad jednak w dokumencie nie znajdziemy. Kolejne rozdziały liczące po dwie-trzy strony dotyczą m.in. integracji, edukacji cudzoziemców, dostępu do rynku pracy i kontaktów z diasporą. Na końcu, jakby na usprawiedliwienie ogólnikowego charakteru strategii, pojawia się adnotacja, że opisane cele i kierunki strate-

giczne wymagają opracowania programu implementacyjnego.

Mimo że ogólnikowa, polska propozycja zawieszenia prawa do azylu od razu spotkała się z ciepłą reakcją innych państw na szczycie w Brukseli w czwartek 17 października.

„Nie wolno pozwalać Rosji i Białorusi ani żadnemu innemu państwu na nadużywanie naszych wartości, w tym prawa do azylu, ani na osłabianie naszych demokracji. Rada Europejska wyraża solidarność z Polską i z państwami członkowskimi, które mierzą się z tymi wyzwaniami” – czytamy w konkluzjach z tamtego spotkania. Rada zaznacza przy tym, że zamierza zapewnić skuteczną kontrolę zewnętrznych granic Unii „zgodnie z prawem UE i prawem międzynarodowym”.

Kiriakos Mitsotakis, grecki premier z centroprawicowej partii Nowa Demokracja, nie krył zadowolenia z zaostrzenia polityki migracyjnej: „Unia zbliżyła się do stanowiska Grecji w sprawie azylu. Rada Europejska mówi, że jeśli nie kwalifikujesz się do pozostania w Europie, musisz wrócić. To właściwa polityka, Grecja zawsze



FOT. REUTERS/BORJA SUAREZ

• 20 października, Gran Canaria, odwodnieni i chorzy migranci przechwyceni przez statek ratowniczy docierają do portu Arguineguin

400

• OSÓB
zginęło w 2023 r. na śródziemnomorskim szlaku migracyjnym na Wyspy Kanaryjskie

157

• TYS. OSÓB
dopłynęło do Włoch przez Morze Śródziemne w 2023 r.

ją popierała”. Brzmi niezbyt empatycznie, ale jego kraj od lat zмага się z intensywną imigracją szlakiem prowadzącym z Turcji przez Morze Egejskie. Grecy mają poczucie krzywdy – jedno z wciąż biedniejszych państw UE musi wziąć na siebie przytłaczający ciężar: albo kosztów utrzymania uchodźców, których przyjęcia w ramach solidarnościowego mechanizmu relokacji odmawiają zamożniejsze kraje, albo moralnego kaca, jaki odczuwają ludzie wypychający z powrotem w morze pontony z dziećmi.

W ten sam czwartek Beata Siemaszko, pracowniczka humanitarna i założycielka stowarzyszenia No To Ci Pomogę, przytoczyła słowa pograniczników, które ponoć padły do zatrzymanych na granicy z Białorusią mężczyzn: „Macie szczęście chłopaki, to ostatnie trzy wnioski, które przyjmujemy”.

Czy da się pogodzić zawieszenie prawa do azylu z fundamentalnymi przepisami, które gwarantują każdemu możliwość ubiegania się o ochronę? Zdaniem przewodniczącej Komisji Europejskiej Ursuli von der Leyen – tak. W kuluarach szczytu miała stwierdzić, że jeśli zawieszenie jest czasowe i proporcjonalne, to mieści się w ramach prawnych. Profesor nauk prawnych Witold Klaus, ekspert z Konsorcjum Migracyjnego, nie ma wątpliwości: „Żadne przepisy nie przewidują zawieszenia prawa do azylu, w żadnej formie”.

Tyle że Europa już dawno przestała przestrzegać własnych praw. Pushbacki, które rząd nielegalnie praktykuje na granicy z Białorusią, są od lat normą na południowych granicach UE. O ich stosowanie, bez specjalnego oglądania się na ludzkie zdrowie i życie, od lat oskarżana jest również Europejska Agencja Straży Granicznej i Przybrzeżnej, czyli Frontex. Jedynymi unijnymi instytucjami, dla których prawo migracyjne jeszcze się liczy, są Trybunał Sprawiedliwości UE i Europejski Trybunał Praw Człowieka, który już kilkakrotnie stwierdził naruszenie europejskiej konwencji praw człowieka w orzeczeniach dotyczących pushbacków na granicach UE.

Podobnie rozstrzygają sądy na szczeblach krajowych, w tym w Polsce – pierwsze takie orzeczenie wydał sąd w Hajnówce w 2022 r. Stwierdził, że wypchnięcie grupy Afgańczyków ubiegających się o ochronę było „nielegalne, niezasadne i nieprawidłowe”. Niedawno sąd krajowy w Rzymie nadepnął na odcisk premierce Giorgii Meloni, która postanowiła zrealizować to, co nie udało się Wielkiej Brytanii i Danii – czyli zastosować graniczny outsourcing i zamknąć migrantów w ośrodkach poza granicami UE.

Meloni wywodząca się ze skrajnie prawicowej partii Bracia Włosi od początku kadencji stawiała na ograniczenie nieuregulowanej migracji. Właśnie ostry sprzeciw wobec przyjmowania migrantów dał jej wyborczy sukces w 2022 r. „Nie pozwolę, by Włochy stały się europejskim obozem dla uchodźców” – grzmiała.

Rok temu do włoskich brzegów przez Morze Śródziemne dopłynęło 157 tys. osób, czyli najwięcej spośród krajów na zewnętrznych granicach UE. Wobec braku europejskiej solidarności w relokacji cudzoziemców premierka zdecydowała się szukać wsparcia gdzie indziej – w Afryce.

Jej projekt – nazwany planem Mattei; od nazwiska Enrica Mattei, ważnego biznesmena, który współpracował z krajami afrykańskimi – zakłada współpracę gospodarczą i wsparcie rozwojowe afrykańskich państw w wysokości ponad 5 mld euro. Meloni przekonuje, że dzięki temu obywatel krajów partnerskich nie będą zmuszeni wyjeżdżać do Europy za pracą. Włoska opozycja wskazuje jednak, że prawdziwym celem planu Mattei jest ograbienie państw afrykańskich z ich surowców. Do planu sceptycznie odniosła się też Komisja Unii Afrykańskiej, wskazując, że przed pu-

Jedynymi unijnymi instytucjami, dla których prawo migracyjne jeszcze się liczy, są Trybunał Sprawiedliwości UE i Europejski Trybunał Praw Człowieka

bliczną prezentacją nie został on skonsultowany z partnerami.

Na tym nie koniec. W zeszłym roku premierka Włoch, premier Holandii Mark Rutte i Ursula von der Leyen zawiązali porozumienie z autorytarnym prezydentem Tunezji Kaisem Saiedem, zobowiązując się do „zwalczania nielegalnej migracji w celu uniknięcia utraty ludzkich istnień”. Saied oskarżany jest o uciskanie społeczeństwa obywatelskiego, zawieszenie parlamentu i niszczenie demokracji. W ramach umowy UE ma przekazać miliony euro na „wsparcie rozwojowe” Tunezji w zamian za zwiększenie kontroli migracji. Tunezja oprócz Libii jest najczęściej wybieranym krajem tranzytowym na szlaku przez Morze Śródziemne.

To nie pierwsza tego typu umowa, którą Unia zawiązuje, by ograniczyć imigrację na Stary Kontynent. Najczęściej partnerami są kraje, w których regularnie dochodzi do łamania praw człowieka, zwłaszcza osób migrujących. Międzynarodowe organizacje donoszą o przemocy czy porwaniach cudzoziemców w Libii, Turcji, Maroku, Tunezji – a z każdym z tych krajów UE bądź poszczególne państwa unijne zawierały umowy opiewające na milionowe sumy, płacąc autorytarnym przywódcom za to, że umożliwią migrantom wypłynięcie na wody terytorialne Europy.

Równocześnie Meloni kontnuuuje politykę poprzedniego – wielopartyjnego, od lewa do prawa – rządu, blokując operacje ratunkowe statków organizacji pozarządowych. Aktualnie zakaz wypłynięcia uziemił we włoskim porcie statek „Geo Barents” należący do Lekarzy bez Granic. A dopiero co w życie wszedł najnowszy projekt włoskiej premierki – na mocy porozumienia z rządem w Tiranie Włochy będą przewozić migrantów ubiegających się o ochronę do Albanii i tam rozpatrywać ich wnioski. Ośrodek recepcyjny i strzeżony ośrodek dla cudzoziemców zostały wybudowane za pieniądze włoskiego rządu i pozostają pod jego jurysdykcją. Ciche założenie operacji jest takie, że jeśli ktoś nie przejdzie procedury, kłopotliwe odsyłanie go „do domu” (z deportacjami nie radzi sobie większość państw UE) spadnie na barki Albańczyków, a w razie przyznania azylu – się zobaczy.

Lecz kilka dni temu, po przetransportowaniu pierwszych 16 cudzoziemców – Egipcjan i Banglijczyków – z włoskich wód terytorialnych do Albanii, sąd w Rzymie uznał, że przetrzymywanie ich w tym ośrodku jest niezgodne z prawem, i nakazał zawrócenie mężczyzn do Włoch, gdzie mają wejść w procedurę azylową. TSUE niedawno zaś orzekł, że za kraj bezpieczny można uznać tylko te państwa, których wszyscy obywatele cieszą się swobodami obywatelskimi – nie zaliczają się do nich więc ani Egipt, ani Bangladesz.

W 2020 r. byłam na Lampedusie, słynnej włoskiej „bramie do Europy”, wyspie symbolu migracyjnej tragedii, i rozmawiałam z tymi, którym udało się przeprawić przez morze. – W Libii jest bardzo niebezpiecznie. Codziennie ktoś zabijał kogoś. Pochodzę z kraju, gdzie nie ma pieniędzy, musiałem wyjechać, żeby pomóc rodzinie. Potrzebuję pracy – mówił mi Montague, 25-letni Banglijczyk, pokazując ukryte pod maseczką blizny na twarzy.

Wcześniej na podobnej zasadzie co Włochy z Albanią starały się nawiązać wspól-

pracę z Rwandą Wielka Brytania i Dania. Ostatecznie sądy krajowe i ETPC uznały, że istnieje ryzyko, iż wnioski osób ubiegających się o ochronę nie będą w Rwandzie należycie rozpatrywane, a tym samym nie da się zagwarantować przestrzegania ich praw.

Meloni nie znajduje sojusznika w sądach, ale może pocieszać się, że przynajmniej sąsiedzi ją rozumieją. Świeżo upieczony – bo powołany we wrześniu – premier Francji Michel Barnier, weteran prawicowej Partii Republikańskiej, zapowiedział, że zaostrzenie polityki migracyjnej będzie priorytetem jego rządu. Wspólnie z Włochami zamierza utworzyć jednostki, które zajmą się powstrzymaniem przemytu ludzi przez włosko-francuską granicę. „Wszystko, co robią Włochy, aby kontrolować przepływ nielegalnej imigracji, wszystko, co my sami robimy w tym samym duchu, robimy również dla Unii Europejskiej” – przekonuje francuski premier.

Włoski outsourcing procedur azylowych skrytykował premier Hiszpanii Pedro Sánchez, lider lewicowej partii PSOE. Na szczycie Rady Europejskiej – tym samym, na którym strategia polskiego rządu spotkała się z dużym entuzjazmem – stanowczo sprzeciwili się umieszczaniu migrantów w ośrodkach poza granicami UE – bo w praktyce oznaczałoby to odsyłanie ich po pobieżnym sprawdzeniu wniosków do kraju pochodzenia. – Nie jesteśmy zwolennikami tego rodzaju praktyk, bo nie rozwiązują żadnych problemów, a tylko stwarzają kolejne – przekonywał, opowiadając się za Europą „otwartą i zamożną”, a nie „zamkniętą i biedną”. I zwracał uwagę na korzyści gospodarcze płynące z imigracji w obliczu drastycznego starzenia się hiszpańskiego społeczeństwa.

Zdawać by się mogło, że to nie tylko puście deklaracje. Rząd w Madrycie właśnie pochylił się nad trwającą od ponad trzech lat społeczną inicjatywą #RegularizaciónYa, która wzywa do uregulowania statusu pół miliona cudzoziemców bez dokumentów przebywających od dłuższego czasu na terenie Hiszpanii. Legalizacja pobytu umożliwi im wyjście z szarej strefy.

Wiele osób o nieuregulowanym statusie pracuje w rolnictwie, w tym w ogromnym kompleksie szklarni na południu kraju, widocznym aż z kosmosu. Miejsce to, nazywane „Morzem Plastik”, odwiedziłam kilka lat temu. Rozmawiałam z obywatelami Senegalu, Maroka czy Ghany, którzy mieszkali w szalasach skleconych ze skrawków brezentu albo malutkich, betonowych chatkach bez bieżącej wody. Nikt dokładnie nie wie, jak wielu imigranckich pracowników zatrudniają właściciele szklarni. Wtedy mówiło się o mniej więcej 100 tys., spośród których znaczna część nie miała żadnej umowy. Ludzie decydują się na pracę bez praw z obawy przed deportacją, jeśli próbowaliby sprzeciwić się warunkom zatrudnienia. Ich zarobki, choć poniżej hiszpańskiej płacy minimalnej, są lepsze niż w rodzimym kraju. Jednak często zdarza się, że zatrudnienia nie ma przez miesiąc lub dłużej – a przez ten czas migranci nie mogą liczyć na żadną zapomogę, podstawowe artykuły żywnościowe i higieniczne dostarczają im organizacje humanitarne. Uprawiane w „Morzu Plastik” warzywa i owoce trafiają do supermarketów wielu popularnych sieci, także w Polsce.

Z pracy migrantów o nieuregulowanym statusie korzystają liczne kraje UE, które jednocześnie chcą uszczelniania swoich granic. Modelowym przykładem może być Grecja, na której wyspy każdego roku docierają tysiące osób wypływających z Turcji. Premier Kiriakos Mitsotakis prowadzi twardą politykę migracyjną, obejmującą również regularne pushbacki na otwartym morzu. W tym roku wyspy Simi zginiął 39-letni migrant. Straż wybrzeża utrzymuje, że to była zbłąkana kula, wystrzelona w powietrze, by zatrzymać ponton z pasażerami.

Grecja stała się symbolem porażki europejskiej polityki migracyjnej i braku solidarności – to właśnie na greckiej wyspie Lesbos powstał największy, skandalicznie przepełniony obóz dla uchodźców o znamiennej, tolkienowskiej nazwie Moria, który spłonął w 2020 r., zostawiając 12 tys. osób bez dachu nad głową. Więc Kiriakos przekonuje, że UE musi jeszcze zwiększyć skalę deportacji, zdecydowanie opowiada się za zaostrzeniem reżimu granicznego, apeluje do Brukseli o dofinansowanie rozbudowy muru na pograniczu grecko-tureckim – podobnego do tego, który stanął na Podlasi -) i wzmocnienie monitoringu na tym obszarze.

Na razie, podobnie jak inne kraje na zewnętrznych granicach Europy, Grecja jest zmuszona radzić sobie sama. A jednocześnie rząd w Atenach zdaje sobie sprawę, że potrzebuje imigranckich pracowników, zwłaszcza w sektorze rolniczym. Dlatego w ubiegłym roku przegłosował ustawę, która ma pomóc wydstać się nieuregulowanym migrantom z szarej strefy.

Również rząd Hiszpanii deklaruje, że zamierza rozwiązać problem wyzysku cudzoziemców z korzyścią i dla nich, i dla gospodarki kraju. W tym celu zaczął serio rozwijać stary, prawie 25-letni program GECCO, który miał organizować i ułatwiać legalną migrację zarobkową, głównie rolników, z krajów Afryki i Ameryki Południowej. To jednak nadal kropla w morzu potrzeb, a wzniosłe hasła Sánchez wygłasza w chwili, gdy kolejni migranci giną w drodze na Wyspy Kanaryjskie – w ubiegłym roku na tamtym szlaku zaginęło ponad 400 osób. Hiszpańska opozycja oskarża koalicję rządzącą o „paraliż” i „bezczytnność” wobec śmierci na morzu.

Fińskie przepisy migracyjno-graniczne są mniej drastyczne od tych proponowanych przez Tuska – lecz i tak stoją w sprzeczności z prawem międzynarodowym

Trudno więc wierzyć w szczere intencje premiera, zwłaszcza gdy rząd w Madrycie nawiązał współpracę z Marokiem, które, podobnie jak Tunezja, otrzymało miliony euro w zamian za powstrzymanie migrantów przed przekroczeniem granicy. Możliwymi dostępnymi środkami, a w to, jakie to środki, hiszpańska strona nie wnika.

Mimo wszystko to właśnie Hiszpania przyjęła rolę głosu sumienia Europy. „Będziemy nadal bronić humanitarnego wdrażania paktu migracyjnego i azylowego, wspierać bezpieczne szlaki migracyjne wraz z krajami tranzytowymi i przeciwko mafiom, które wykorzystują ludzi. Dzięki tej polityce udało nam się już zmniejszyć liczbę przybywających o 40 proc.” – stwierdziła 10 października rzeczniczka hiszpańskiego rządu.

„Pakt o migracji i azylu”, o którym mowa, to zestaw nowych przepisów regulujących migrację i ustanawiających wspólny system azylowy na poziomie unijnym. Po kilkuletnich debatach dokument ostatecznie przyjęto w maju. Jego główne założenia to wzmocnienie kontroli na zewnętrznych granicach UE oraz solidarność krajów Wspólnoty w zarządzaniu migracjami i rozpatrywaniu wniosków o ochronę.

Podczas debat nad paktem właśnie ta ostatnia kwestia wywołała najwięcej sprzeciwu, przede wszystkim Węgier i Polski. Ówczesny premier Mateusz Morawiecki ostro krytykował plany obowiązkowej relokacji osób ubiegających się o ochronę, przekonując, że UE zmusza kraje członkowskie

do przyjmowania ludzi, „wśród których są terroryści”. Ostatecznie uzgodniono, że pakt da możliwość wyboru formy wsparcia przez poszczególne kraje – oprócz relokacji to również wkłady finansowe oraz alternatywne środki solidarnościowe, głównie wsparcie operacyjne – które mają pomóc państwom będącym pod szczególną „presją migracyjną”, takim jak Włochy.

Pakiet 10 aktów ustawodawczych składających się na „Pakt o migracji i azylu” Rada UE przyjęła większością kwalifikowaną głosów w maju. W całości odrzuciły go Węgry i Polska – już z nowym rządem – a niektórym zapisom sprzeciwiły się Słowacja i Czechy. Austria z kolei zagłosowała przeciwko rozporządzeniu o sytuacjach kryzysowych. Kraje mają obowiązek wprowadzić nowe przepisy w życie do 2026 r. Jednocześnie pakt krytykowały organizacje społeczne, wskazując, że drastycznie zwiększy ryzyko naruszeń praw człowieka, w tym m.in. „przyspieszonych i dyskryminujących procedur oceny wniosków o ochronę” i pushbacków.

Nie bacząc na wszystkie zastrzeżenia, Unia Europejska uznała swój projekt za wielki sukces. „System migracyjny będzie sprawiedliwszy i silniejszy i przyniesie konkretne korzyści w praktyce. Nowe przepisy zwiększą skuteczność europejskiego systemu azylowego i pogłębią solidarność między państwami członkowskimi” – mówiła Nicole de Moor, belgijska sekretarz stanu ds. azylu i migracji.

Ale czy ten „silniejszy system migracyjny” rozwiąże problem przemocy i śmierci na zewnętrznych granicach UE? Amnesty International wskazuje, że „porozumienie cofnie o dekady europejskie prawo azylowe. Najprawdopodobniej doprowadzi do większego cierpienia na każdym etapie podróży osoby ubiegającej się o ochronę w UE”.

Dla europejskich decydentów opinia organizacji praw człowieka nie ma jednak większego znaczenia. Bo właśnie dokonuje się zwrot w polityce migracyjnej UE, która coraz odważniej działa na przekór przepisom, które sama ustanowiła. Jednocześnie stosuje podwójne standardy – obejmując szeroką ochroną wszystkich, którzy musieli uciekać z Ukrainy, ale już nie każdego, kto wyjechał z kraju przed innym konfliktem, choćby w Sudanie.

Już przy okazji dyskusji wokół paktu Donald Tusk wskazywał, w którą stronę zamierza prowadzić polską politykę migracyjną. Dziś krytykuje PiS za niedostatecznie twardą odpowiedź na kryzys na granicy białoruskiej, chociaż wcześniej oskarżał rząd Zjednoczonej Prawicy o łamanie praw osób migrujących i wykorzystywanie ich do politycznej gry: „Jednym z największych łajdactw, jakie w Polsce się zdarzyły, była przemysłana operacja, która miała na celu postawić znak równania pomiędzy skutecznym egzekwowaniem prawa – w tym prawa azylanckiego – skutecznym pilnowaniem granicy a bezlitosnym traktowaniem tych ludzi, tych kobiet, tych uchodźców, którzy potrzebują pomocy po to, żeby przeżyć” – mówił na Kongresie Kobiet w 2022 r.

Dwa lata później jako premier na portalu X zamieszcza wpisy brzmiące jak cytaty z jego poprzednika. „Naszym prawem i naszym obowiązkiem jest ochrona polskiej i europejskiej granicy. Jej bezpieczeństwo nie będzie przedmiotem negocjacji. Z nikim”. Łamanie praw człowieka ma – tak jak w przekazie poprzedniego rządu – usprawiedliwić „instrumentalizacja migracji” przez Putina i Łukaszenkę – chociaż Koalicja 15 Października jeszcze do niedawna przekonywała, że to, co robi, nie stoi w sprzeczności z ideą humanitaryzmu.

Rzecz w tym, że ograniczanie dostępu – humanitarne lub nie – do procedur azylowych i militaryzacja granicy tak naprawdę nie zatrzymają migracji do Europy. Eksperci mówią o tym od lat. – Wszystkie działania na granicach są w jakimś stopniu skuteczne, ale nigdy w 100 proc. Przy tym nie mówimy tu o skutecznym zatrzymaniu

200

• MLN EURO

taką karę nałożył TSUE na Węgry za ograniczanie prawa do azylu

migracji, ale raczej o przekierowaniu tego ruchu do innych państw – komentowała w „Wyborczej” dr Dominika Pszczółkowska z Ośrodka Badań nad Migracjami, tego samego, z którego wywodzi się orędownik polskiego rozwiązania prof. Maciej Duszczyk, dziś wiceszef MSWiA. – Efekty zatem są, ale tylko na krótką metę i na pewnym obszarze.

„[Organizacje społeczne] mają na to dowody, że bezpieczeństwo i kontrola granic jest możliwa właśnie przy poszanowaniu praw człowieka i porozumień międzynarodowych” – czytamy z kolei w liście polskich organizacji pozarządowych do premiera.

Ale takim głosem, wcale nie pięknoduchowskim, lecz podpartym analizami, coraz trudniej się przebić. Społeczeństwo w większości nie jest przychylnie osobom ubiegającym się o azyl w Polsce i ta niechęć od kilku lat wzrasta, co pokazują badania CBOS. Na tym tle i po tragicznej śmierci żołnierza Mateusza Sitka ugodzonego nożem przez migranta plan Tuska może przynieść rządowi kilka dodatkowych punktów poparcia. Ale czy podbierze – bo nie brakuje opinii, że o to chodzi w surowości premiera – głosy skrajnej prawicy?

Ugrupowania skrajne umiejętnie rozgrywają antyimigranckie nastroje, co widać wyraźnie na Zachodzie. We wrześniowych wyborach do landtagów skrajnie prawicowa AfD odtrąbiła sukces we wschodnich Niemczech. Jednym z jej głównych postulatów jest ograniczenie imigracji. Także niemiecka partia rządząca zdaje się wsłuchiwać w głosy wyborców i mówi o konieczności zwiększania liczby deportacji.

Kancelerz Olaf Scholz zaostrza retorykę, ale zdaniem opozycji to wciąż za mało. Realną zmianą jest wprowadzony po ataku nożownika w Solingen „pakiet bezpieczeństwa”, który ma zniechęcić cudzoziemców do przyjazdu, m.in. ograniczając prawa do świadczeń socjalnych. Jednocześnie Niemcy, podobnie jak wiele innych państw Unii, borykają się z brakiem rąk do pracy, a w obliczu starzejącego się społeczeństwa, problem będzie tylko się pogłębiał. Niemniej, choć ostrożnie, niemiecka koalicja rządząca oddala się od polityki „otwartych drzwi” Angeli Merkel z pamiętnego 2015 r.

W ostatnich dwóch latach konserwatywne partie dążące do zaostrzenia polityki migracyjnej wygrały bądź utworzyły większość parlamentarną m.in. w Szwecji, Austrii i Finlandii. Tę ostatnią wykorzystał polski premier jako przykład przy prezentowaniu strategii migracyjnej – w myśl zasady: „skoro oni mogą, to my też”.

Gdy w ubiegłym roku Rosja zaczęła przekierowywać ruch migracyjny w stronę Finlandii, tamtejszy rząd zaostrzył krajowe przepisy dotyczące ochrony międzynarodowej. Ale prof. Witold Klaus zauważa, że mimo zamknięcia granicy nowe prawo nakazuje odprowadzenie osób chcących złożyć wniosek o ochronę do miejsca, gdzie zostanie im to umożliwione. „Oznacza to, że takie miejsca na granicy będą musiały być stworzone i efektywnie działać” – pisał na łamach OKO.press.

Fińskie przepisy są mniej drastyczne od tych proponowanych przez Tuska – lecz i tak stoją w sprzeczności z prawem międzynarodowym. A ekspert przypomina, że takie działania mogą państwa drogo kosztować. Za ograniczanie prawa do azylu w tym roku TSUE nałożył sankcje finansowe na Węgry w wysokości 200 mln euro. Za każdy dzień zwłoki w wykonaniu wyroku może im grozić kolejny milion.

Większość cudzoziemców z granicy polsko-białoruskiej nie zamierza zostawać w Polsce. Kierują się na Zachód, zwłaszcza do Niemiec, żeby tam ubiegać się o ochronę, szukać pracy czy dołączyć do bliskich. Są i tacy – przekonują organizacje pomocowe – którzy chcieli szukać azylu w Polsce, ale zrezygnowali po fatalnych doświadczeniach z polskimi mundurowymi.

W lipcu pojechałam do Zgorzelca-Görlitz, by przekonać się, jak w praktyce wyglądają kontrole wprowadzone na niemieckich granicach z powodu nieuregulowanej migracji. Szybko się okazało, że są wyrywkowe, a zaawansowany monitoring nie obejmuje w całości Nysy Łużyckiej, która w niektórych miejscach sięgała zaledwie do kosztów.

Polska jako pierwszy bezpieczny kraj na drodze migrantów ma obowiązek rozpatrzenia ich wniosków o azyl, a Niemcy na tej podstawie mogą ich do Polski cofnąć. W praktyce jednak nasz sąsiad nie zawsze z tej możliwości korzysta, czasem rozpatruje wnioski u siebie. Dlatego w Görlitz znajdziemy osoby w procedurze azylowej, które mają za sobą drogę przez Podlasie. – Na Białorusi strażnicy bili mnie i szczuli psami, ale sytuacja w naszym kraju zmusza nas do tej drogi. Niemiecka policja przyjęła mnie tu z godnością – mówił mi Mustafa z Syrii.

Niemcy wprowadziły punkty kontrolne na wszystkich przejściach lądowych. Jednak, jak donoszą media, są równie wyrwykowe jak te, które widziałam w Zgorzelcu. Mimo to unijni politycy oraz komentatorzy zaczęli wieszczyc koniec strefy Schengen, zwłaszcza że w ślad Niemiec zamierzają pójść kolejne kraje, tłumacząc się nie tylko nieuregulowaną imigracją, ale też terroryzmem i przestępczością zorganizowaną. Rok wcześniej tymczasowe kontrole wprowadziły Polska, Czechy i Austria w reakcji na wzmogoną migrację Syryjczyków z Turcji przez Słowację. Unia się nie rozpadła.

Równocześnie – co zauważył Parlament Europejski – strefie Schengen zagrażają działania liberalizujące niektóre wymiary migracji. Rząd Orbána złagodził przepisy dotyczące wydawania wiz dla obywateli Rosji i Białorusi. Członkowie PE wystosowali list otwarty: „Wzywamy Komisję Europejską do podjęcia pilnych działań w celu zbadania decyzji Węgier, ponieważ może ona stanowić lukę prawną i potencjalnie zagrozić ogólnemu funkcjonowaniu strefy Schengen oraz jej roli jako bezpiecznej przestrzeni dla obywateli”.

Czy Unia Europejska faktycznie może się rozpaść z powodu migracji? Długotrwałe kontrole graniczne mogą się odbić negatywnie choćby na europejskiej gospodarce. Ale mimo to europejscy politycy są nad wyraz zgodni: twierdzą Europa trzeba bronić za wszelką cenę. ●



• Projekt WYBIERZMY NASZĄ EUROPEJĘ współfinansowany jest przez Unię Europejską w ramach

programu dotacji Parlamentu Europejskiego w dziedzinie komunikacji.

• Wszelkie informacje i wypowiedzi zawarte w tekstach przedstawiają wyłącznie poglądy ich autorów. Parlament UE nie uczestniczył w przygotowaniu materiałów, nie odpowiada za ich treść i nie może być pociągany do odpowiedzialności za pośrednie lub bezpośrednie szkody mogące wynikać z realizacji projektu.



W sensie marketingowym
Tusk wygrywa z Kaczyń-
skim, ale populistyczne pali-
wo nie starcza na długo

WBREW SOBIE BRONIĘ PALIKOTA I ZIOBRY

Jan M. Piskorski

Nigdy nie przepadałem za Januszem Palikotem. Pamiętam zdziwienie, gdy posłowie PO, PiS, PSL i lewicy wybrali go zgodnie w 2008 r. na przewodniczącego sejmowej komisji mającej budować przyjazne państwo prawa. Harce Palikota, choć czasami trafiające w sedno rzeczy – jak np. wymachiwanie gumowym penisem i pistoletem, by nagłośnić sprawę gwałtu dokonanego przez policjantów; świński łeb przyniesiony do telewizji na wywiad o aferach w PZPN czy zdjęcie abp. Głódzia zestawione z kielbasą i butelką wódki na pikiecie przeciwko klerykalizacji prawa i polityki – życzliwi interpretowali jako happeningi, stanowiły one jednak milowy krok na drodze do brutalizacji naszego życia politycznego.

Niech będzie, że błazenady podlegają innym miarom. Ale już kilka lat wcześniej to on wpuścił na rynek „małpki”, wódkę w małych opakowaniach, i imitujący szampana napój bezalkoholowy dla dzieci – produkty szatańskie, które zapoczątkowały rynkowy trend, właśnie zwieńczony sławetnymi, budzącymi powszechne oburzenie alkosaszetkami. Palikot zarobił na tym krocie i czuł, że można wyciągnąć więcej. Chętnych do współpracy nie brakowało, a słabe państwo, które też na takich patologiach branży alkoholowej dzięki akcyzie zarabiało, nie potrafiło podjąć skutecznej walki.

Od Zbigniewa Ziobry też dzielił mnie ocean. Minister sprawiedli-

ści z pistoletem przy pasie – prawicowy Robespierre na współczesną miarę europejską. Samo emploi, na które uparcie pracował, budziło lęk. Inwigilował niewygodnych obywateli, słów nie ważył, uderzał mocno, jak gdyby do życia potrzebował krwi. Podczas teatralizowanych występów miewał błyskawice emocji w oczach, czym przypominał greckie Erynie, boginie zemsty, które nie przepuściły żadnemu przestępcy. Tyle że Furie były nieomyślne, stanowiły element porządku społecznego, a nie jego destabilizacji. Co za tym stało: wyrachowanie i socjotechnika, jak niektórzy sugerują, czy specyficzna konstrukcja psychiczna, bo przecież minister Ziobro przysparzał kłopotów swojemu obozowi – nie wiemy.

Los dziwnie przeciął drogi Palikota i Ziobry. Tak, że nie sposób się za nimi nie ująć.

Pierwszy po pokazowym aresztowaniu znajduje się od wielu dni w areszcie śledczym. Czy potrzebnie, nie mnie oceniać. Jednak sprawa przeciw niemu biegnie od roku, on sam nigdzie nie uciekał i był gotów złożyć wyjaśnienia z wolnej stopy. Jeśli istotnie chciałby zacierać ślady czy wpływać na świadków, a tylko w takiej sytuacji tymczasowe aresztowanie nabiera sensu, miał na to dość czasu. Dysponujemy zresztą tzw. wolnościowymi środkami zapobiegawczymi, wśród nich kontrolą elektroniczną.

Dodatkowe wątpliwości budzą motywy aresztowania – z fatalnymi dla instytucji rządowych alkatubkami w tle – oraz postępowanie prokuratury, która, jak donoszą media, uznała esemesową korespondencję oskarżonego z adwokatem za dowód w śledztwie. Prokuraturze i sądom ufa już mniejszość Polaków, co grozi podstawom

państwa. W naszym wspólnym interesie leży więc unikanie działań, które jeszcze niedawno określilibyśmy jako „ziobrystowskie”.

Nikt nie zdefiniował ściśle „ziobryzmu”, mimo że to jedno z częściej używanych pojęć. Obok skłonności do zamordyzmu charakteryzuje go przedkładanie krótkotrwałego efektu politycznego nad skuteczność długoterminową i pewien rodzaj perwersji w stosunku do przeciwnika. Skoro nie możemy użyć posiadanego pistoletu, zmieszajmy wroga z błotem, ugódźmy, niechby tylko werbalnie, tak głęboko, by się nie podniósł. Bo choć większości z nas „ziobryzm” kojarzy się źle dlatego, że jest bezsilnosny, to wyrasta w znacznej mierze z bezsilności.

Szef Suwerennej Polski jest odpowiedzialny za niszczenie praworządności i nie dziwi, że komisja śledcza ds. Pegasusa chciałaby go skłonić do zeznań, szczególnie że wobec oporu służb wzmocnionej publiczny charakter przesłuchań nie może odnotować sukcesów. Problem w tym, że Ziobro jest po długim leczeniu i trudno go traktować jako człowieka zdrowego. Gdy słyszę, jak niektórzy członkowie komisji z trudną do ukrycia złością satysfakcją ogłaszają jego wyzdrowienie, jak inni – jak Marcin Bosacki z PO – chcą go doprowadzać siłą na przesłuchanie, a Tomasz Treła z Nowej Lewicy zapowiada wniosek o – uwaga! – tymczasowe aresztowanie, przeżywam déjá vu.

W Polsce nie obowiązuje Kodeks Hammurabiego. Treła ma rację, że Ziobro nie jest „świętą krową”, ale nie zdaje sobie sprawy z tego, że dwugodzinne publiczne sesje zamieniłyby się

w tym wypadku w inkwizycyjny spektakl.

Nie chodzi o to, że – jak ujął to Wiktor Hugo, który dobrze znał rewolucję francuską z relacji rodziców stojących po przeciwnych stronach barykady – po epoce Robespierre’a ludzie chcą przede wszystkim odetchnąć. Ani o nawoływanie do współczucia dla polityków, których traktuje się u nas wciąż aż nazbyt łagodnie. Rzecz w tym, że sądów nad politykami przegranymi nie mogą odprawiać politycy ugrupowań wygranych.

Bo wówczas otrzymamy teatr, kary nikt nie poniesie, a zemsta obróci kraj w ruinę. O doprowadzaniu Ziobry siłą na przesłuchania marzy cała prawica. Taki obraz mógłby jej nawet zapewnić zwycięstwo w wyborach prezydenckich, jeśli PiS znajdzie kandydata, którego w drugiej turze mogliby przełknąć nie tylko stali wyborcy i zwolennicy Konfederacji, ale też coraz liczniejsze grono niezadowolonych z rządów tzw. Koalicji 15 Października.

Tygrysim triumfem na zwłokach powalonego przeciwnika nazwał Fryderyk Nietzsche demonstrację przemocy, w której chodzi już nie o samo zwycięstwo, lecz o upokorzenie wroga, zademonstrowanie wszem wobec, że go powaliliśmy. Spotykamy się z nią w życiu prywatnym i publicznym od zarażenia historii, a jej literacki prawzór odnajdujemy u znawcy instynktów ludzkich – Homera – mniej więcej 3 tys. lat temu. Oszałały z bólu po stracie przyjaciela Achilles bezceści zwłoki Hektora, zabójcy Patroklesa. Poeta rozumie wstrząs emocjonalny najdzielniejszego z helleńskich wojowników po stracie druha, lecz dodaje, że to zachowanie niegodne. Wielki Grek, z którego my wszyscy, rzadko krytykował postę-

powanie swoich bohaterów, wołał ich bacznie obserwować, jednak w sprawie szacunku dla przeciwnika pozostawał nieugięty. Achillesowi stojącemu do walki z innym obrońcą Troi każe powiedzieć do niego: przyjacielu. Przecież gdyby się spotkali w innych okolicznościach...

Współcześnie, przynajmniej w krajach demokratycznych, nie masakruje się antagonistów. Najłatwiej uderzyć w nich medialnie, oskarżając publicznie o wszelkie możliwe grzechy. Nie ważne, czy prawdziwe. Sądy uwolnią potem większość od zarzutów, lecz do ich imienia przylgnie na długo zła opinia, ich biznesy zostaną zrujnowane, rodziny poróżnione.

Przypomnijmy dwa obrazy ikoniczne: aresztowanie zarządu Stoczni Szczecińskiej przez SLD w 2002 r. i pięć lat później oskarżenie przez ministra Ziobrę kardiochirurga z Warszawy o zabójstwo pacjenta, w związku z czym lekarz trafił na trzy miesiące do aresztu śledczego.

PO i PSL w czasie swoich długich rządów nie zrobiły wszystkiego, co mogły, w celu ograniczenia aresztów tymczasowych, niemniej liczba aresztantów systematycznie malała – z ponad 24 tys. w rekordowym 2001 r. do 5 tys. w latach 2015-16. Po zwycięstwie PiS ponownie zaczęła rosnąć, by się ustabilizować na mniej więcej 8 tys. PO i PSL długo nie zajęły się też wyrokiem Trybunału Konstytucyjnego z 2012 r. nakazującym ustalenie przesłanek przedłużania tymczasowego aresztu. Jednak pod koniec ich rządów w odosobnieniu pozostawały dwie osoby, które bez wyroku siedziały w więzieniu ponad dwa lata. Osiem lat później było ich 51, co oznacza wzrost o 2500 proc.! To wstyd w kraju, który za panowania Władysława Jagiełły jako jeden z pierwszych wprowadził zasadę, że „nikt nie będzie więziony bez wyroku sądowego”.

Minął prawie rok od zmiany rządów w Polsce, a redemokratyzacja aparatu sprawiedliwości zdewastowanego przez rządy PiS i Suwerennej Polski nie postąpiła zbyt daleko, w każdym razie w sensie formalnym. Niekonstytucyjne zarządzenia dotyczące tymczasowego aresztowania, by przy tym pozostać, obowiązują nadal, w tym przywrócony przez ministra Ziobrę w 2016 r. sławetny art. 258, paragraf 2 k.p.k., za który krytykują nas międzynarodowe trybunały i organizacje, włącznie z ONZ, oskarżając Polskę o tortury wynikające z niejasności przepisów przedłużania czasu trwania aresztu.

Areszt śledczy nie może być karą – tę stanowi szybki i bezstronny wyrok sądowy. Aresztant nie powinien ponosić konsekwencji niewydolności państwa, zwłaszcza że ono jest wobec niego obojętne, a czasami brutalne, co wpisuje się w generalną brutalizację naszego życia. Kary zasądzane na Polskę przez międzynarodowe trybunały są tego namacalnym dowodem. Dopuśćmy raz jeszcze do głosu Wiktora Hugo: „Chcę się zła, wolność, równość i braterstwo, nie siejmy strachu”.

Obawialiśmy się, że łatwiej niedemokratyczne prawa wprowadzać, niż je znosić – podobnie jak prościej zasiać chaos, niż nad nim zapanować. Po przejściu dzikiej sfory sytuacja rzadko wraca do poprzedniego stanu, dynamika zjawisk społecznych rządzi się własnymi prawami. Obowiązywanie niekonstytucyjnych zarządzeń poprzedniego rządu jest przedłużane, przykładem strefa buforowa na granicy z Białorusią.

Rozumiem zasadę mniejszego zła, ale warto przypomnieć konsta-



FOT. JAKUB ORZECZOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

PO i PSL w czasie swoich długich rządów nie zrobiły wszystkiego, co mogły, w celu ograniczenia aresztów tymczasowych. A po zwycięstwie PiS liczba uwięzionych bez wyroku ponownie zaczęła rosnąć. To wstyd w kraju, który za panowania Władysława Jagiełły jako jeden z pierwszych wprowadził zasadę, że „nikt nie będzie więziony bez wyroku sądowego”

tację Machiavellego, słynnego przeciwcież za sprawą podręcznika zarządzania chaosem w życiu politycznym, że nie ma nic gorszego ponad gwałcenie konstytucji przez rządzących, choćby w imię dobra. Tworzy się bowiem precedens i tym samym daje pretekst do jej nieprzestrzegania na innych polach i w niecnych celach. Warto pamiętać, że kryzys Trybunału Konstytucyjnego zaczął się w 2015 r. od złamania przez PO zasady obsadzania miejsc sędziowskich. Potem Trybunał posypał się jak domek z kart, by na koniec spaść do roli kabaretu.

Nawet w skomplikowanych okolicznościach, z jakimi mamy do czynienia na granicy polsko-białoruskiej, dochowanie wierności ustawie zasadniczej niesie w sumie mniej zła niż jej łamanie. Wąski, jak podkreśla rząd, pas ziemi niedostępnej budzi nieodparte pytanie, co się tam dzieje. Przed zawodowymi przemytnikami strefa buforowa nie ochroni. Pomoc w razie potrzeby – opóźni.

Ponadto brak społecznej kontroli nad służbami mundurowymi na tak newralgicznym odcinku może sprzyjać ich brutalizacji, szczególnie w sytuacji, gdy oczekuje się od pograniczników zwiększonej efektywności. Młodzi ludzie nie wiedzą jeszcze, że obecni politycy przeminą, a makabryczne obrazy, o ile nie kolejne trupy, zostaną z nimi na zawsze.

Zasadniczy kłopot polega na tym, że ani prezydent, ani parlamentarzyści nie kwapią się do obrony konstytucji. Polska ryba psuje się niezmiennie od głowy. Maria Dąbrowska pisała proroczo w 1936 r. – wtedy z ekscesami antyżydowskimi w tle – że „wielki cham nadciąga na Polskę nie z dołu, lecz z góry, i jeśli nie znajdzie oporu, zwróci się niebawem przeciwko wszystkiemu, co prawe, światłe, szlachetne, rozumne”. I dzisiaj polska ksenofobia więcej zawdzięcza elitom władzy szerczącym lęk niż ogółowi „populistycznych” obywateli, którzy na pierwszym miejscu, jak wskazują badania, stawiają wprawdzie bezpieczeństwo, ale zaraz obok humanitaryzm.

W tym samym czasie, kiedy prezydent Andrzej Duda deprecjonuje dzia-

łałość ludzi niosących pomoc na granicy, wyzywając ich od „durniów i zdrajców”, kiedy Joachim Brudziński widzi wśród imigrantów na granicy same „młode byczki”, a premier Tusk z wicepremierem Kosiniakiem-Kamyszem cynicznie kreują atmosferę wojenną, do przeciętnego obywatela dociera świadomość, że Polska od dobrej dekady nie wnosi w europejskie dyskusje nic pozytywnego. Dlatego głosował za zmianą i może czuć się zawiedziony. I choć boi się zmiany kulturowej, jaką niosą migranci, to źle mu w roli nieczulego wyrzutka, który walczy z kobietami w ciąży, z dziećmi, z rannymi.

Nie jestem za mieszaniami polityki i moralności, lecz polityka nie może zasadać się na niemoralności. Celem partii i jej przywódców w ustroju demokratycznym jest zdobycie władzy w wyborach. To oczywiście i nie sposób się na nich o to gniewać, gdyby nie stanowiło to jedyne celu.

Niemiecki filozof Peter Sloterdijk, lewicowy konserwatysta, i, co warto podkreślić, przeciwnik masowej imigracji, twierdzi, że polityka przybrała dzisiaj charakter maniakałny. Liczy się w niej tylko „krew” i jej „sprzedaż” przez media zwane przezeń Agencją Reklamy Przemocy. Pierwszą ich ofiarą staje się niuans. Tymczasem zło od dobra, o czym wiedział już Tukidydes przed 2,5 tys. lat, dzieli nierzadko włos. By go dojrzeć, potrzeba – jak zauważa Sloterdijk za Spinozą – refleksji i ćwiczeń w zakresie roztropności, nie zaś obśmiewania i pogardy.

A w polskiej polityce od racji stanu – rozumianej i postrzeganej dalej niż horyzont najbliższego głosowania – ważniejsze stały się przepychanki w sieci, gdzie najczęściej trudno o treść, łatwiej o ostre przyprawy. Dwa tygrysy szarpiają się z rozkoszą w klatce. Szczęśliwie nasze media, przynajmniej prasa i radio, są bardziej krytyczne i bacznie się im przyglądają ze wszystkich stron. Bez nich niekontrolowana władza przestałaby się w ogóle liczyć z rzeczywistością pomiędzy wyborami. Niemniej tygrysy dokazują – jeden oznajmia wprowadzenie demokracji walczącej i wypowiedzenie międzynarodowych traktatów, czyli w konse-

kwencji także konstytucji, drugi zapowiada czystkę po wygranych wyborach i również unieważnienie konstytucji. W demokracji ateńskiej rozwiązaniem był sąd skorupkowy i skazanie polityków niebezpiecznych dla demokracji na banicję. Co my mamy zrobić?

Nieważne, że w sensie marketingowym Donald Tusk na razie wygrywa z Jarosławem Kaczyńskim, któremu odebrał tematy w walce o prezydenturę. Do wyborów zostało wiele miesięcy i wszystko jeszcze może się zmienić, jeśli nie usłyszymy pozytywnego przekazu. Co więcej, „zła mowa”, bo trudno nazwać inaczej ostatnie komunikaty polityczne obu stron, osadzi się w naszych głowach, rozbudzi nowe lęki i radykalizuje już i tak brutalną polską rzeczywistość polityczną. Demokracja będzie nadal erodowała, a słabe i akcyjne państwo ośmieszane.

Premier Tusk, podważając traktaty międzynarodowe, na których zasadza się Unia Europejska, w tym prawo do azylu dla uciekinierów wojennych i politycznych, dołącza tym samym do innych krajów europejskich podkopujących Wspólnotę. Bo cóż, że później niuansuje, że rząd tłumaczy, że w zasadzie nie chodziło o azyl, że tylko przy granicy, gdy szkodliwy i dla naszego wizerunku, i dla naszych postaw komunikat poszedł w świat. Znamy dobrze ten mechanizm z poprzednich dwóch kadencji parlamentarnych. Tym, co go wyróżnia na europejskim tle – podobnie jak wcześniej Kaczyńskiego – to gwałtowny język, bliższy retoryce przywódców partii skrajnie prawicowych niż centrowych, właściwy stronnictwom w opozycji, nie u władzy.

Zazwyczaj partia przejmująca ster rządów zmienia sposoby i akcenty wypowiedzi, które stają się bardziej przemysłane i czuje się w nich ducha odpowiedzialności. Świeżym przykładem Bracia Włoscy, bliscy ideowo PiS, mentalnie jednak dalecy. Premierka Giorgia Meloni, z której inicjatywy podjęto niewątpliwie problem imigrantów i azylu w Europie, rozumie, że w polityce nie chodzi tylko o „bycie przeciw”, lecz o to, by zmieniać Unię. Sporo już ugrała, w zamian otworzyła się na Ukrainę i rozstała z Putinem.

Tymczasem nasz premier popisuje się językiem, w którym coraz więcej bezwzględności, a mniej wolności i szacunku dla demokratycznych reguł państwa prawa. Wykazujemy z lubością każdy populistyczny lub służący alt-prawicy błąd sąsiadom, podczas gdy u siebie nie dostrzegamy szaleństwa.

Przyjrzyjmy się dwóm przykładom państw mających, tak jak my, granicę z Rosją. Gdy w październiku 2015 r., szczytowym okresie kryzysu migracyjnego w Europie, Norwegia uznała, że nie jest w stanie przyjąć więcej uchodźców napływających głównie z Afganistanu i Syrii przez Rosję, zaczęła kolportować za pomocą serwisów społecznościowych jasne komunikaty do ewentualnych imigrantów. Zwracała się do nich i w ich językach, oświadczając, że zamyka granicę, wstrzymuje przyjmowanie wniosków o azyl, a samotnych mężczyzn będzie bezzwłocznie odsyłać do domu. Jednocześnie konserwatywna premierka Erna Solberg odmówiła zamknięcia granicy z dnia na dzień. Nie można – stwierdziła – traktować w taki sposób ludzi, którzy brną przez mrozy.

Inny przykład – Finlandia, świeżo przywołana przez premiera Tuska. W istocie zamknęła granicę z Rosją już w 2023 r., gdy pojawili się na niej masowo imigranci. Owszem, rok później poszła dalej i wstrzymała przyjmowanie wniosków o azyl na tej granicy – lecz

debata parlamentarna nad przyjęciem czasowej ustawy o cofaniu uchodźców z granicy trwała wiele miesięcy, co 30 dni należy tę ustawę odnawiać, i przewidziano w niej wyjątki w odniesieniu do dzieci, inwalidów oraz innych osób szczególnie zagrożonych.

Gubimy niuanse, nie ucząc się od innych. Tracimy na tym wszyscy, a Polska zyskuje niepotrzebnie okrutną twarz.

Emocje nie są dobrym doradcą. W starożytności ujawnianie emocji, szczególnie przez mężczyzn, budziło niechęć, by nie powiedzieć strach, kojarzono je bowiem z obłędem. Dopiero zrzucaliśmy z siebie „sierść kudłatą” i oduczaliśmy się skakać sobie do gardel. Rozgoryczony decyzją sędziów pod Troją dzielny Ajaks wpadł w szal i wymordował stado baranów. Kiedy się zorientował, co uczynił, wołał samobójstwo niż wstyd.

Rzecz w tym, że w większości wypadków, gdy nasi politycy wypowiadają się o uchodźcach, nie o nich faktycznie chodzi, podobnie jak w historycznej debacie o prawie do strzelania wcale nie szło o żołnierzy. Jednych i drugich zinstrumentalizowano na potrzeby polityki wewnętrznej. Kryzys na granicy z Białorusią można było rozwiązać prościej, taniej i z zachowaniem człowieczeństwa. Przynajmniej spróbować. Sugeruje to relatywny sukces chińskich nacisków na Łukaszenkę uzyskanych w wyniku współpracy prezydenta i rządu, głównie powściągliwego ministra Radosława Sikorskiego.

Prawo do strzelania służby na pograniczu, włącznie z żołnierzami, mia-

mu ten, kto strzeże domu bliźniego”, jak zauważał Romain Rolland w „Colasie Breugnonie”. Dorzućmy tu kolejny kwiatek – dokładnie takie same warunki stawiała Polsce Erika Steinbach, grająca na niemieckich emocjach „wypędzona”, w związku z naszymi staraniami o przyjęcie do Unii. Byliśmy oburzeni, tyle że Steinbach stanowiła margines w parlamencie niemieckim, a w Polsce wypowiadają się w ten sposób politycy głównego nurtu.

Demokracja zrodziła się w starożytnej Grecji ze skandalu. Areopag ze sztuki Ajschylosa zdecydował, przewagą jednego głosu, o uniewinnieniu matkobójcy. Zapanowała konsternacja. Krzyczano, że wyrok w sprawie Orestesa depcze prawa boskie i hańbi miasto. Atena, jego patronka, wysłuchała z uwagą argumentów przeciwników, w tym i boskich Eryinii, po czym odpowiedziała, że to jej głos zadecydował o uniewinnieniu, bo chcąc mieć „dom bezpieczny i wolny od waśni”, trzeba umieć znaleźć rozwiązanie także dla takich spraw, w których wspólnota jest podzielona. Nikogo nie obrażała, świadoma, że wyrok stanowi precedens. Wskazywała, że rozumie wagę kontrargumentów. Niemniej wezwala do uszanowania rozstrzygnięcia, które nikomu nie przynosi ujmę, skoro głosy rozłożyły się po połowie. Czy lepszym rozwiązaniem, zapytała retorycznie, jest „kraj cały wściekłym spalić gniewem”?

W Polsce jesteśmy tak podzieleni, że innej drogi jak kompromis nie ma. Nie może on też lekceważyć prerogatyw prezydenta, który ma mandat silniejszy niż jakikolwiek poseł. Od biedy można zrozumieć lekceważenie partyjnych i społecznych liderów, mimo że to nic dobrego nie wnosi, ale ich zwolenników należy zdobywać. Inaczej dolewa się tylko oliwy do ognia.

Kompromis nie jest zapisany w genach. W cywilizacjach, które nie potrafiły obchodzić się z różnorodnością, każde większe odstępstwo od zbiorowej normy groziło poważnym konfliktem.

Jedność wymuszano bez pardonu: zwyczajowo kijami, w ostateczności gniewem „ludu”, często sterowanym, przed czym nie cofają się nawet demokratycznie wybrane rządy. W Indiach Partia Kongresowa po zamachu na premier Indirę Gandhi odpowiedziała pogromem Sikhów. Pisarz sikhijsko-indyjski Khushwant Singh, który zorganizował akcję informacyjną na ten temat, przypomniał wtedy znaną w tym rejonie prawdę, że gdy tygrys raz spróbuje ludzkiej krwi, pytaniem pozostaje tylko, kto będzie następna ofiarą. ●



FOT. CEZARY ASZKIEŁOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

Prof. Jan M. Piskorski

● historyk kolonizacji i migracji oraz Europy Środkowo-Wschodniej, publicysta gazet i czasopism polskich, niemieckich, szwajcarskich, wykłada historię porównawczą na Uniwersytecie Szczecińskim. Wydał m.in.: „Wygnaćcy. Przesiedlenia i uchodźcy w dwudziestowiecznej Europie”, „Gorzka sól historii. Migracje i transformacje”, „Pomeranika” (dostępne w formie e-booka na Publio.pl). Najnowsza to „Bitwy o przeszłość. Nauka, polityka, media, edukacja” (Universitas).

Czytaj więcej cudzych książek

Świat się kończy. Guru ateistów dogadał się z guru alt-rightu i inceli



Marcin Matczak

Ta rozmowa właściwie nie miała prawa się odbyć. Z jednej strony Richard Dawkins, autor „Samolubnego genu” i „Boga urojonego”, guru ateistów. Z drugiej Jordan Peterson, dla jednych utytułowany psycholog i charyzmatyczny wykładowca, odkrywający psychologiczną doniosłość biblijnych opowieści, dla innych ideolog skrajnej prawicy i tak zwanych inceli. Półtorej godziny wymiany zdań, która wyglądała tak, jakby rozmawiały ze sobą dwa światy.

To rozmowa ważna także dla nas. Jeden z najgłębszych podziałów, który biegnie przez polskie społeczeństwo, to różnica podobna do tej, która dzieli Dawkinsa i Petersona. Z jednej strony dzieci oświecenia, słusznie zachwycone siłą naszego rozumu, przekonane, że zabobon religii odszedł na zawsze w niepamięć i że wiara w naukę rozwiąże wszystkie nasze problemy. Z drugiej strony ci, dla których religia jest ciągle istotna – przekonani, że nauka nie powie nam, jak żyć i jak umierać, i że odpowiedzi na te pytania trzeba szukać gdzie indziej. Na przykład w dawnych opowieściach, które są symbolicznym, udramatyzowanym sposobem, w jaki przeszłe pokolenia dzielią się z nami swoim życiowym doświadczeniem.

Jak rozmawiać, gdy dzieli prawie wszystko? Trzeba znaleźć jakiś punkt wspólny. Peterson mówi, że studiował prace Dawkinsa i zainteresowało go stworzone przez niego pojęcie memu: elementu kultury, który rozprzestrzenia się jak wirus. Może nim być śmieszny internetowy obrazek, chwytliwa melodia, albo nowe słowo, jak „zajawka” czy „dziaders”.

Mem, zdaniem Petersona, ma związek z archetypem: z obecnym w wielu kulturach motywem, który obrazuje jakieś głębsze, psychologiczne potrzeby człowieka. Może nim być motyw spróbuje ludzkiej starca, w stylu Albusa Dumbledore’a z książek o Harrym Potterze, bohatera, który pokonuje smoka, czy – co dla tej rozmowy okazało się kluczowe – samego smoka.

Albo popularny sposób noszenia czapki z daszkiem tyłem na przód. To też mem – zachowanie, które wielu ludzi kopiuje. Peterson twierdzi, że za popularnością każdego memu stoi jego związek z głębokimi pokładami psychiki, z archetypami właśnie, dlatego są popularne. Podziwiamy Dumbledore’a, bo potrzebujemy autorytetu? Nosimy w dziwny sposób czapkę, bo wyrażamy w ten sposób bunt?

Wysiłek Petersona, by znaleźć miejsce wspólne, nie daje efektu. Dawkins mówi, że nie interesują go symbole, tylko fakty. Nie robią na nim wrażenia to, że ludzie od wieków opowiadają sobie historie, ponieważ są one nieprawdziwe. Pyta Petersona, czy naprawdę wierzy w niepokalane poczęcie Maryi, albo czy ma dowody, że Jezus zmartwychwstał. Kpi – przecież Kain, o którym Peterson często pisze, nie istniał, więc nie ma o czym gadać.

Peterson odpowiada, że w dawnych historiach nie chodzi o prawdę faktograficzną, ale metaforyczną – o hiperprawdę. O to,

by opisać cechy ludzkie, nie cechy konkretnego człowieka. Kain i zazdrość, która ka-zała mu zabić Abła, to symbol zła, które nosi w sobie wielu ludzi, może każdy z nas. Czy więcej prawdy o człowieku przekazuje nam w 100 procentach prawdziwe 24-godzinne nagranie z domu „Big Brothera”, czy „Hamlet”, „Bracia Karamazow” albo historia Abrahama?

I tu rozmowa się niemal załamuje – Dawkins chce faktów, Peterson oferuje symbole. Pierwszy się wycofuje, drugi staje się coraz bardziej nerwowy, jakby się obawiał, że szansa na porozumienie mu się wymyka. Więc schodzi na temat... smoków. Mówi, że to archetyp drapieżnika: połączenie w jednym symbolu tego, czego ludzie zawsze bali się najbardziej: węża, lwa i ognia. Dawkins jednak nie wierzy w smoki...

W komentarzach też ostra dyskusja: z jednej strony argument, że „skoro nie rozumiem Petersona, to on musi być niedorzeczny”. Z drugiej, że to jednak Peterson szuka porozumienia i obszarów, takich jak biologia ewolucyjna, budowa mózgu czy idea drapieżnika, które Dawkinsowi są bliskie. Ale ten nie wyciąga ręki w drugą stronę. Ludzie denerwują się na autora „Boga urojonego”: „gdyby Peterson powiedział, że w czasie rozmowy udało im się upiec dwie pieczenie na jednym ogniu, Dawkins odrzekłby: nie rozumiem, przecież to nie jest program o gotowaniu”.

I nagle, po godzinie rozmowy, zdarza się cud. Peterson mówi o efekcie Baldwina: to, co niedziedziczne, może stać się dziedziczne. Język jest wytworem kultury, ale powoduje, że przeżywają geny tych, którzy lepiej się nim posługują, bo potrafią negocjować i uwodzić. Symbole i metafory także mogą dawać przewagę ewolucyjną i w ten sposób propagować geny ludzi zdolnych do rozumienia symboli i metafor.

Są zwierzęta, które w obliczu drapieżnika zastygają w bezruchu. Człowiek, ukształtowany przez biologię i kulturę, zamiast zastygać w obliczu zagrożenia, konfrontuje się z nim. Jego genetyczni przodkowie nasłuchali się przecież tyle o Argonautach i Szewczykku Dratewce: jeśli chcesz zdobyć skarb, musisz skonfrontować się z tym, czego boisz się najbardziej. To prawda, którą znamy nie tylko z gier komputerowych, gdzie na końcu zawsze czeka przeciwnik najsilniejszy, ale także z psychoterapii – a na niej Peterson się dobrze zna.

Nasze historie i nasze symbole są ważne dla naszego przetrwania. I tu po raz pierwszy Dawkins mówi: „to interesujące”. I chce kontynuować rozmowę. Na końcu dyskusji obaj są zdecydowanie bliżej siebie niż wtedy, gdy ją zaczynali. Czego potrzebujemy, żeby tak rozmawiać?

Empatii. Tu widzieliśmy wejście w świat ateisty i użycie argumentów mu bliskich. Czy niewierzący są w stanie zobaczyć, że za gadającymi wężami i płonącymi krzakami kryje się treść głębsza, niż mogłoby się im wydawać?

Cierpliwości. Ale któż ją dzisiaj ma, gdy o wiele szybszą gratyfikację daje zmasakrowanie przeciwnika wpisem w mediach społecznościowych.

Wiedzy, obejmującej różne dziedziny. Peterson mówi Dawkinsowi, że Mircea Eliade w swoich pracach o sacrum i profanum przedstawia tezy ważne dla dawkinsowskiej idei memu.

Problem w tym, że – jak konkludują rozmówcy – niewiele jest ludzi, którzy jednocześnie czytają książki pochodzące jakby z dwóch światów. A jeszcze mniej takich, którzy mają cierpliwość, by nie walczyć ze sobą, ale wzajemnie siebie odkrywać w rozmowie. ●

Z **PROF. WŁODZIMIERZEM LENGAUEREM***
ROZMAWIA **SEBASTIAN SŁOWIŃSKI**

Sławomir Mentzen zostanie prezydentem?

– Nie jestem z zawodu komentatorem politycznym ani ekspertem w dziedzinach życia współczesnego. Zajmuję się życiem sprzed 2,5 tys. lat. Tylko proszę, mówmy sobie na „ty”, nie udając, że się nie znamy, bo znamy się bardzo dobrze.

Jak sobie życzysz. Natomiast właśnie dlatego rozmawiamy: Mentzen, Konfederacja i prawica próbują ugruntować swój światopogląd w cywilizacji łacińskiej, nierzadko mówią o kulturze klasycznej.

– Ja się tego oczywiście obawiam, choćby dlatego, że jak zdobędą władzę, to Polska będzie podwójnie beze mnie. Dobrze pamiętam tę słynną piątkę Mentzena. To dobra synteza poglądów prawicy.

Oczywiście szanse ma małe, ale widać rosnące poparcie dla Konfederacji i jest to bardzo niebezpieczne. Nie sądzę, aby został prezydentem w tych wyborach i mało prawdopodobne jest to, że wejdzie do drugiej tury, o co tak silnie zabiega, rozpoczynając swoją kampanię na osiem miesięcy przed wyborami

Przygotowując się do naszej rozmowy, pomyślałem o innym filologu, żyjącym w nieco innych czasach: Victorze Klempererze. Nie chcę robić analogii do Trzeciej Rzeszy, chodzi mi bardziej o pewien specjalny słuch i wrażliwość na język. Klemperer pisał: „Słowa mogą być jak małeńkie dawki jadu: połyka się je niepostrzeżenie, wydają się nie mieć żadnego skutku, a jednak po pewnym czasie występuje trujące działanie”. Konfederacja odwołuje się do niby-neutralnie brzmiącej koncepcji zdroworozsądkowości.

– Tak, owszem i za tym kryje się coś zdecydowanie nienaturalnego. Mówisz o „Lingua Tertii Imperii”, czyli języku Trzeciej Rzeszy. Jest równie ważna i dobra praca na temat języka z perspektywy propagandy, to praca Michała Głowińskiego „Marco we gadanie”.

Warto tu dodać pojęcie z epoki nieco późniejszej, mianowicie z czasów Gierka. Myślę o „jedności moralno-politycznej narodu” i dziś, owszem, treści tego zwrotu można szukać wśród różnych wypowiedzi i programów politycznych. Gierkowi pozwalał mówić to fakt, że do PZPR należało 2 mln osób. To nie była tylko wąska elita.

Oczywiście zdroworozsądkowość Konfederacji jest swego rodzaju nowomową i propagandowym uproszczeniem rzeczywistości. W tym sensie widzę wyraźne analogie i do Głowińskiego, i do Klemperera.

Zdrowy rozsądek, konserwatyzm i liberalizm gospodarczy. To sztandar, który niesie Mentzen.

– Odwoływanie się do konserwatywnych wartości oraz zdrowego rozsądku budzi we mnie zawsze poczucie dystansu i niedowierzania, że coś takiego może mieć miejsce. Jestem zdecydowanym przeciwnikiem kierowania się zdrowym rozsądkiem.

Była nawet kiedyś taka moda wśród historyków, aby kierować się zdrowym rozsądkiem, ale nie ma jednego zdrowego rozsądku: inny był w paleolicie, neolicie, w epoce brązu, w starożytności klasycznej, w XVIII wieku i dziś. Podobnie nie do końca wiem, co to są te konserwatywne wartości.

Mogę ci wytłumaczyć.

– No nie, dziękuję. Najlepiej to ilustruje taki wiersz Tetmajera:

*My o jedno tylko szlemy
Modły k’ niebu z naszej chaty:
By nam buty mogły śmierzdieć,
Jak śmierzdziały przed stu laty...*

Czy Mentzen zostanie prezydentem

Sokrates, pierwszy lewak

**Wolność w sensie greckim,
humanistycznym, każe nam myśleć i brać odpowiedzialność.
W systemie łacińskim chodzi o narzucone prawa czy przykazania**

I dedykuję ten wierszyk wszystkim wyznawcom idei konserwatywnych.

Widzisz, ale te poglądy prawica próbują ugruntować w cywilizacji europejskiej, łacińskiej, tłumacząc, że ten system wartości z nich wyrasta i jest o tyle lepszy od innych, że przetrwał 2 tys. lat. Kościół, hierarchia, naród, małżeństwa, nienawiść do lewactwa, kary cielesne dla dzieci...

– No tak, zwłaszcza bicie dzieci jest bardzo cenną wartością konserwatywną... Poza tym: bzdura. Samo to pojęcie odnosi się do

Europy średniowiecznej i powiedzmy, że tak od X-XIII wieku rozwija się aż do wieku XVI. Tak że nie, to nie jest żadna cywilizacja, która ma 2 tys. lat.

Mentzen nie ma racji i nie wie zapewne, że Nowy Testament powstał w języku greckim i że cała europejska humanistyka opiera się na grece, na świecie trochę innym, niż on sugeruje. Nie wie też zapewne, że liturgia łacińska wprowadzona została w IV wieku, a wcześniej odbywała się w grece. Łacina to język średniowiecza, więc i ta kultura, na której wspiera się Mentzen, to po prostu wartości średniowieczne. Może-

my powiedzieć, że ta cywilizacja rodzi się w XI wieku podczas wielkiej schizmy, gdy dochodzi do rozłamu w Kościele. I wtedy proszę bardzo.

Czyli co, Konfederacja to średniowiecze?

– No skoro sam Mentzen tak mówi... Tylko mnie nie przekonuje pławienie czarownic i palenie ludzi na stosie. Nie uważam tego za wielką wartość. Podkreślę jeszcze raz: humanizm europejski powstał na źródłach greckich. Nawet literatura filozoficzna rzymska powstawała w języku greckim, nie łacinie. W czasach Cycerona wątpiono

Liberalizm polega na tym, aby nikomu nic nie narzucać i zostawić każdemu wolność wyboru. Nie ma nic do tego, że ktoś nie lubi gejów czy kobiet. Ale nie może przekraczać pewnych granic, nie może ani gejów ani kobiet zniewalać



FOT. ROBERT KOWALEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

nawet, czy można pisać i wyklądać o filozofii po łacinie, bo uważano to za język zbyt prymitywny...

To sugestia?

– Nie, po prostu mówię, jak było. Łacina – brzmi dumnie i wielko, dlatego pewnie prawicowcy tak ochoczo się do niej odwołują. Ale cała filozofia, która jest podstawą myśli europejskiej, jest z gruntu grecka, więc te odwołania Mentzena są nietrafione lub po prostu mroczne jak mnisi klasztor.

Pewien wybitny znawca religii antycznych, próbując usystematyzować kwestie funkcji religii, wyróżnił trzy porządki: grecki – człowiek, rzymski – prawo; wschodni – posłuszeństwo. To nastawienie na człowieka jest trzonem humanizmu i nie pamiętamy już, że empatia, czyli spojrzenie na człowieka w całej jego złożoności, też jest wyrazem greckim i stanowi podstawę humanizmu. Nie można być humanistą i dogmatykiem, to nie jest nawet perspektywa łacińska. Konfederacji bliżej do tego wschodniego porządku lub co najmniej do surowego prawa.

W jednym z wywiadów Mentzen powiedział, robiąc z siebie właśnie takiego obiektywnego zdroworozsądkowca, że wystarczy spojrzeć na to, ile przetrwał Kościół...

– Czego bardzo żałuję.

...a ile liberalny system wartości. Dla niego to prosty rachunek – tak przynajmniej próbuje to przedstawić – że „konserwyzm” jest stary i sprawdzony. – To kolejna bzdura. Początków myśli liberalnej na spokojnie można się doszukiwać właśnie w starożytności greckiej. Znasz ten fragment z Protagorasa, że „człowiek

jest miarą wszechrzeczy”. Dokładnie to idzie tak: „człowiek jest miarą wszechrzeczy tych, które są, że są i tych, których nie ma, że nie ma”. To wyraz relatywizmu, który później krystalizuje się w myśli rzymskich stoików (piszących greką!). Liberalizmu można szukać także w greckim poglądzie sformułowanym w V wieku p.n.e., że każdy obywatel jest równy wobec prawa.

Andrzej Walicki dobrze sformułował podstawę liberalizmu, tłumacząc, że chodzi nie o wolność gospodarczą, ale o wolność jednostki. Absurdem jest twierdzić, że jest się liberałem gospodarczym, a światopoglądowo konserwatystą.

To dokładnie profil Konfederacji.

– No tak, i to trafia do niemądrych ludzi lub ludzi szukających prostych wyjaśnień. Bo wolność, w tym sensie greckim, humanistycznym, każe nam myśleć i brać odpowiedzialność. W systemie łacińskim chodzi o narzucone prawa czy przykazania. To dwie różne koncepcje człowieka.

Prawica z kręgu Mentzena uważa się za liberałów. Nie chcą nikomu nic narzucać, nikomu – jakoby – zaglądać do łóżka itp. A jednak aborcja to grzech, geje – po cichu w domu i żeby dzieci nie widziały. A poza tym obietnice bogactwa, grilla, domu, dwóch samochodów. Najlepiej latających.

– To jest kompletne nieporozumienie. Kołakowski mówił, że trzeba być niekonsekwentnym nawet w swojej niekonsekwencji. W liberalizmie więc, jak znajdziesz kogoś, kto pragnie zniewolenia, to proszę bardzo, jak znajdzie sobie kogoś, kto go zniewoli. Jak się masochista dobierze z sadystą, to czemu nie?!

Jeśli „lewactwo” rozumieć szerzej, jako liberalny paradygmat nastawiony na człowieka, to istnieje 2,5 tys. lat i jest to tradycja nieco starsza niż cywilizacja łacińska pana Mentzena

Liberalizm polega na tym, aby nikomu nic nie narzucać i zostawić każdemu wolność wyboru. Nie ma nic do tego, że ktoś nie lubi gejów czy kobiet. Nie może jednak przekraczać pewnych granic, nie może ani gejów, ani kobiet zniewalać. To są te granice. Znasz ten cytat, że granice mojej wolności kończą się tam, gdzie zaczyna się wolność drugiej osoby.

Jesteś też nauczycielem, więc zastanawiam się, jak patrzysz na to, że ludzie z mojego pokolenia Igną do Konfederacji. Co ich w tym pociąga?

– To jest bardzo proste moim zdaniem. Humanizm, o którym mówię, wymaga myślenia i odpowiedzialności. Dużo prościej podporządkować się autorytetowi i robić to, co ten autorytet nakazał. Dużo prościej jest żyć według wskazań Jana Pawła II niż Marka Aureliusza czy Sokratesa. Znacznie trudniej.

Dużo trudniej chyba według własnych wskazań.

– Ale o to chodziło przecież Sokratesowi! Jedyną metodą poznania świata jest rozum myślący jednostki. To jest trudne, bo trzeba myśleć. A ogromna część ludzi nie jest do tego zdolna, nie chce, nie umie myśleć. Tu się nie zgadzam z Sokratesem, który uważał, że każdy potrafi, tylko trzeba to z niego wyciągnąć. Większość ludzi kieruje się prostymi wskazówkami, nie będę wskazywać palcem, ale wiesz dobrze, że to ludzie z pierwszych stron gazet. „Bij Żyda, Polska bez gejów” – to bardzo proste.

Ale chyba ludzi pociąga też uproszczona wizja życia politycznego: że podatki niskie, wszystko prywatne, każdy bogaty.

– No tak, bo mamy małą świadomość polityczną. Po co mam płacić podatki, skoro nie korzystam z sądu? To bardzo naiwne przekonanie, że jest dużo instytucji, które mi nie są potrzebne, więc nie powinienem płacić podatków. Rodzaj darwinizmu.

Do którego zresztą Mentzen wprost się odwołuje, mówiąc choćby o tym, że to katolicyzm jest tym systemem wartości, który wygrał wyścig aksjologii. I że lewactwo to nowy wymysł, szkodliwy.

– Ta fraza z Protagorasa, że człowiek jest istotą rzeczy, ma 2,5 tys. lat. Trochę więcej.

To lewactwo?

– Nie lubię tak mówić.

Wiem, to anachronizm, ale poświęć się dla mnie.

– Źródłowo to określenie pogardliwe, pochodzące chyba z lat 50. Dziś też używa się tego pojęcia, żeby okazać pogardę czy żeby stygmatyzować. Nie bez powodu Trump wyzywa Harris od komunistek i lewaczek właśnie.

Ale jeśli lewactwo rozumieć szerzej, jako ten liberalny paradygmat nastawiony na człowieka, to istnieje ono 2,5 tys. lat i jest to tradycja nieco starsza niż cała ta cywilizacja łacińska pana Mentzena. A patronem lewactwa mógłby być Sokrates z tą zasadą, że każdy może żyć tak, jak chce, o ile nikomu to nie przeszkadza.

No i tu ci Mentzen powie, że idzie dwóch chłopów za rękę i jemu to przeszkadza.

– To niestety trzeba mu powiedzieć, że jego to nie dotyczy. W tym sensie, że naruszałby czyjąś wolność. Gdyby widział dwóch chłopaków namiętnie się całujących, to on ma tę wolność niepatrzenia. Niech korzysta ze swojej wolności i zostawi cudzą. Ty masz prawo kochać, kogo chcesz, a on ma wolność niepatrzenia na to. Proste.

Trochę się zgrywamy, ale dobrze wiesz, że Konfederacja jest szybko rosnącą siłą polityczną.

– Nie, jesteśmy bardzo poważni. Czasem, owszem, z dystansem, ale jestem bardzo zaniepokojony językiem pogardy Konfederacji.

Ta pogarda zamaskowana jest zdrowym rozsądkiem. To nie jest pogarda neonazistowskiego bojówkarza; to pogarda ukulturalniona, pogarda pod krawatem.

– Tak, ale przepraszam bardzo, to nie tylko Konfederacja. To wielkie niezrozumienie PSL-u tego, czym są prawa człowieka, i kładzenie kłód pod projekty dotyczące nawet nie małżeństw jedнопłciowych, tylko związków partnerskich. I właśnie w duchu liberalizmu: dla każdego! Do tego zwężenia spojrzenia na człowieka przyczynił się bardzo Kościół katolicki. Kto jest odpowiedzialny za antysemityzm i homofobię w społeczeństwie polskim? Kościół.

Zauważyłeś, że nazywając kogoś lewakiem, chce się kogoś obrazić?

– Tak, to trochę, zwłaszcza w amerykańskim kontekście, spuścizna maccartyzmu.

Silny antykomunizm jest też jednak trzonem impulsu faszystowskiego. To obłędne szukanie wroga w lewactwie. I to powtarzanie o niszczeniu status quo, wywracaniu stolika.

– To historia nazizmu. Nazizm chciał wyrzucić stolik, chcąc odnowy i odrodzenia. Pierwszym wrogiem nazizmu był wielki kapitał, który ostatecznie Hitlera poparł bezwarunkowo. Drugim – oczywiście – byli Żydzi, a trzecim właśnie lewactwo, liberalny ruch Republiki Weimarskiej. Zgniłe liberalne społeczeństwo miało być uzdrowione przez nazistów. Od wywracania stolika dużo się zaczęło.

Robisz tę analogię przypadkiem czy świadomie?

– Świadomie. Analogia ta jest widoczna, ale nie czuję się kompetentny, żeby wypowiadać się o tym ex cathedra. Nigdy nie studiowałem tej problematyki zgodnie z rygorami metody naukowej, chociaż inni to robią. Po prostu dużo czytam i dużo obserwuję. W pewnej perspektywie prawicowego populizmu analogia między Konfederacją a nazizmem, zwłaszcza w aspekcie walki z liberalizmem, wydaje się całkiem uzasadniona. ●

*Włodzimierz Lengauer

• historyk starożytności, profesor nauk humanistycznych, w latach 2005-08 dziekan Wydziału Historycznego UW, następnie prorektor Uniwersytetu Warszawskiego (2008-2012). Ostatnio autor pracy „Eros Greków” (wyd. 2023).



TO NIE JEST ROWER

Raport
ze ścieżek
rowerowych

Dostawcy na e-bikach i menedżerowie na elektrycznych monocykłach gorsi niż piraci drogowi?

Miłosz Kędracki

Jeszcze niedawno, mniej więcej przed pandemią, w Nowym Jorku, Londynie czy w Warszawie na kurierce dominowali szczupli i gęsto tatuowani subkulturowcy na „ostrym”.

W tych prehistorycznych czasach powstał mit kuriera rowerowego, który przewoząc dokumenty i kontrakty na grube miliony, utrzymywał Wall Street w coraz szybszym rozwoju. Couriers ocierali się o wielką kasę i gardzili nią, strojąc kontrkulturowe miny, jakoby liczyła się tylko wolność i rower. Przerabiali złom po wyczynowych rowerach szosowych, dorabiając do tego rozmaite teorie i filozofie.

Niektóre były całkiem spójne, jak choćby ta, że rower nie potrzebuje wyrafinowanych mechanizmów i ma być jak deska od trampoliny, którą wprawny skoczek potrafi wystrzelić się w po-

wietrze, żeby w locie zachwycić publiczność ewolucjami. Stąd pomysł, żeby wyczynową kolarzkę ograbić z przerzutek, wywalić nawet wolnobieg i spać tylnie koło z pedałem na sztywno. Czyli na ostro. Naciskasz do przodu, jedzie. Zmniejszasz nacisk, kręcisz wolniej, zwalnia... no więc po co te hamulce? I rzeczywistość - w Londynie, Nowym Jorku i Warszawie „ostre” to była niezła zajawa.

W tym czasie start-upy nie próżnowały, dostarczyły rozwiązań komunikacyjnych ułatwiających pracę. Aplikacje łączące klienta z dostawcą towaru działały wirtualnie, fizyczny łącznik zaś, czyli człowiek na rowerze, robił za portal czasoprzestrzenny w magmie zakorkowanego miasta.

Tyle że nadszedł COVID-19, z nim lockdown, liczba przewozów gwałtownie wzrosła, bo online zaczęliśmy kupować wszystko, włącznie z jedzeniem – i okazało się, że kurierka rowerowa to już nie lifestyle'owa nisza, ale logistyka pełną gębą.

W pierwszych miesiącach lockdownów, gdy okazało się, że kurierzy i dostawcy tworzą krwiobiegi miasta, ich prestiż wystrzelił w kosmos. Ale tym samym okazali się poważnym biznesem - i jak każdy poważny biznes branża rowerowej kurierki znalazła się na celowniku dużych graczy, inwestorów, korporacji dla niepoznaki nazywających się firmami technologicznymi i start-upami. Kontrolę nad kurierami przejęły aplikacje, optymalizacja, efektywność.

Kiedy po kilku latach pojawiłem się na ulicach Brooklyn, Manhattanu i New Jersey, jak łowca obrazków z cepelii szukałem obiektywem kurierów na ostrym w tym całym ich punkowym anturazju. Jakże byłem rozczarowany zastanym w 2024 r. krajobrazem.

Choć trudno w to uwierzyć, dziś po Wielkim Jabłku jeździ się jeszcze gorzej niż kiedyś. Korki są większe, metro brudniejsze, przybyło nie tylko szczurów, ale także ludzi dostarczających drobne przesyłki. Tyle że to już nie są młodzi buntownicy czerpiący stylówę z postpunka, grunge, kultury skejterskiej, surfingowej i pozujący na miejskie szczury, znani z reportaży w – to często kategorie przenikające się – lifestyle'owych magazynach i hipsterskich czasopiśmie. Dziś większość kurierów to pochodzący z hiszpańskojęzycznej Ameryki Środkowej - zaniebani, podtatusiali i zmęczeni faceci wyglądający na murarzy czy ogrodników. Zero stylówy, tylko ciężka tyрка, krew, pot i najtańsze ciuchy z Walmartu.

Proste plecy, nisko opuszczone siodło – czyli pozycja nie jak strażnik na ścieżce, ale osiedlowego monter na składaku Wigry 3 - i nieodłączny telefon z kilkoma aplikacjami naraz, a w głowie ciągle kalkulacje: podjąć zlecenie za pięć dolców, ale trzy dzielnice dalej, czy czekać na kolejne, bliższe, szybsze albo chociaż łatwiejsze w realizacji.

Stylowe torby kurierskie z cordury też już nie są używane. Większość przesyłek przewożą w charakte-



• **Sierpień 2021, Rafał Trzaskowski i Radosław Sikorski, wówczas europoseł, na Campusie Polska Przyszłości w Kortowie**

FOT. KUBA ATYS /
AGENCJA WYBORCZA.PL

E-potwory

18 osób

• zginęło w pożarach rowerów elektrycznych i akumulatorów do nich w 2023 r. w Nowym Jorku

30-40 kg

• waży tani e-bike z chińskiej platformy handlowej

60 km/h

• osiągają popularne monokółka/monocykle

+/-34 kg

• waży elektryczny monocykl/monowheel, z użytkownikiem - co najmniej 80-90 kg

25 km/h

• po osiągnięciu tej prędkości legalny rower elektryczny powinien odciąć wspomaganie

Brzmi znajomo? A tymczasem w Warszawie...

„Miłosz! Jechałem do Zielonego Niedźwiedzia, wiesz, na Smolnej. Wszystko zakorkowane, czekam i tylko patrzę w lusterku, jak się zbliża. Za mną samochód, więc nie cofnę, z przodu przejście i ludzie, a on tym rowerem pakuje mi się w sam środek drzwi i nie patrzy! Ludzie z tym Instagramem zwariowali”.

Mój rozmówca nie zwraca uwagi na tłumaczenie, że warszawski *deliverista* raczej nie ma głowy do skrołowania się przez insta. Najpewniej sprawdzał nowe zlecenie w aplikacji albo trasę dostawy. Wężykował między pieszymi, nie pedałował, tylko dawał „z manety”, bo był w niedoczasie. Tajskie zarcie stygło, bo torba rozpruła się przy szelkach, więc z napiewku też pewnie nici. A ten jeszcze trąbi. Мудак.

Rozumiem, dlaczego przez wszystkie miasta mkną te sześciany z ramenem, z logo Uber Eats, Wolt, Glovo, Bolt i tak dalej. Tak jest najłatwiej, najszybciej, najtaniej, „rynek tak chciał”. Rozumiem *istę*, który żyje z dnia na dzień, od tego kursu zależy, czy sam będzie miał co włożyć do mikrofali. Ale nie rozumiem, dlaczego tak łatwo rezygnujemy – jako państwo, jego instytucje i przedstawiciele - z bezpieczeństwa. Bo zapatrzony w apkę i niepedałujący *deliverista* na chodniku czy ścieżce rowerowej jest poważnym zagrożeniem, zwłaszcza że nie przemieszcza się z prędkością roweru.

A co? To nie jest rower, to czarne coś na grubych oponach, co właśnie śmignęło obok dziewczyny w puchówce i plecakiem na laptopa, chybotliwie pedałującej na miejskim veturilo, aż się zachwiała?

No właśnie, akurat to mamy w Polsce dobrze ustalone. W rozumieniu przepisów kodeksu ruchu drogowego rower ze wspomaganiem to... rower. A rower brzmi dumnie, daje naprawdę bardzo szerokie uprawnienia – i wcale nie mam na myśli tych „moralnych” związanych z ekologiczno-zdrowotnymi skojarzeniami. Porównajmy to, co wolno rowerzyście, a co kierowcy samochodu.

Po pierwsze, rowery mogą przemieszczać się nie tylko drogami dla rowerów, ale też ulicami, „normalnymi” drogami, szosami, w wyjątkowych przypadkach nawet po chodnikach. Wyjątkiem są autostrady. Po drugie, jeśli skończyliście 18 lat, nie potrzebujecie żadnego dokumentu potwierdzającego znajomość przepisów. Po trzecie, rowerowi nie trzeba rejestrować, a więc płacić za rejestrację czy przeglądy techniczne. Po czwarte, zmotoryzowani składają się na swoją infrastrukturę, płacąc podatek drogowy, rowerzyści dostają ją gratis. Po piąte, nawet OC dla kierującego rowerem nie jest obowiązkowe, choć wielu kierowców się na to zżyma.

Żeby utrzymać te rozległe przywileje, rower ze wspomaganiem musi spełnić zaledwie trzy warunki: jego silnik musi mieć stosunkowo małą moc nominalną (250 W), a moc maksymalna nie może przekroczyć 1 kW. Jeśli nie wiesz, ile to jest, zajrzyj do szafki z suszarką na włosy lub sprawdź tabliczkę znamionową na odkurzaczu. Tak, twoje małe AGD jest mocniejsze.

Drugim warunkiem utrzymania dumnego miana „rower” jest to, że wspomaganie włącza się tylko i wyłącznie podczas pedalowania – czyli dosłownie, jest wspomaganie, nie napędem.

Trzeci warunek dla pojazdu ujętego w unijnych normach jako Lle-A to automatyczne wyłączenie silnika po przekroczeniu 25 km/h. I nie, nie tracicie przewagi nad samochodem w korkach ani adrenalinę. To wcale nie oznacza maksymalnej prędkości roweru ze wspomaganie – tylko to, że powyżej tych mizernych 25 km/h rowerzysta musi/może pedałować bez wsparcia.

Ale dlaczego męczę was, siebie i klawiaturę tasiemcowym „rowerem ze wspomaganie”? Bo wbrew mechanizmowi upraszczania i anglicyzacji języka to nie jest e-bike (ani rower elektryczny). Te pojęcia opisują zupełnie inne pojazdy, które zaliczają się do grona skuterów i mopédów. Sam fakt, że do skutera przyczepiono pedały, nie oznacza, że nagle stał się rowerem. Zwłaszcza jeśli ma coś takiego jak manetka.

– Ale przecież każdy e-bike, tfu, rower ze wspomaganie, ma manetkę!? – ktoś zauważy. Nie do końca. Ma przełącznik trybu wspomagania – natomiast manetka włącza silnik bez konieczności pedalowania - dzięki czemu taki skuter może jechać bez cienia wysiłku ze strony użytkownika – i pozwala regulować prędkość jazdy na silniku, tak samo jak manetka przepustnicy w spalinowym motocyklu.

Ta różnica wcale nie jest czysto semantyczna. Po pierwsze, sprawa, że samobieżne roweropodobne pojazdy, które mijają was na ścieżkach rowerowych,

W Polsce na razie nie mówi się o zagrożeniu pożarowym wywołanym przez niecertyfikowane lub podrzędnej jakości rowerowe akumulatory. Ale doganiamy USA pod innym względem – piesi i analogowi rowerzyści zaczynają coraz częściej narzekać na e-biki

wymagają spełnienia warunków, które nie dotyczą rowerzysty – z uprawnieniami do prowadzenia i OC na czele. A po drugie, za jej sprawą rynek rowerów ze wspomaganie w socjalnej Europie i liberalnych USA jest tak bardzo różny. Amerykanie wciąż nie mogą się dogadać, czym jest rower i dlaczego nie może mieć manetki lub guzika włączającego silnik, jaką ma mieć moc i do jakiej prędkości elektryczne wspomaganie ma kręcić.

Gęstwa lokalnych przepisów sprawia, że są stany czy hrabstwa, w których seryjnie produkowane rowery z europejskiej kategorii Lle-A jeżdżą legalnie – i takie, gdzie nawet poza ruchem publicznym legalny w Unii rower ze wspomaganie czy Lle-A traktowany jest na równi z motocrossami, bez względu na to, czy są zasilane benzyną, czy elektronami.

W Polsce rynek dwukołowych pojazdów z silnikami elektrycznymi podzielił się i obie grupy mają swoich apostołów. Co gorsza, udają, że drugiej grupy nie ma. Z jednej strony są konserwatywni klienci przyzwyczajeni do rowerowych marek i sklepów rowerowych. Bardziej postępowi i nieco anarchizująca klientela chce umknąć systemowi. Jak śpiewał Klaus Mitffoch, „szuka wciąż okazji i je ma”, najczęściej z AliExpress i Temu.

Cóż złego jest w liberalnym handlu? Teoretycznie zupełnie nic, ale obserwując amerykańskie przykłady, możemy się uczyć na cudzych błędach. Zwłaszcza że oni zaczęli je właśnie naprawiać. Można dyskutować o sposobie naprawy - kwestie przestrzegania przepisów ruchu drogowego przez rowerzystów i (co brzmi pejoratywnie, ale nie znajduję lepszego słowa) mopedziarzy zleca się policji, a o metodach działania amerykańskich mundurowych wiemy i z kina, i z serii dramatów BlackLiveMatters.

Ale jednocześnie *deliveristas* chcą organizować własne związki zawodowe. Jednym z postulatów – pod którym podpisałiby się i nasi kirgisy czy banglijscy *deliveristas* - jest płaca minimalna, lecz amerykańscy kurierzy domagają się też, skoro są tak ważnym elementem miejskiego życia i gospodarki, ułatwień operacyjnych, np. publicznych miejscówek na ulicach czy placach, gdzie mogliby ładować akumulatory w swoich pojazdach.

Na zewnątrz? Publicznych? To wcale nie takie roszczeniowe, jak mogłoby się wydawać. - W 2023 r. pożary akumulatorów rowerów elektrycznych doprowadziły do 268 incydentów, powodując 150 obrażeń i 18 zgonów – alarmuje nowojorska radna Julie Menin. A raport sporządzony przez ratusz Wielkiego Jabłka podaje, że 59 proc. pożarów akumulatorów litowo-jonowych w 2023 r. wybuchło, gdy nie były ładowane. Nie przypadkiem 22 lipca burmistrz Eric Adams uruchomił New York City Safe Charging Accelerator, program mający zapewnić bezpieczne użytkowanie i ładowanie rowerów.

Jak podaje oficjalna strona internetowa megalopolis: „Departament Transportu Nowego Jorku proponuje przepis przyspieszający wydawanie zgód na montaż stacji ładowania akumulatorów rowerów elektrycznych na publicznych chodnikach. Uruchomiony ma też być program wymiany niebezpiecznych rowerów elektrycznych i innych urządzeń mobilnych oraz ich akumulatorów, umożliwiając uprawnionym (*deliveristas*) dostęp do certyfikowanych, wysokiej jakości rowerów elektrycznych. FDNY [straż pożarna] rozpocznie kampanię edukacyjną i uświadamiającą temat zagrożeń związanych z niebezpiecznymi akumulatorami litowo-jonowymi”.

– Miasto obserwuje ciągły wzrost liczby dostaw, a zrównoważony transport jest możliwy dzięki pojazdowi zasilanemu akumulatorami – tłumaczy wyjście naprzeciw postulatowi *deliveristas* radna Carlina Rivera. Tylko na strażacką kampanię informacyjną ratusz wyda 750 tys. dolarów.

W Polsce na razie cisza o zagrożeniu pożarowym wywołanym przez rowerowe niecertyfikowane lub podrzędnej jakości akumulatory, choć zważywszy na skalę przewozów i amerykańskie doświadczenia, wręcz niemożliwe, żeby w Warszawie, Krakowie czy Łomży nie zapalił się ani jeden e-bike czy moped. Być może nie wydarzyło się to wystarczająco spektakularnie, w tzw. przestrzeni publicznej, a drobne pożary na miгранckich kwaterach nie przebijają się do świadomości publicznej. Dziś jesteśmy na etapie emocjonowania się spalonymi samochodami elektrycznymi, które przemawiają do wyobraźni i świetnie nadają się na zapalniki światopoglądowych sporów w serwisach społecznościowych.

Więc pod tym względem rowery z akumulatorami i elektryczne pararowery nie są jeszcze na cenzurowanym, ale doganiamy USA pod innym względem – piesi i analogowi rowerzyści zaczynają coraz częściej narzekać. I na narzekaniach na razie się kończy – tu i tam ktoś się wzmoże, że „jedzie pod górkę, a nie pedałuje, i niebezpiecznie wyprzedza!”, lecz nikt jeszcze na serio nie przygląda się e-potworom pod kątem kodeksu drogowego. Powody są dwa - pragmatyczny i mentalny.

Policjanci to zawodowcy, również poddani presji wyników i sprawozdawczości, więc ekonomizujący wysiłek względem spodziewanych efektów. E-rowerzystę nie tak łatwo zatrzymać jak kierowcę, w statystyce taka interwencja wygląda nieefektywnie, czasochłonne użeranie się z pyskатым obywatelą („jadę ekologicznie!”) albo ledwo dukającym po polsku dostawcą niekoniecznie zwróci się w postaci docenionego przez przełożonych wpływu z mandatu – to i nie ma wielkiej chęci do sprawdzania, czym jest ta maszyną śmigająca ścieżką rowerową.

A drugi powód jest taki, że ruch rowerowy funkcjonariusze i urzędnicy postrzegają wciąż – mimo że błyskawicznie wzrosła i jego intensywność, i rozwijane prędkości - jako coś mniej poważnego, co zaprzęta uwagę zrzedzących dziadecrsów i wiecznie marudzących aktywistów rowerowych.

Zatem użytkownicy pseudorowerów udają klasyczne analogi, a my udajemy, że nie wiemy, że na nielegalu zabierają nam nie tylko miejsce, ale także poczucie bezpieczeństwa na ścieżce rowerowej.

Kiedy zagajam o tym w sklepach rowerowych, widzę, jak zmienia się mowa ciała rozmówców. Bo temat delikatny. Jeśli w sklepie pojawi się klient na elektryka – a mówimy nie o pokracznychkonstrukcjach z AliExpress, tylko o produktach renomowanych marek, których ceny rzadko kiedy zamykają się w czterech cyfrach - już w pierwszym zdaniu formuluje pytanie: „Panie, a to się da odblokować?”. Chodzi o obęście zabezpieczenia dopasowującego mechanizm i obsługujący je software z przepisami ruchu drogowego. A klientów na elektryki przybywa, i to szybko.

To powitalne pytanie wynika z założenia, że skrępowany przepisem rower nie nadaje się dla takiego kozaka jak stojący przed ladą Zygzak McQueen. Ale nie tylko. Bo rowerowe odpowiedniki „zapierdalacza” w poniemieckiej audicy albo służbowym superbie, to jedna kategoria klientów. Druga to „normalsi” szczerze przekonani, że rower ze wspomaganie stworzono po to, żeby zastąpić samochód czymś przyjaźniejszym planecie i poręczniejszym, a więc szybką i bezwysiłkową jazdą jest trybem domyslnym. Albo onieśmieleni atmosferą współczesnego już nie sklepu, ale salonu rowerowego i imidżem sprzedawców, zakładają, że wręcz wypada zadać najpowszechniejsze pytanie w statystykach Google.

Teoretycznie nie ma czym się przejmować, wszak w sklepach sprzedaż rowerów „zhakowanych”, „odblokowanych” itp. jest niemożliwa, dba o to choćby podległa Urzędowi Ochrony Konkurencji i Konsumentów Inspekcja Handlowa. A z UOKiK-iem nie ma przecież żartów – i piszę to bez ironii,

w branży rowerowej słynnym przykładem kontroli rynku i dbałości o bezpieczeństwo są rowerki dziecięce, w których producent nie uwzględnił osłony łańcucha. IH wykryła wadę i nakazał wycofanie towaru ze sprzedaży, co dla nieuważnego importera oznaczało bardzo poważne straty.

Muszę zmartwić legalistów. W większości wypadków większe i mniejsze marki dość dokładnie sprawdzają, czy ich sprzęt podlega przepisom - podczas sprzedaży. Co dzieje się po pierwszym serwisie – jak by to ująć... Nie wiemy. Ale wiemy, że na AliExpress nikt się nie szczypie. Jeśli rynek żąda skutera z pedałami, to liberalni Chińczycy mu go przysył. Nawet jeśli pojawia się w tym zakupie jakiś polski, legalny, zarejestrowany pośrednik na tzw. portalu aukcyjnym, to wie, jak się zabezpieczyć. Wystarczy napisać, że jazda po drogach publicznych odbywa się wyłącznie na odpowiedzialność użytkownika, albo dorzucić do spolszczonej instrukcji obsługi, że używanie manetki jest nielegalne. I jest się krytym, nawet jeśli jest schemat na dwie strony, jak przewód A wtknąć w gniazdko B, żeby zaczęła działać.

Są wręcz pojazdy, które w menu mają – podobnie jak „legitne” rowery ze wspomaganie – kilka, np. pięć, programów – trybów. Tylko że dwa pierwsze „mody” są zgodne z przepisami i gotowe do hipotetycznej kontroli, a trzy pozostałe są „dla użytkownika”. Świadomego – wzruszają ramionami pośrednicy – ryzyk i zagrożeń wynikających z korzystania z pojazdu nielegalnego, z manetką i prędkością wspomagania wyższą, niż ustawodawca założył.

Słowem, wszyscy mrugają do siebie oczami jak najęci i w sumie wszystko gra. A przepisy? No cóż. Jedynie od czasu do czasu ktoś w komentarzach zapyta:

@Wujo 238299 *a co ci nie pasi w tym rowerku?*

@Pio98 *głównie maksymalna prędkość mi nie odpowiada. Nowe silniki bosch z systemem smart (BES3) mają blokadę antytuningową, w skrócie wywala błędy i blokuje silnik na 90 km, po 3 blokadach tylko serwis może odblokować. Speedbox musi przełiczać kilometry na poprawne po zatrzymaniu, czego nie można przerwać. Ogólnie taki speedbox jest bardzo łatwy do wykrycia podczas kontroli.*

@Wujo 238299 *Ok a myśleliście o rozwiązaniu typu Silnik bez speed boxa ale ustawiony na USA (32 km/h)*

@Wujo 238299 *Cięzko się z Tobą nie zgodzić. U mnie Bosch bez smarta więc nie ma problemu. Na dzień dzisiejszy po konsultacji ze SpeedBox najbardziej przyjaznym tuningowi jest system Brose w Specu z mastermin-dem... ale czy ktoś Ci kontroluje rower? Mnie się to nigdy nie przytrafiło.*

Ale elektryki z „aliexpressu” konkurują z markowymi rowerami ze wspomaganie nie tylko ceną, również na parametry.

Drugie najważniejsze pytanie niewyrobionego klienta dotyczące roweru z silnikiem elektrycznym dotyczy zasięgu. Ekspert oczywiście odpowie, że to zależy - od prędkości, masy zespołu rower i rowerzysty, kadencji – czyli częstotliwości obrotów korbą - pedałowania, bieźnika i objętości ogumienia, przyspieszeń, pofałdowania terenu, rodzaju nawierzchni (inaczej wysysa energię gładki asfalt, inaczej polbruk, jeszcze inaczej piach czy błoto), wiatru, a nawet temperatury. Dlatego żaden rozpoznawalny brand nie odważy się go określić. Ale jest sposób, żeby dać do zrozumienia potęgę – to wybita w opisie oferty pojemność akumulatora.

Markowe rowery jeszcze nie tak dawno zadowalały się akumulatorami około 500 Wh. Teraz idą dalej, ale 800 Wh to wciąż rzadkość i ekstremum. Lecz w wyrobach sprzedawanych na chińskim portalu 1000 i więcej Wh nie jest rzadkością. Takie monstrum musi ważyć w okolicach 7-8 kg. I nie mówię o masie całkowitej roweru, ale wyłącznie samego akumulatora.

Biorąc pod uwagę masę silnika z osprzętem oraz części czysto rowerowych – budżetowych, więc niekoniecznie najlżejszych,

We-hulajnodze mamy przynajmniej przednie kółko i kierownicę. W monokółkach wszystko opiera się na trzech optymistycznych założeniach: że prowadzący przewidzi wszystko, co stanie mu na drodze, że ma refleks i gibkość linoskoczka i że nie zawiedzie żyroskop

podobnie jak stop aluminium zastosowany w ramie - a także barokowe podejście do projektowania ram w Azji, 30-40 kg masy całkowitej roweru nie stanowi rzadkości. Tu przypomnijmy, ile waży pojazd, jakie dotychczas spotykaliśmy na ścieżkach i drogach. Średniej klasy szosówka waży około 8-8,5 kg; goral, i to enduro, nie żaden wyciniowany ścigacz - pomiędzy 13 a 16 kg; „holender”, do której to kategorii można też zaliczyć rowery miejskie z publicznych systemów - między 12 a 15 kg.

Dodajmy do masy chińskiego e-bike’a masę bagażu, prędkość – nawet 50 km/h, gdy rowerzysta na rowerze miejskim rozpęda się do około 20, na szosówce może dobić do 45, w sprincie do światła do 50, ale przy o cztery wielkości mniejszej masie - i zestawmy to z możliwościami montowanych w takich wyrobach hamulców. Rzecz jasna rowerowych – i to z najniższej półki. A choć dla laika hamulec to hamulec, a opis „tarczowy” w ofercie brzmi jak gwarancja bezpieczeństwa, to naprawdę jest różnica między tarczówką renomowanej firmy zaprojektowaną tak, by zatrzymać rozpędzony rower zjazdowy na kamienistej stromiźnie, a jednотloczkowym spowalnia-czem na potrzeby tocydelka za 1 tys. zł z hipermarketu.

W jakie możliwe konsekwencje na ścieżce i drodze to się składa? Wystarczy wyobraźnia i podstawowa, intuicyjna znajomość praw fizyki, ale i tak przywołam, by podeprzeć się naukowym autorytetem, pracę naukową. Dr inż. Witold Luty w opracowaniu „Symulacyjna analiza wpływu masy pojazdu na drogę zatrzymania” wskazuje, że „masa pojazdu może istotnie wydłużyć jego drogę zatrzymania w warunkach hamowania awaryjnego”. Słowem - cięższy rower trudniej zatrzymać, a skutki zderzenia z nim będą poważniejsze.

Do czego dochodzi jeszcze jedna zmiana, równie istotna, co w „dużym” ruchu drogowym – wyszkolenie kierowcy. Tak, kierowcy, bo termin „rowerzysta” jest nieadekwatny nie tylko prawnie, ale także praktycznie, biorąc pod uwagę prędkości i masę. W większości przypadków – a gdy mowa o itas, prawdopodobnie w 100 proc. przypadków - ten kierowca/rowerzysta raczej nie jest szosowym czy górskim zajątkowiczem, nie poświęcał czasu na doskonalenie techniki jazdy.

I co z tego? I nic. Czy raczej kolejne niebezpieczne „coś”. Bo motorowery elektryczne to niejedynie groźne gatunki inwazyjne żerujące na tkance miejskiej.

Alibi dla ich używania jest mocne i nośne: dbałość o planetę, bo, jak głosi popularny mem, „There is no Planet B”. Jak ją chronić? Pozbywając się blachosmrodów. Ale co w zamian, gdy nie każdy może lub chce korzystać ze „zbiorkomu”? Modne pojęcie elektromobilności włącza do arsenału urządzeń transportowych jeszcze kilka innych rozwiązań zebranych pod akronimem UTO („urządzenia transportu osobistego”).

Najbardziej znane z nich – hulajnogi elektryczne – udało się po kilku latach wy-czynów imprezowiczów wożących się po dwóch/dwoje nieco okiełznać, policja ma już baczenie na hulajnogowych kaskaderów,

niemniej wciąż pozostają zagrożenie, tylko mniej się o tym mówi. Bo zmienił się charakter tego zagrożenia – e-hulajnogi już nie śmigają między matkami z wózkami, starszuskami, zaaferowanymi studentami i, ogólnie rzecz biorąc, pieszymi, bo przeniosły się na wygodne ścieżki rowerowe po tym, gdy ustawodawca, nie wiedząc, co począć z lobbieniem wypożyczalni, zrównał prawa tych pojazdów z rowerami. Choć hulajnoga to przyrząd szczególnie wysokiego ryzyka, gdyż do prędkości dochodzą wysoki środek ciężkości, nikle punkty podparcia i powierzchnia styku kół z podłożem plus częsty brak przedniego hamulca. W alarmistyczne tony uderzają nawet międzynarodowe towarzystwa dentystów i chirurgów twarzy.

A to nie koniec zabawy, bo kategoria UTO jest pojemna - zalicza się do nich deskorolki elektryczne, hoverboardy, czyli deski żyroskopowe, unicykle vel monokółka i inne elektryczne urządzenia samobalansujące.

I tu już robi się naprawdę nieciekawie. Bo, po pierwsze, w hulajnodze mamy przynajmniej przednie kółko i kierownicę. W monokółkach wszystko opiera się na trzech optymistycznych założeniach: że prowadzący przewidzi wszystko, co stanie mu na drodze, że ma refleks i gibkość linoskoczka i że w krytycznym (albo i nie krytycznym, wystarczy, że przy zwykłym wyprzedzaniu) nie zawiedzie żyroskop.

Dopuszczalna prędkość UTO na drodze dla rowerów wynosi 20 km/h, ale konia z rżędem temu rowerzyście, którego przynajmniej raz nie owiał podmuch wygenerowany przez zakutego w plastikową zbroję Sędziego Dredda prującego na monokółku vel monocyklu co najmniej 40 na godzinę. Co najmniej, bo prędkość użytkownika UTO jadącego z przeciwka można tylko szacować, ale w przypadku wyprzedzającego pomaga matematyka – jeśli ja jadę 20-25 km/h, a ktoś mijający mnie oddala się równolegle ze sznurem samochodów na jezdni...

W dodatku przepisy mówią, że jeśli nie ma drogi dla rowerów, użytkownik UTO może wyjątkowo korzystać z chodnika. Ustawodawca wziął pod uwagę ludzką naturę i zastrzegł, że „z prędkością zbliżoną do prędkości pieszego”. Piesi, nie licząc Ewy Swobody, przemieszczają się z prędkością nie większą niż 6 km/h, podczas gdy pierwsze z brzegu monokółko reklamowane jest tak:

Maksymalna prędkość jazdy: 60 km/h
Zasięg: 70-120 km
Max. moc silnika: 3500 W
Waga: 34 kg

Dopuszczalne obciążenie: 120 kg

Ale mocniej niż 150-kilogramowy, średnio sterowalny pocisk pędzący chodnikiem 60 km/h uderza mnie fałszywy osąd apostołów monokółek, że przecież mamy XXI wiek, elektryczne monocykle i hulajnogi są takimi samymi pojazdami jak rower, że poprawiają ekologię transportu. Szanuję ich optymizm i otwartość na nowe, ale wiem, że ewolucja roweru trwa od 200 lat i były w tym czasie podejmowane próby jazdy na szczycie koła, również pojedynczego, lecz upadały, dosłownie, na pysk, a skuteczność hamulców w rowerach na ludzką kieszeń udało się osiągnąć niedawno.

Głoszących takie sądy, nawet gdy podpierają się liczbami i wiedzą naukową, miłośnicy adrenaliny, prędkości, gadżetu i nieskrępowanej wolności osobistej na forach i w serwisach społecznościowych traktują jak tych nieszczęśników z czerwoną chórągiwą, biegnących 150 lat temu przed automobilem na mocy nieżywej, usiłującej zatrzymać świat w miejscu ustawy. Tylko że przed pełznącą po bruku 20 km/h parową lokomotywą czy dyliżansem da się uskokczyć, z bezgłośnie przemieszczającym się 150-kilogramowym pociskiem w kasku motocyklowym jest nieco trudniej.

Miłosz Kędracki - założyciel i wieloletni redaktor naczelny miesięcznika „bikeBoard”, najstarszego (na rynku od 1996 r) i największego w kraju czasopisma rowerowego, aktualnie mentor i konsultant. Jedyny zagraniczny członek jury prestiżowej nagrody Eurobike Award. ●



FOT. KUBA ATYS / AGENCJA WYBORCZA.PL

Z PROF. ARKADIUSZEM NOWAKIEM,
BOTANIKIEM, DYREKTOREM OGRODU
BOTANICZNEGO PAN
W POWSINIE POD WARSZAWĄ
ROZMAWIA **PIOTR CIEŚLIŃSKI**

Słyszałem, że chce pan stworzyć raj. Tu w Powsinie.

– Jest taki pomysł. Wylonił się z botanicznych badań, które prowadziliśmy na obszarze irano-turańskim, a w zasadzie w całym pasie od środkowej Azji do basenu Morza Czarnego. Często tam jeździliśmy przez ostatnie 20 lat, w sumie to już 70 wypraw, głównie do Tadżykistanu.

Dlaczego tam?

– Bo tam było tanio. Ale nie tylko z tego powodu. Braliśmy pod uwagę kilka regionów, m.in. Kaczkę, Patagonię, Kongo, ale Azja Środkowa wygrała, a Tadżykistan był najlepszy.

Po pierwsze, mówią tam po rosyjsku, a my jesteśmy jeszcze z pokolenia, które intensywnie uczyło się tego języka, a po drugie – mają straszliwie dużo roślin. W samym Tadżykistanie ok. 5 tys. gatunków (dla porównania: w Polsce, która jest trzy razy większa, rośnie o połowę mniej).

A w dodatku ok. 1500 tamtejszych gatunków, czyli niemal jedna trzecia, to endemity, a więc rośliny wyjątkowe, które rosną tylko i wyłącznie tam. W Polsce mamy ledwie kilkadziesiąt endemitów, i to często dzielonych z sąsiadami.

W Polsce nie było czego badać?

– Powiedzmy, że była duża konkurencja. Pracowałem na Uniwersytecie w Opolu między trzema dużymi ośrodkami – Krakowem, Katowicami i Wrocławiem. Było po prostu już bardzo ciasno.

Pojechał więc pan za granicę szukać raju.

– Z początku o tym nie myślałem, ale pamiętam, kiedy ten pomysł się narodził. To było już po wielu latach badań, byliśmy w tadżyckim Dashtijum. Piękny park narodowy, wzgórze południowo-zachodniego Pamiru. Przed nami rozciągał się widok na Afganistan, pod nami płynęła Amu-daria, w starożytności zwana Oksusem, na stoku słoneczne dzikie gaje, przebogata roślinność, ferie barw i zapachów. Wciąż powtarzaliśmy sobie: „tu jest jak w raju”, aż pewnego razu ktoś zapytał: „a właściwie, jak ten raj wyglądał?”.

Wtedy zapaliła mi się lampka: raj to roślinność!

Czyli Ogród w Edenie.

– Mam w ogóle teorię, że raj się wziął z ludzkiej tęsknoty za kawałkiem zieleni. W wielu pracach naukowych, publikowanych w „Nature” czy „Science” jeszcze w połowie XX wieku, pokazywano, że ludzie czują się lepiej i bezpieczniej, jeżeli mają ogródek przy chałupie. To siedzi nam w głowach. Dobrze mieć działkę, tak na wszelki wypadek, na ciężkie czasy, gdzie będzie czereśnia, grusza, kawałek ziemi, na której można posadzić pomidory i inne warzywa.

Biblia mówi wprost o bogactwie roślin w Edenie. Miały tam być drzewa – „miłe dla oka i smaczne owoce rodzące”, drzewo życia, mądrości. Bardzo dużo roślin jadalnych i pastewnych (bo Adam musiał wykarmić swoje stado owiec), zapewne też leczniczych i ozdobnych. Kilka gatunków daje się nawet zidentyfikować, np. balsamowiec indyjski (*Commiphora wightii*), z którego użykuje się mirrę, wonną żywicę, na kadzidło. Teraz używamy jej w kościele, ale kiedyś służyła do dezynfekcji, przeciwko owadom.

Pliniusz Starszy opisywał, że najlepsza mirra jest z Hindukuszu, to góry w Afgani-

stanie. Bardzo blisko tych miejsc, gdzie prowadziliśmy badania.

W końcu tych informacji nabierało się tyle, że postanowiłem zrobić to, na czym znam się najlepiej – analizę różnych typów roślinności pod kątem tego, który z nich był najlepszym archetypem raju. Wzięliśmy przy tym pod uwagę różne wskazówki na temat prawdopodobnego położenia Edenu.

W Biblii nie ma informacji, gdzie Bóg go założył?

– Gdzieś na wschód od kolebki cywilizacji, jak wyraźnie podkreśla Księga Rodzaju. Wiadomo także, że płynęły tam także cztery rzeki, co ogranicza obszar poszukiwań. Gdzieś w pobliżu było dużo złota, co oznacza góry, z których rzeki musiały wypływać ten kruszec. Było ciepło, bo, jak wiemy, Adam i Ewa nie nosili ubrań, także w zimie, więc np. odpadają tereny powyżej 2 tys. m. Wreszcie, musiało być tam bezpiecznie.

Wie pan, że naukowcy, psychologowie zbadali, jaki typ krajobrazu najbardziej nas uspokaja?

Jaki?

– Najatrakcyjniejszy dla nas krajobraz, gdzie czujemy się najbezpieczniej, to sawanny, gdzie można daleko sięgnąć wzrokiem i wypatrzeć nadchodzące zagrożenie, a też łatwo się schronić, np. wskoczyć na drzewo. Jest wiele badań, które pokazują, że ludzie najszybciej wracają do zdrowia, kiedy za oknem mają krajobraz sawanny, a więc po prostu parkowy.

Kiedy ustaliliśmy te podstawowe cechy krajobrazu i geografii Edenu, wzięliśmy się za roślinność. Jestem botanikiem fitosocjologiem, moja praca polega na tym, że w konkretnym miejscu badam strukturę gatunkową, tj. robię spis roślin w kolejnych

warstwach – zielnej, krzewów, drzew. To się nazywa zdjęciem fitosocjologicznym.

Poprosiliśmy kolegów o takie zdjęcia fitosocjologiczne z różnych miejsc, gdzie do tychczas geografowie czy teologowie lokowali raj – od Sycylii przez Grecję, Etiopię, Iran, Armenię, Zatokę Perską po góry Hindukusz w Afganistanie.

Dodaliśmy zbiorowiska roślinne badane przez nas samych w Iranie, Kirgistanie, Uzbekistanie i Tadżykistanie. Przeanalizowaliśmy je z uwzględnieniem tych wszystkich założeń, o których mówiłem, a także cech funkcjonalnych roślin, ich użyteczności dla człowieka. Czy są jadalne, jak dużo ich jest, czy można je długo przechowywać, jak np. orzechy, czy długo kwitną i owocują.

Cenne są zwłaszcza gatunki, które trzymają owoce prawie przez całą zimę, tj. okres chłodu.

Jakie możliwości wchodziły w grę?

– Takie formacje krzewów i niskich drzew, jak śródziemnomorska pseudomakia czy środkowoazjatycki sziblak, gaje oliwne, gaje dębowe dębu perskiego czy dębu kaukaskiego (*Quercus macranthera*), który rośnie w górach Elbrus i w Armenii. Także zarośla granatu, bo nie wiem, czy pan wie, ale owoc, który Ewa podała Adamowi, to wcale nie było jabłko.

No proszę. Zaraz się też okaże, że nie zakrywała się liskiem figowym.

– Do fig jeszcze dojdę, ale Adam na pewno dostał owoc granatu. Przynajmniej taka jest nasza opinia.

Jakie stoją za tym argumenty?

– Tam, gdzie szukaliśmy Edenu, czyli w strefie klimatu śródziemnomorskiego i irano-turańskiego, nie ma praktycznie jabłoni, występują tylko gdzieś na okraj-

kach. Za to granat jest powszechny, a przy tym bardzo smaczny, zdrowy i trwały. Trwalszy od jabłek. Może długo leżeć bez lodówki i żadnego utrwalenia.

Jabłoni pojawiła się w raju dopiero na obrazach średniowiecznych, zapewne dlatego, że malus, łacińska nazwa jabłoni, brzmi podobnie do słowa „malum”, oznaczającego coś złego (stąd mamy malwersację, malignę etc.). W ten sposób jabłko zostało, niesłusznie, skojarzone z grzechem.

Co więc wyszło z waszej analizy. Jak ten prawdziwy Eden wyglądał?

– Gdy porównaliśmy różne typy roślinności, a przede wszystkim ich funkcjonalność, okazało się, że najbardziej pasuje gaj pistacjowy. Ma najwięcej dobrych cech, które odpowiadają człowiekowi. I nawet mamy uzasadnione podejrzenia, gdzie ten gaj rósł!

Gdzie?

– Udało nam się bardzo precyzyjnie ustalić położenie. Miejsce, w którym dane osiągnęły najwyższą wartość, jest położone w górach Zagros na wysokości 1900 m n.p.m. w odległości 20 km w prostej linii na wschód od irańskiej Suzy, niedysiejszej stolicy starożytnego królestwa Elamu.

Nie mamy 100-proc. pewności, bo nikt nie wie, jak tam było 6-7 tys. lat temu albo jeszcze wcześniej. Musielibyśmy mieć badania archeobotaniczne, a takie badania są w Iranie bardzo, bardzo rzadkie.

Natomiast wiele tu do siebie pasuje. Nieopodal w dolinie Tygrysu i Eufratu rozwijały się jedne z pierwszych cywilizacji. Ludzie mieli tam dostęp do wody i żyznych gleb, ale że były to cenne tereny, ludzie się o nie bili, przetaczały się tamtędy wojny, a w czasach pokoju czasem wylewały rzeki, które wszystko niszczyły, jak teraz na mojej rodzinnej Opolszczyźnie.

Ludzie wtedy uciekali w góry, aby przeżyć trudne czasy, najlepiej w bezpiecznych i zasobnych gajach pistacjowych, a kolejne pokolenia opowiadały sobie o tej krainie szczęśliwości, a potem spisały to, jako wyobrażenie raju, kiedy rodziły się wielkie religie.

Nie było tam chyba całkiem bezpiecznie, bo jednak grasował wąż. Skąd się wziął w raju wąż, i to na drzewie?

– Nie mam pojęcia, choć mieliśmy pewną znaną przysługę, kiedy byliśmy w Dąbrowie w Tadjykistanie na granicy z Afganistanem, właśnie w gaju pistacji. Gdy wychodziliśmy wcześniej rano na badania, nasz gospodarz ostrzegł nas, żebyśmy uważali na gury, jadłowitą żmiję. Uspokoiłem go, że mamy wysokie buty i damy sobie radę. Ale on powiedział, że buty nie wystarczą, bo ona wchodzi na niskie gałęzie drzew i stamtąd atakuje. Pokazał nam ślad na czole swojego ośmioletniego syna, którego gury ukąsiła, i to przez czapkę.

W Hindukuszu i Pamiro-Alatau jest inny gatunek pistacji niż w irańskich górach Zagros. W naszej analizie zbiorowisk roślinnych, które mogły być archetypem ogrodu edeńskiego, te gaje pistacjowe z Pamiru



uplasowały się na drugiej pozycji, ale miały bardzo podobną punktację. Na trzecim miejscu zaś były zarośla granatu. One się charakteryzują tym, że tam występują dwa gatunki figowca – pospolitego i afgańskiego.

Z listkami dla Ewy.

– Ale jednak ten typ roślinności wyeliminowaliśmy, bo to jest busz, zarośla, brakuje drzew, na których można byłoby się ukryć przed drapieżnikami.

Może 6 tys. lat temu rosły tam drzewa.

– Rzeczywiście mogło tak być, bo 7-8 tys. lat temu był epizod ochłodzenia i roślinność mogła inaczej wyglądać. My tylko eks- trapolujemy warunki pogodowe, bo te jesteśmy w stanie prześledzić, i gdy wiemy, czy było chłodniej lub cieplej, to przesuwamy typy roślinności, ale te obecnie zdefiniowane. Nie jest to idealna metoda, ale innej nie ma.

Oczywiście te badania są obciążone sporym marginesem błędu. Wystarczy, że ten, co spisywał Stary Testament, pomylił kierunki świata i zamiast szukać Edenu na wschodzie, trzeba patrzył w drugą stronę. Wtedy mamy więcej możliwości.

Kandydatem mogą być np. obecna Etiopia albo Bahrajn, który w mezopotamskiej

cywilizacji uważano za rajske wyspy, krainę miodem i mlekiem płynącą.

Zresztą teraz koledzy w Iranie próbują zrobić podobną analizę, ale dla raju opisanego w Koranie. Ciekaw jestem ich wyników, choć wydaje mi się, że powinno wyjść im to samo – bo archetyp raju jest wspólny dla wielkich religii. Nie chcę o tym więcej mówić publicznie z uwagi na ich bezpieczeństwo, bo – jak pan wie – tego typu temat badawczy w tym rejonie świata jest obciążony ryzykiem, jak stąpanie po polu minowym.

Dzisiaj do raju dostać się jest trudno. Iran czy Afganistan to nie są już krainy szczęśliwości.

– Ale te zbiorowiska roślinne, czy jak też mówimy – płaty roślinności, wciąż tam są, choć coraz bardziej niszczone. Tu jest problem. Artykuł, w którym opisujemy nasze poszukiwania [opublikowany w „Regional Environmental Change”], kończymy ape- lemem, że dobrze by było, aby te rajske miej- sca mogły przetrwać.

Mniejsza o to, czy archetyp ogrodu w Edenie jest w górach Zagros, czy bardziej na wschód, w Hindukuszu. Wszystkie te typy roślinności są niezwykle cenne, ale też niezwykle zagrożone, np. przez intensywną wypasę czy pożary, powodowane ocieple- niem klimatu. Raj w tej chwili płonie.

Dlatego chce pan zrobić jego kopię tutaj w Powsinie?

– W naszym ogrodzie botanicznym mamy bank nasion, a więc i genów, ginących gatunków Polski. Ale jesteśmy 40-miliono- wym krajem, wydało mi się sensowne, że- byśmy brali także odpowiedzialność za in- ne ważne ekosystemy na świecie, unika- towe w skali świata, które, niestety, są bar- dzo zagrożone.

Nasi koledzy z Tadżykistanu, Turkmeni- stanu czy Iranu mówią, że nie dadzą rady

ich ocalić. Dlatego obok 350 naszych gatun- ków w Powsinie w ciętym azocie w tempe- raturze -196 st. C trzymamy także nasiona już ok. 150 gatunków z Azji Środkowej. Tyle że to nie robi wrażenia na ludziach – ma- le próbki zamknięte w termosach. Stąd po- myśl stworzenia nowej szklarni, a w niej ogrodu perskiego.

Nic takiego nie istnieje na świecie. Ogród na planie prostokąta z czterema prostopa- dłymi rzekami, jak jest to opisane w Sta- rym Testamencie. Pośrodku staw i wyspa, które byłyby otoczone gajami pistacjowymi (dwóch najstarszych gatunków – z gór Za- gros i Hindukuszu), dębów perskich, grana- tów i figowców.

Niestety, na razie nas na to nie stać.

Ile kosztuje stworzenie takiego raju?

– Około 10 mln zł.

Szczerze mówiąc, myślałem, że niebo jest droższe.

– Na pewno nie jest to koszt, który Warsza- wa czy Polska Akademia Nauk nie byłaby w stanie udźwignąć, szczególnie ze wspar- ciem środków unijnych. Ale z samych do- chodów z biletów nie jesteśmy w stanie te- go zrobić.

Jak pan chce decydentów do tego prze- konać?

– Ogród Botaniczny w Powsinie odwie- dza rocznie ponad 200 tys. ludzi. To oni nas wspierają, zachęcają i motywują do ta- kich właśnie inicjatyw. Są wśród nich osoby wpływowe, politycy, liderzy różnych środo- wisk, także decydenckich. Zbudujemy ten edeński raj dla wszystkich. Warszawa i Pol- ska mogą go mieć z pożytkiem dla bioróż- norodności, klimatu i naszego zdrowia.

Argument ekonomiczny jest zaś taki, że ta szklarnia byłaby dużo tańsza w utrzyma- niu w porównaniu z naszą szklarnią tropi- kalną, którą musimy dogrzewać nawet la-

wyborcza

magazyn wyborczej

WOLNA SOBOTA

REDAKCJA:
ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00;
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania.
Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iodi@wyborcza.pl

REDAKTOR NACZELNY:
Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA,
REDAKTOR NACZELNY WYBOR-
CZA.PL: Roman Imielski;

ZASTĘPCY: Aleksandra Sobczak,
Bartosz T. Wielicki;
MAGAZYN-KULTURA:
Agata Żelazowska-Ciesla
WOLNA SOBOTA: Mirosław Macio-
rowski (szef), Marek Markowski (zastępca),
Ewa Wiczełek, Jan Cywiński, Łukasz
Grzymalski, Igor Rakowski-Kłos,
Grażyna Żabińska
GRAFICY: Paweł Kapusta, Jacek Kona-
rowski, Tomasz Lebiada, Agata Łuszcz,
Jakub Piotrowski, Łukasz Rudnikowski
FOTOEDYCJA: Marta Błażejowska,
Dominik Gajda (Ale Historia)
WYDAWCA: Wyborcza sp. z o.o.,
ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa;

NIP: 521-403-30-11
DRUK: Wyborcza sp. z o.o.
PREZES ZARZĄDU:
Wojciech Bartkowiak
CZŁONKOWIE ZARZĄDU: Mikołaj
Chrzan, Joanna Kwas
Biuro reklam i ogłoszeń:
reklama@wyborcza.pl; 22 555 55 55,
faks: 22 555 54 44
Rozpowszechnianie redakcyjnych
materiałów publicystycznych
bez zgody wydawcy jest zabronione.

eprasa.pl Obad04f177

1 RP



• Ogród na planie prostokąta z czterema prostopadłymi rzekami -tak jest to opisane w Starym Testamencie. Pośrodku staw i wyspa, które byłyby otoczone gajami pistacjowymi, dębów perskich, granatów i figowców.

W ciekłym azocie w temperaturze -196 st. C trzymamy nasiona roślin, które rosły w raju

tem, bo temperatura wewnątrz nie może spaść poniżej 17 st. C.

Roślinność irano-turańska jest zaś odporna ma mrozy, nie lubi tylko deszczów, więc wystarczy, by nowa szklarnia miała zadaszenie.

Jak słyszę o polityce, to muszę zapytać, czy czasem nie korciło pana pytanie, co rośnie w piekle?

– Piekło mnie jakoś nie pociąga, to nie moje klimaty. Myślę, że ludzie są bardziej zainteresowani niebem. To zresztą było jednym z powodów, dla których się wzięliśmy do tego projektu. Bo wiadomo, że temat raju przyciągnie szerszą grupę ludzi, a może i nawet przekona do botaniki moich rodziców.

Miłości do botaniki nie odziedziczył pan więc po rodzicach?

– A skąd! Ojciec to Ślązak z dziada pradziada, matka pochodzi okolic Piotrkowa, egzotyczne rośliny to nie jest ich świat. Dziwili się, dlaczego zostałem botanikiem. Gdy przyjeżdżałem do domu i pokazywałem slajdy z moich wypraw, to ojciec spał, a mama przysypiała.

Co któryś slajd musiałem pokazywać do góry nogami, wtedy mama się orientowała, że coś się dzieje, i się budziła. Niestety, botanika ma problem z przyciąganiem uwagi, ludzi i decydentów.

Ludzie są ślepi na rośliny, jest nawet zdefiniowane takie zjawisko jak ślepotą na rośliny,

A co to jest?

– Objawia się to np. tak, że gdy wisi wielki obraz, na którym artysta namalował bujną, wspaniałą roślinność, a gdzieś w rogu umieścił małego kotka albo myszkę, to widzowie zapamiętają tylko te zwierzęta.

To jest związane z naszą ewolucją, która nas wyczuliła bardziej na kontakt ze zwie-

rzętami. Ich oczy nas hipnotyzują. Dla większości z nas rośliny tworzą tylko tło. Ale może do raju przyjdą, jeśli uda mi się zdobyć na niego fundusze.

Bardzo kibicuję. Jeśli nie piekło, to jaki będzie pana kolejny projekt badawczy?

– Po pierwsze, będziemy eksplorować bioróżnorodność podziemną, bo się okazało, że pod ziemią świat roślinności wygląda zupełnie inaczej niż na powierzchni. Widzimy tylko ok. 70 proc. całości, ale niemal wszystkie badania temu były poświęcone. Jednej trzeciej botanicy nie zauważali. Pod spodem w ziemi jest jeszcze sporo do odkrycia.

Po drugie, zaczynamy badać pola ryżowe na całym świecie, właśnie w tym celu byłym teraz w Tunezji. Mamy już ogarniętą Malezję, Nepal, Sumatrę, Bali, nieco liźniliśmy Amerykę Południową, jeszcze czekają Indie...

Czego tam szukacie?

– Te pola są niezwykle różnorodne biologicznie. To rezerwuar gatunków, a wiele z nich to antropofity, które zadomowiły się tam i ewoluowały dzięki człowiekowi w wyniku regularnej i trwającej tysiące lat uprawy.

Myślałem, że ryż do cna przebadali już Chińczycy i dla botanika nie ma tu już nic nowego?

– Ja też, ale okazało się, że oni od razu przeskoczyli na poziom badań molekularnych, i to głównie w celach użytkowych. Chwasty pół ryżowych ich interesują tylko pod kątem tego, jak je zwalczać. Ale jakim one są bogactwem, jak są różnorodne, ile dają pożytku, nektaru, pyłku dla różnych owadów, to na razie zostało ominięte.

W każdym razie mam jeszcze kilka pomysłów badawczych, akurat do emerytury. Wybuduję tę szklarnię perską, aby jakiś ślad po mnie tu pozostał, a potem wracam na Opolszczyznę, chowam się w Siolkowicach Nowych, skąd pochodzą Nowakowie, i zarzębuję się w rodzinnych historiach.

Niedawno dowiedziałem się, że nie tylko mam dziadka z Wehrmachtu, ale i jego brata z Kriegsmarine!

W obecnej sytuacji politycznej spokojnie może się pan do tego publicznie przyznać.

– Oupa Stefan przez 60 lat nie pisał ani słowa. Wszystko wyjawił ostatniego dnia życia, kiedy poprosił wujka Norberta, żeby wyciągnął z bankomatu 100 euro, pojechał do Norwegii i oddał komuś dwa worki ziemniaków.

Wujek myślał, że Stefanowi już się wszystko miesza w głowie i kilka razy się dopytywał. W końcu usłyszał historię, jak to dziadka w wieku 16 lat siłą wcielili do wojska, wsadzili do pociągu, powiedzieli, że jedzie na ćwiczenia, a potem zaokrętowali na krążownik „Blücher”.

Okręt zatonął w norweskim fiordzie, Stefan się wykaraskał, wydostał na ląd z kolegą. To był kwiecień, śnieg po kolana, a ludzie w koło nie mówili ani po polsku, ani po śląsku, ani po niemiecku. Chłopcy nie mogli się dogadać, więc gdy po dwóch dniach zgłodnieli, ukradli dwa worki kartofli.

Stefana wychowanego w ultrakatolickiej rodzinie musiało to strasznie gryźć całe życie.

Kiedy wujek usłyszał, że jadę z dziećmi do Norwegii, przekazał mi ostatnie życzenie swego ojca. Tak się o tym dowiedziałem.

I oddał pan te ziemniaki?

– Problem w tym, że oupa Stefan nie pamiętał, skąd je ukradł. Pukaliśmy do domów i pytaliśmy w okolicy, nikt nic nie wiedział, w końcu zanieśliśmy ziemniaki do kościoła, przy którym jest cmentarz z poległymi – z obu stron, a ksiądz obiecał, że odczyta na mszy list, w którym całą historię opisałem.

Tak to się skończyło, ale dopiero wtedy zacząłem się orientować, że na tym Śląsku opolskim nic nie jest takie proste. Wciąż tam się ukrywa wiele niesamowitych historii i tajemnic, zupełnie niebotanicznych, więc Śląsk i ziemia opolska to moja druga pasja. ●

Tego nie robi się botu

Czy głos dobra narodowego może być poddawany żartobliwym obróbkom?



Michał Rusinek

Amerykańskie radio CBS 30 października 1938 r. nadało słuchowisko, stworzone przez Orsona Wellesa na podstawie powieści „Wojna światów” H.G. Wellsa, opowiadającej o inwazji kosmitów. Słuchowisko sprawiało wrażenie reporterskiej relacji z farmy w New Jersey, gdzie spadł z nieba niezidentyfikowany obiekt, z którego wypełzać zaczęły przerażające stwory. Reporter miał dotrzeć na miejsce równo ze służbami ratunkowymi i relacjonował, że doszło do starć ludzi z istotami pozaziemskimi. „Bez wątpienia mamy do czynienia z inwazją!” – krzyczał.

Słuchacze byli przerażeni. Dzwonili do radia i na policję, informując o szkodach wyrządzonych przez kosmitów. Niektórzy przysięgali, że widzieli stwory. Fikcja pomieszała się z rzeczywistością, bo nie została wyraźnie oznaczona jako fikcja. Słuchowisko wywołało burzę wśród komentatorów, a jego twórcy stali się autorami eksperymentu, który przeszedł do historii i został poddany badaniom socjologicznym przez Fundację Rockefellera.

Osiemdziesiąt sześć lat później niszowe krakowskie Radio Off wyemitowało wywiad z Wisławą Szymborską. Ani prowadząca, ani odpytywana nie były prawdziwe: treść rozmowy i głosy wygenerowała sztuczna inteligencja. Wywiad wywołał burzę, choć był wyraźnie oznaczony jako fikcyjny, a radio opisało go jako eksperyment. Wygląda na to, że zakres eksperymentu przeszedł najśmielsze oczekiwania jego twórców.

Po pierwsze dlatego, że niefortunny zbiegł się w czasie ze zwolnieniami dziennikarzy. Nawet jeśli nie miały one związku z planami wprowadzania AI, to sprawa AI pozwoliła owym dziennikarzom przypomnieć o swojej krzywdzie. Po drugie, falę wzburzenia wywołało użycie głosu nieżyjącej od dwunastu lat poetki, a właściwie głosu wygenerowanego cyfrowo na podstawie nagrań. Po trzecie, słuchaczy i słuchaczki oburzyła banalność samego „wywiadu”. Efektem ubocznym afery był drastyczny, acz chwilowy, skok słuchalności niszowego radia (ponoć tysiąckrotnie) oraz jego rozpoznawalności, także za granicą.

Komentarze w większości były negatywne i emocjonalne; zaatakowano nie tylko Radio Off, ale i Fundację Wisławy Szymborskiej za to, że zgodziła się na eksperyment. Wykazał on bowiem, że niektórzy postrzegają poetkę jako postać nietykalną, której głos jest dobrem narodowym, więc nie może być poddawany żartobliwym obróbkom. Ci, którzy ją bliżej znali, wiedzą wprawdzie, że sama lubiła podszywać się pod innych autorów (na okładce „Rymowanek dla dużych dzieci” znajduje się blurb Shakespeare’a – „Szymborska? Nie znam” – którego była autorką i ogromnie bawiły ją żarty jednego z przyjaciół, który dzwonił do znajomych naśladując na przykład głos Władysława Bartoszewskiego i proponował im tekę ministra kultury; ponoć tylko Kazimierz Kutz mu odmówił).

Znając upodobanie Szymborskiej do żartów tego typu – wyraziliśmy zgodę na eksperyment, wierząc, że wywoła on ciekawą dyskusję i skłoni do zajrzenia do jej wierszy ludzi, którzy interesują się raczej nowymi technologiami niż literaturą.

Osób zniesmaczonych wywiadem było więcej, a to dlatego, że był on pełen truizmów, a cyfrowa Szymborska posługiwała się frazeologią i metaforą, którą prawdziwa nigdy by się nie posłużyła („poezja to inna bestia niż proza”). Cóż, szczerze mówiąc, byłoby to dość przerażające, gdyby sztuczna inteligencja umiała bezbłędnie naśladować styl mówiony Szymborskiej.

Być może nie poradziła sobie dlatego, że Szymborska udzieliła niewielu wywiadów radiowych, więc AI bazowała na skąpym materiale. Swoją drogą, czym się różni pisanie dialogów Szymborskiej przez sztuczną inteligencję od pisania ich przez scenarzystów, którzy w sztukach teatralnych też wkładają jej w usta słowa, których nie wypowiedziała? I często robią to gorzej od AI.

Emocje zwykle wynikają z lęku. Boimy się, że sztuczna inteligencja nas zastąpi. To lęk zrozumiały. I choć trudno nie uśmiechnąć się, gdy do chóru oburzonych włącza się Sasha Grey, amerykańska ex-aktorka porno (pisząc na Instagramie nieco dwuznaczne w jej przypadku „WTF!”), to przecież aktorki tej branży także mogą się czuć zagrożone przez AI. Notabene wygenerowane cyfrowo wizerunki nieżyjących aktorów i aktorek stosowane są od dawna – np. Lana Holma w filmie „Obcy: Romulus” czy Carrie Fisher w ostatniej części „Gwiezdnych wojen”. Ten drugi przypadek wywołał w USA ciekawą debatę o granicach między użyciem a nadużyciem, o prawie autorskim, o zaburzonej dynamice przeżywania żaloby i o wykorzystywaniu AI w przemyśle filmowym. Być może musi upłynąć jeszcze trochę czasu, żebyśmy się doczekali podobnej, spokojnej debaty.

Zdaje się, że o wywołanie debaty o AI chodziło jego autorom eksperymentu. Był jeszcze cel poboczny: uświadomienie nam wszystkim, że sztuczna inteligencja może być użyta do różnych celów. Powiedzmy, że nasze dziecko nagrywa filmiki na Tiktoku, na których słychać jego głos. Wystarczy odpowiednie narzędzie i możemy zastać na swojej poczcie głosowej wiadomość „od dziecka”, że coś się stało i że prosimy nas o pieniądze. Uwierzymy, bo to jego głos! Albo nie uwierzymy, bo będziemy wiedzieli, że każdy głos można cyfrowo wygenerować.

Z lękiem radzimy sobie na szczęście także za pomocą śmiechu. Radiowej aferze towarzyszył więc wysyp memów, niektórych pomysłowych (np. „Umrzeć – tego nie robi się botu”). Mnie przypomniła się „rozmowa”, którą odbył mój kolega z botem. Miał zamiar wybrać się na egzotyczną wycieczkę, postanowił się więc zaszczepić przeciwko egzotycznym chorobom. Zadzwoił do prywatnej przychodni, odebrał bot.

„Chciałbym się zaszczepić na cholerę” – powiedział kolega. Bot zwrócił mu uwagę, że nie powinien używać brzydkich słów, tylko powiedzieć, w jakim celu dzwoni.

Powtórzył więc, że chodzi mu o szczepienie na cholerę – bo jak inaczej nazwać tę chorobę? Bot znów go skarcił i dodał, że mu przykro. A za trzecim razem powiedział chłodno: „Nie będziemy w taki sposób ze sobą rozmawiać” i rozłączył się.

Cóż, wygląda na to, że jednak niedługo tak właśnie będziemy ze sobą rozmawiać, sztuczna inteligencja nauczy się bowiem rozróżniać wieloznaczność słowa „chole- ra”. Oraz lepiej generować wywiady. Na razie się oburzamy, wściekamy i śmiejemy z eksperymentów takich, jak ten, którego dokonało Radio Off. Eksperymentów, które powinny nas jednak przede wszystkim przyzwyczajać do myśli, że mieszka z nami sztuczna inteligencja. Śpi na sofie w naszym salonie, a my? Możemy udawać, że jej nie widzimy, możemy z niej szydzić lub traktować z wyższością – albo jednak możemy zacząć ją zauważać i zacząć uczyć się z nią koegzystować. Jak ta koegzystencja się rozwinie? Zobaczymy. ●

Dookoła pachnie trawą cytrynową, tajską bazylią, anyżem. Pogryzamy mango w chili. Z Martyną Chomacką, uczestniczką „MasterChefa”, twórczynią internetową, podróżniczką i autorką książki kulinarnej o kuchni azjatyckiej, spotykamy się w Asian Town Bakałarska, najbardziej azjatyckim miejscu w Warszawie, a może nawet i w Polsce.

Wietnamczycy, Chińczycy, Koreańczycy prowadzą tu sklepy z azjatycką żywnością, działają tu azjatyckie knajpy i salony piękności. Można wpaść na wietnamskie pho, chińskiego hot pota, tajskie curry. Półki w sklepach uginają się od sosów sojowych, past curry, ryżów i azjatyckich słodczy.

MAŁGORZATA MURASZKO: Jak się czujesz?

MARTYNA CHOMACKA: Lepiej, dziękuję. Muszę działać, pracować. Inaczej ta sytuacja tylko pogłębiłaby moje lęki.

Dzień po wypadku, jaki przeżyłaś ze swoim partnerem i psem w drodze do Berlina, napisałaś: „Żyjemy i jesteśmy razem, aktualnie nic więcej nie ma znaczenia...”.

– To naprawdę jest cud, że przeżyliśmy. Łukasz, mój narzeczony, zdążył zahamować, bo widział, że samochody przed nami zwolniły. Ale ten jadący za nami uderzył w nas z pełną prędkością. Nasz samochód został zmiażdżony z przodu i z tyłu. To jest cud, że żyjemy.

W poście na Instagramie, który opublikowałaś w urodziny, tydzień przed wypadkiem, pisałaś, że był to rok spełniania marzeń, ale i rok okupiony problemami ze zdrowiem psychicznym. Niewiele twórców mówi otwarcie o cenie, jaką przychodzi im płacić za pracę w mediach i internecie.

– Zupełnie inaczej wyobrażałam sobie kręcenie autorskiego programu kulinarnego. Pierwszego dnia na planie dostałam okres. Mam endometriozę, to był ogromny ból. Miałam też zapalenie ucha, sparaliżowaną część twarzy i gorączkę. Musiałam się uśmiechać do kamery, a później jechałam do szpitala.

Na lekach wróciłam na plan, a tam się dowiedziałam, że mój bliski przyjaciel odchodzi. Byłam załamana, roztrzęsiona, a przed kamerą musiałam opowiadać, jak robię jajka.

To był pierwszy sezon mojego autorskiego programu dla Canal+ Kuchnia, spełnienie marzeń, wszystko zależało ode mnie. Także być albo nie być kolejnych sezonów. A ja skończyłam z traumą. Chwilę później poważnie zachorowałam, miesiąc leżałam w łóżku, kolejny miesiąc dochodziłam do siebie. Wyleciałam wtedy z moim partnerem na miesiąc na Bali. W tej części Azji zawsze czułam się bezpiecznie. Ten wyjazd był mi potrzebny, żeby nabrać sił, złapać dykta i postawić granicę.

To, o czym opowiadasz, nie było widoczne w serwisach społecznościowych.

– Jestem z natury radosna, uśmiechnięta, lubię ludzi, a moja praca naprawdę sprawia mi ogromną frajdę i daje dużo satysfakcji. Serwisy społecznościowe traktuję jednak zawodowo, dlatego też nie wszystko tam pokazuję i nie o wszystkim opowiadam.

Mam na szczęście wokół siebie dobrych ludzi, mądrych i życzliwych przyjaciół, w których zawsze znajdę wsparcie. Jeden z nich, Łukasz, namówił mnie do udziału w „MasterChefie”.

Jak do tego doszło?

– Zbieg różnych zdarzeń i okoliczności. Byłam wtedy w związku z podróżnikiem. Dość nieudanym. Jechaliśmy autem z Wrocławia do Afryki, ale musieliśmy się rozstać w Senegalu. Ja wróciłam do Polski, on ruszył dalej realizować swój plan.

Pyszne podróżowanie

Przy czekoladowym
deserze popłakałam się
ze wzruszenia

Z **MARTYNĄ
CHOMACKĄ**
ROZMAWIA
**MAŁGORZATA
MURASZKO**



FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL (5)

I właśnie wtedy mój przyjaciel Łukasz powiedział, że muszę mieć coś swojego i realizować swoje pasje. Powiedział, żebym aplikowała do „MasterChefa”. Wybrał dość trudny moment, bo od wielu miesięcy nie gotowałam, byłam splukana i w dolku. To była jakaś abstrakcja. Ale Łukasz powiedział, że będę się martwiła, jak mnie przyjmą.

Doszłaś do finału.

– Tak, to było jakieś szaleństwo. Ale to był najlepszy czas, bo moim jedynym zajęciem było gotowanie, czytanie książek, ćwiczenie, szukanie pomysłów i inspiracji. To był jedyny moment w moim życiu, w którym mogłam oddać się tylko kulinariom, nie musiałam się niczym martwić poza gotowaniem i przechodzeniem dalej.

Zrobiłabyś to drugi raz?

– Oczywiście, ale byłabym mądrzejsza, nie dawałabym sobą manipulować i nie brałabym wszystkiego do siebie.

Fascynacja Azją zaczęła się od półfinału „MasterChefa”, który kręcony był w Singapurze?

– Zdecydowanie wcześniej. Przed „MasterChefem” odwiedziłam Indonezję, Singapur. Kocham Singapur. To miejsce, w którym jest najwięcej dziwactw i różnorodności, można tam zjeść świetne jedzenie z ulicy, odwiedzić wybitne knajpy, ale nie jest to reprezentacja Azji, tak samo jak Londyn nie jest reprezentacją Wielkiej Brytanii, a Warszawa – Polski. Każdy kraj azjatycki jest innym światem.

Masz swój ulubiony?

– Każdy kraj ma coś do zaoferowania, dlatego też długo myślałam nad formą książki „zOrientuj się”. Postawiłam na kulinarny dziennik z podróży po wszystkich krajach Azji. To bardzo osobisty wybór i wypadkowa czterech lat pracy i licznych podróży do Azji.

Cztery lata to długo. Jak wyglądała praca?

– Ja naprawdę dojrzywałam kulinarnie i emocjonalnie razem z tą książką. Niektóre rozdziały, jak „Makarony” czy „Salatki”, pisałam po pięć razy, bo z każdą kolejną podróżą poznawałam nowe przepisy i smaki. To, co smakowało mi cztery lata temu i było wtedy wielkim odkryciem, teraz już się przejadło albo wydawało zbyt oczywiste. Mój horyzont stale się poszerzał.

Wiele przepisów zapisywałam gdzieś w podróży na serwetkach czy skrawkach papieru. Gdy usiadłam do komputera i zaczęłam je spisywać, okazywało się, że w sa-



• Bohaterka i autorka gadają z pełnymi ustami na Bakalarskiej FOT. MATEUSZ SKWARCZEK

mym салатkowym rozdziale mam około 20 przepisów, a dobrze byłoby ograniczyć się do kilku najważniejszych. Synteza okazała się największym wyzwaniem. Zaserwowanie czytelnikom tylko tego, co absolutnie pyszne, sprawdzone i ponadczasowe.

Nie balaś się, że pisanie o wszystkich krajach azjatyckich jest jak wydanie książki z kuchnią europejską?

– Miałam z tym zgrzyt. Każdy z krajów, azjatyckich, europejskich czy w Ameryce Południowej, ma odrębną kulturę i kuchnię. Książek o kuchni tajskiej, koreańskiej, japońskiej czy wietnamskiej jest na naszym rynku już dużo, nie chciałam opowiadać o jednym kraju. Po pierwsze, nie jestem ekspertką, musiałabym w jednym miejscu pomieszkać dłużej niż miesiąc czy dwa. A przede wszystkim: trudno byłoby mi wybrać jedno miejsce.

Nie odnajdujesz się w kuchni europejskiej?

– Odnajduję! Uwielbiam Włochy, Francję, cudownym krajem jest Słowenia. Kulinarnie myślę, że najbliższy jest mi do Francji i Grecji. Jednak najbliższe są mi smaki azjatyckie. I azjatyckie podejście do gotowania, w którym jest dużo miejsca na spontaniczność, wolność, eksperymentowanie.

W Europie kuchnia azjatycka jest bardzo popularna, z kolei w Azji bardzo inspirują się Europą.

– Tak, ta fascynacja jest obustronna. Francuscy szefowie chętnie korzystają z azjatyckich technik, takich jak stir-fry, czyli smażenie składników na bardzo gorącym tłuszczu,

czu, najlepiej w głębokim. Często używają dashi, rybnego bulionu, w europejskich daniach, albo nasze składniki mieszają z tymi orientalnymi, jak np. miso, kombu, yuzu, sos sojowy, grzybki shimeji, sos rybny czy pandan. René Redzepi z szefami kuchni kopenhaskiej Nomy pojechał do Kioto i tam przez kilka tygodni prowadził restaurację typu pop-up, ku wielkiej ucieście japońskich smakoszy. Tej jesieni to powtórzą. Z kolei Azjaci bardzo sobie cenią kuchnię francuską i jej elegancję oraz kuchnię włoską.

Najważniejsza jest w kuchni świadomość produktu, podchodzenie do niego z szacunkiem i wiedzą, jak go wykorzystać. Możemy nasze europejskie czy polskie produkty przygotować z wykorzystaniem technik azjatyckich i zrobić z nich potrawy z orientalnym twistem.

Nie lubisz, jak mówi się na ciebie „influencerka kulinarna”.

– To prawda, nie lubię, wolę mówić o sobie twórczyni internetowa. Influencer w ostatnim czasie budzi skrajne emocje, kojarzy się z kimś, kto nic nie robi, otwiera promocyjne przesyłki, żyje na koszt sponsorów.

Mówienie o nas, twórcach intrenetowych, jako o influencerach, umniejsza naszej pracy. My się cały czas rozwijamy, bu-

dujemy swoją markę, więc z odbiorcami, autentyczność.

Gdy robi się to z pasją, trudniej się wypalić. Chociaż przyznam, że miałam ogromny twórczy kryzys. Właśnie wtedy po nagraniu serii programów czy teraz, po wypadku. Na razie za dużo dzieje się prywatnie, żebym mogła się skupić na rolkach.

Które, swoją drogą, nie powstają w 15 minut.

– Zrobienie minutowej rolki to około 12 godzin pracy. Nie żartuję. Mnie kręcenie zajmuje 5-6 godzin, łącznie z rozłożeniem lamp, ustawieniem światła. Robię to sama, bez ekipy. Ale zanim zacznę kręcić, muszę opracować przepis, iść na zakupy, później zaczyna się gotowanie.

Czasem wychodzi za pierwszym razem, czasem są potrzebne duble. Na koniec montaży, który czasem trwa trzy godziny, czasem sześć. Efekt końcowy to minuta filmu z przepisem, który jest atrakcyjny dla oka i apetyczny, a przede wszystkim: wykonalny w domu. Bo wszystko, co robię, musi być do zrobienia w domu bez większego wysiłku.

Jak próbujesz potrawę na filmach i masz tę radość wypisaną na twarzy, to znaczy, że zawsze smakuje? Bo są podobno tacy twórcy, którzy nieźle udają.

– Nie wrzucam czegoś, co mi nie smakuje. Nie po to buduję zaufanie, żeby wrzucić niesmaczne czy niewykonalne przepisy. W naszej branży zaufanie jest wszystkim, trudno je zbudować i bardzo łatwo stracić. Więc na wszystkich filmach, gdy czegoś próbuję, to zawsze mi to smakuje. Nie ma tu żadnej ściemy.

Sama się tego wszystkiego uczyłaś?

– Sama. Od 15. roku życia mieszkałam w bursie w Lublinie, gdzie chodziłam do liceum plastycznego. Później, już na studiach, pracowałam w winnicy w Pessac pod Bordeaux we Francji, Anglii, Stanach Zjednoczonych. Głównie jako kelnerka barmanka, ale wchodziłam na kuchnię i prosiłam, żeby mnie uczyli technik, dopuszczali do gotowania.

No i wychowywały mnie babcia i mama, które po prostu świetnie gotowały. Moja babcia była córką młynarza. Pradziadkowie mieli swój młyn, dopóki nie spłonął. Babcia robiła najlepsze ciasta, najlepsze wypieki. Na jej pierogi zbiegali ludzie z całego Chelma. Codziennie rano budził mnie zapach świeżej szarlotki.

Babcia była wybitną kucharką, nie bała się mocnych smaków. Dawała świeżo tłuczony pieprz, sól, wino do gotowania. Ale

Kuchnia azjatycka: niezbędnik

• Ryż

Łączy całą Azję. Bez względu na to, czy będziemy w Korei, Japonii, Tajlandii, Wietnamie, czy Kambodży – ryż jest spoiwem. Każdy kraj podchodzi do niego inaczej i dla każdego kraju jest to skarb. I musimy traktować go z szacunkiem.

Najgorsze, co można zrobić, to kupić ryż porcjowany i nie wypłukać go przed użyciem. Ryż sypki, basmati i jaśminowy to dwa najbardziej uniwersalne. Ryż płuczemy pod kranem, wystarczy minuta, żeby zmyć wierzchnią warstwę mączki. Będzie wtedy sypki i aromatyczny.

• Makaron

W kuchni azjatyckiej najczęściej są to makarony ryżowe. Podstawą jest nauczenie się ich obróbki. Często słyszę,

że są sklezione. To się dzieje, jeśli makaron ryżowy ugotujemy, a tego się absolutnie nie robi! Trzeba zalać go wodą, najlepiej zimną. Jeżeli mamy mało czasu, to niech będzie ciepła. Po 15 minutach jest gotowy.

Do zupy pho czy do dania bun cha dodajemy makaron bun, ale nic się też nie stanie, jeśli dodamy go do pad thaia. Jednym z najpopularniejszych makaronów jest makaron vermicelli, który ma długie, cienkie i szkliste nitki. Wystarczy zalać go wrzątkiem, dodać przyprawy, zrobić szybki sos, wrzucić białko i jest gotowy obiad.

W kuchni azjatyckiej jest też makaron jajeczny, ale świetny jest ten z batatów. Idealnie sprawdzi się do koreańskiego grilla, do stir-fry – jest lekki i zupełnie inny.

• Zioła

Świeże zioła są podstawą kuchni azjatyckiej. Pachnotka, inaczej nazywana też shiso, charakteryzuje się kolorem: na wierzchu liście ma zielone, pod spodem ciemne, fioletowe. Można ją rwać, dodawać do zup i sałatek, ale i zawijać w nią mięso, warzywa, pikle i mazać w wietnamskim sosie słodko-kwaśnym.

• Pasta miso

To pasta z fermentowanej soi, jęczmienia lub innych zbóż, z dodatkiem grzyba koji, który pomaga w fermentacji. Jest doskonała do sosów, marynat, mięs, do zrobienia karmelu. Miso nadaje słoność i głębię daniom. Jest miso czerwone, jasne, mieszane. Jeśli ktoś zaczyna swoją przygodę z kuchnią azjatycką, to

proponuję zacząć od miso jasnego lub mieszanego.

• Pasta krewetkowa

Boimy się jej niepotrzebnie. Wiele osób uważa, że śmierdzi. Zapach może nie jest przyjemny, ale nie trzeba wahać pasty albo sosu rybnego. Muszą być dodane do past curry, pho, do marynat. Zmieniają smak dań, nadają im umamiczność, głębię. Są ich roślinne alternatywy zrobione z alg, które dodają specyficznej morskiej nuty.

• Pasty curry

Najlepiej zrobić swoją, ale przy tym jest dużo pracy. Możemy się wspierać tym, co jest na rynku. Taka pasta może stać w lodówce kilka miesięcy. Każda jest zrobiona na papryczkach chili, ma w sobie sporo kapsaicyny, która naturalnie konserwuje.

Przy wyborze gotowej pasty należy kierować się tym, żeby było jak najwięcej przypraw. Bazą jest chili. W zielonej paście curry jest to zielone chili, w czerwonej – czerwone z dodatkiem suszonego. Czerwona pasta curry jest najbardziej uniwersalna i jest podstawą wielu dań, np. kao soi.

• Glutaminian sodu (MSG)

Żaden produkt w Polsce nie ma tak złego PR-u jak glutaminian sodu, czyli MSG. Nim doprawia się każde danie w Azji, prawdopodobnie używa się go w każdej, nawet bardzo dobrej restauracji azjatyckiej na świecie. To jest umami w proszku. W nadmiarze jest złe, tak samo jak sól, cukier czy każdy inny produkt, z którym przesadzimy.

• Tamaryndowiec

W sklepach azjatyckich można kupić świeży, pastę, pulpę albo fasolki. Wystarczy wsadzić do miski, zalać gorącą wodą i lekko płuścić. Miąższ tamaryndowca zacznie się rozpuszczać pod wpływem wody. Wystarczy wyciągnąć ziarna i naturalna pasta tamaryndowa gotowa. Taka pasta ożywi każde danie. Jest świeża, kwaśna, idealnie pasuje do dań Azji Południowo-Wschodniej.

• Pasta gochujang

Jest zrobiona na bazie bardzo ostrej papryki gochugaru. Pasty gochujang używa się do zrobienia kimchi, korean fried chicken, jako sos do tteokbokków, ale można ją wykorzystywać dowolnie, nawet w daniach kuchni polskiej.

Co zjeść na Bakalarskiej?

• Zupa pho



Flagowe danie kuchni wietnamskiej. To esencjonalny bulion, tradycyjnie przyrządzony na mięsie wołowym, ale dostępne są też wywary roślinne. Kluczem do dobrego pho jest czas: gotowanie bulionu wymaga wielu godzin. W tym czasie mięso i przyprawy (gwiazdki anyżu są prawdziwą gwiazdą pho, ale ważne są też imbir i ziarna kalendaria) oddają cały smak. Zupę podaje się z makaronem ryżowym, kielkami, świeżymi ziołami (pachnotka, kolendra, kielki, trawa cytrynowa), mięsem lub tofu.

Martyna Chomacka: Bulion wegetariański i mięsny się od siebie różnią. Wegetariański jest bardziej odświeżający i klarowny, jest lżejszy. Bulion ze smażoną wołowiną jest cięższy, bardziej esencjonalny i umamiowy. Do pho można dodać albo smażonej, albo szarpanej wołowiny, która się gotowała w wywarze, mogą też być plastry surowej, które na gorącym bulionie się zetną. Tak smakuje radość.

• Bún bò nam bo



Martyna Chomacka: To moja ukochana wietnamska sałatka. Znowu mamy wołowinę, ale i coś bardzo charakterystycznego dla Wietnamu – mnóstwo ziół: pachnotkę, mięte, liście sałaty, orzeszki. Na spodzie jest makaron ryżowy, a na dnie miski bardzo charakterystyczny dressing z sosem rybnym, cukrem, cytryną, limonką lub octem ryżowym. To właśnie one dodają charakterystycznej kwasowości. To lekkie i bardzo smakowite danie.

• Curry



To klasyka kuchni Azji. Każdy kraj ma swoją wersję curry, chociaż tym najpopularniejszym jest przygotowywane w Tajlandii. Podstawą curry jest pasta z papryczek chili, szalotki, trawy cytrynowej, imbiru, czosnku, kolendry. Wszystkie składniki uciera się ze sobą w moździerzu do uzyskania gładkiej masy. Najpopularniejsze są trzy rodzaje pasty curry: zielona na bazie ostrych, zielonych papryczek chili, żółta na bazie czerwonych papryczek, galangalu i kurkumy (to one nadają żółty kolor) oraz czerwona na bazie czerwonych papryczek, trawy cytrynowej, skórki z limonki. Martyna Chomacka: W Europie zamawiamy tylko jedno lub dwa curry. A chciałoby się zamówić wszystkie! W Azji popularne jest zamawianie curry i kilku mniejszych dań dodatkowo, którymi można się dzielić. Curry jest sercem, które syci i rozgrzewa wszystkich, jest bogate i różnorodne. Można dodać do niego same warzywa, można dać owoce morza, mięso, jest pełna dowolność. Można też modyfikować stopień ostrości. To danie, które je się bez względu na temperaturę panującą za oknem.

to zawsze było jedzenie domowe i bezpieczne.

Mieliśmy swój sad, robiliśmy przetwory z owoców, sami mieliliśmy mąkę na wypieki, na zimę zakopywaliśmy warzywa w piachu, żeby jak najdłużej zachować ich świeżość. Mimowolnie uczyłam się, jak wykorzystywać i przechowywać jedzenie. To mnie kulinarnie ukształtowało. Bardziej, niż zdawałam sobie sprawę.

Do tego teraz się wraca. Kiszonki, przetwory są teraz znowu modne i w kulinarnym trendzie, tak samo jak niemarnowanie jedzenia, co kiedyś było normą i oczywistością.

– Dzieciaki, młodzież i młodzi dorośli są teraz pod niektórymi względami bardziej świadomi – w sprawie ekologii, katastrofy klimatycznej – ale nie zawsze mają wiedzę na temat produktu. Zresztą nie tylko oni.

Wiele osób nie zna mięsa. Zna jego gotowe, porcjowane kawałki, które czekają w lodówce w sklepie, wystarczą wziąć i pod smażyć. To ci daje spokój, masz wolne sumienie. Ja jem mięso, rzadko, ale jem. W nagrodę, jako czterolatka, dostawałam tatar, i to był największy rarytas.

Szacunek do produktu wyniosłam z domu. Dbam o to, żeby mięso, którego używam, było ze sprawdzonego, ekologicznego źródła.

Azjaci są dobrzy w niemarnowaniu jedzenia i wykorzystywaniu każdej części zwierzęcia. Smażone uszy czy ogony świń to rarytasy.

– Ależ oczywiście! W Azji je się wszystko. Moja ukochana sałatka larb z żółdkami i krwią, kwaśno-pikantna zupa kuay teow nam tok lub charakterne, tajskie kielbaski sai krok isan mogą być tego idealnym przykładem.

Świadomy kucharz nie marnuje niczego. W książce o tym nie pisałam, bo to dla odbiorcy w Polsce może być za dużo.

Z drugiej strony powszechne w Azji są mokre markety, które z humanitarnym traktowaniem mają niewiele wspólnego. Byłaś w takich miejscach?

– Omijałam markety wodne, bo te są dość turystyczne, wolę klasyczne markety miejskie, na których panuje również ogromny chaos i bałagan – dosłownie. Tam się dzieje wszystko, wewnętrzności zwierząt są zaraz obok ziół czy makaronów.

W latach 90. w polskich miastach popularne były budy z tanim chińskim czy wietnamskim jedzeniem, pol-wiet czy tani chińczyk. Jak to wygląda teraz? Jak kuchnia azjatycka w Polsce ewoluowała?

– Może odniosę się do Warszawy, która w latach 90. była głównym celem podróży imigrantów z Wietnamu osiedlających się w naszym kraju. Na początku podchodzili oni nieśmiało do kuchni swoich korzeni. Dania jedzone w budach na ulicy były mocno spolszczone. Ani to nie był chińczyk ani wietnamczyk. W sklepach nie było również dostępu do takiego festiwalu produktów, świeżych warzyw i ziół z najdalszych zakątków świata. Teraz jest inaczej. Zaczęliśmy podróżować i szukać autentycznych smaków. Chcemy prawdy na talerzu. Warszawa stała się małym centrum absolutnie pysznych, wietnamskich smaków. Jest kwaśno, ostro, świeżo i odważnie.

W sieci znajdziemy filmy i felietony foodies robiących ranking najlepszych pho czy bún mi w mieście. Na każdym kroku mamy wybór. Ja mieszkam na Woli i wokół bloku mam trzy świetne, wietnamskie miejscówki. A po najlepszy ramen jeździmy do Łodzi czy Wrocławia, ukochaną tajską kuchnię do Krakowa i Gdańska, a sushi do Kielc.

W Azji je się wszystko. Moja ukochana sałatka larb z żółdkami i krwią, kwaśno-pikantna zupa kuay teow nam tok to idealny przykład.

Zawsze twoje podróże były wokół jedzenia?

– Podróżuję po świecie od 20 lat. Najpierw były to podróże stopem i poznanie świata trochę na dziko. Tak zjechałam Europę i Stany, z koleżankami odbyliśmy podróż z Chicago do Wielkiego Kanionu przez Kalifornię. Zawsze poznawałam nowe smaki, nie bałam się próbować.

Jestem w stanie dużo zrobić dla jedzenia. I wiem, że nie tylko ja, bo gastrotyrystyka jest bardzo popularna. Wiele moich wypraw obudowuję wokół restauracji, które chcę odwiedzić. Tak było z Osterią Francescaną, trzygwiazdkową restauracją w Modenie, w której szefem kuchni jest Massimo Bottura.

Najpierw zrobiliśmy rezerwację, później wokół tego obudowaliśmy podróż po Toskanii. I wiesz co? Mojemu partnerowi to jedzenie nie smakowało, był załamany, ale ja byłam zachwycona i dla mnie wszystko było idealne! I to jest w jedzeniu najfajniejsze: każdy ma inny smak i przy jedzeniu możemy się pięknie różnić.

Gdy byłam studentką podróżującą z bardzo ograniczonym budżetem, mogłam jedynie marzyć i czytać o wszystkich wyjątkowych restauracjach. Miało to jednak sporo plusów, bo aby ciąć koszty, noclegów szukałam z przyjaciółkami przez couchsurfing.

Dzięki temu prawie codziennie gotowałam z lokalsami tradycyjne dania, poznając ich tradycje i techniki. Czy to była Portugalia, Włochy, Hiszpania, Szwecja, czy Bośnia. Każdego dzień był nową przygodą.

Naszym celem było poznanie i zobaczenie jak największej części świata, ale z perspektywy czasu to właśnie ludzie i jedzenie są tym, co pamiętam z tamtych czasów najlepiej.

Teraz mogę pozwolić sobie na więcej i budować podróże wokół najpyszniejszych miejsc na świecie. W najbliższej przyszłości planujemy Japonię i Hawaje.

Wizyta w jakiej restauracji była dla ciebie największym zaskoczeniem?

– Room 4 Dessert w Ubud na Bali. Byłam tam kilkakrotnie, i jest to najlepsza degustacja, w jakiej brałam udział. Za kolację z pairingiem koktajli zapłaciłmiś około 400 zł od osoby, degustacja z pairingiem wina to koszt około 500 zł, a samej degustacji – niecałe 300 zł od osoby. Jak na 15 dań to bardzo przystępna cena.

Szefem kuchni jest Amerykanin Will Goldfarb, w Nowym Jorku osiągnął w zasadzie wszystko, co było do osiągnięcia i rzucił to wszystko, bo miał dość. Pracował jako cukiernik w najlepszych restauracjach i miał dość tego, jak cukiernicy są traktowani.

Kuchnia pracowała na świeżych, najlepszych produktach, on natomiast miał do dyspozycji głównie półprodukty: paczkowaną wanilię, zmielony cynamon, czekoladę w dropsach do łatwego rozpuszczenia, świeże były owoce.

Wyjechał na Bali, założył restaurację, w której zatrudnia tylko Balińczyków, bo jeśli ma poznawać i działać na tej ziemi, to chce to robić z szacunkiem dla lokalnych mieszkańców. Przed restauracją założył gigantyczną farmę i robi wszystko od podstaw. Sam hoduje kakao, cyna-

mon, wszystkie zioła. Wejście do restauracji poprzedza przejście przez ogród i poznanie produktów, które znajdują się na talerzu. Bali daje takie możliwości.

Pierwszych pięć dań kolacji jest serwowanych przy barze. To część wytrawna, jedyna tego wieczoru. Następnie przechodzi się przez kuchnię do ciemnej sali, która wygląda na spaloną. Światło jest przytłumione, dania są podane na pięknej porcelanie. I zaczyna się główna degustacja 15 dań. Każde z nich jest deserem.

Nie jestem bardzo deserowa, ale to jest najlepsze, czego do tej pory doświadczyłam w restauracji. To jest po prostu taka euforia smaku, doświadczenie nie do opisanie. Pamiętam smak puffy, kruche ciasto francuskie ze śliwkami.

Przy czekoladowym deserze popłakałam się ze wzruszenia.

Od dziecka szłaś artystyczną drogą. Porzuciłaś to dla sportu, z kolei ze sportu zrezygnowałaś, gdy szłaś do „MasterChefa”. Nie boisz się, że za kilka lat będziesz musiała szukać siebie na nowo?

– Nie, bo tak jak mówisz: kuchnia i gotowanie zawsze w moim życiu były. Sztuka i sport były moim trzonem, ale to do kuchni uciekałam, gdy szukałam pocieszenia, gdy po intensywnych zajęciach na ASP musiałam się wyciszyć, albo wręcz przeciwnie – artystycznie wyżyć i rozładować emocje.

Odpalałam „MasterChefa” z innych krajów i gotowałam swoje dania. Kuchnia zawsze była językiem mojej rodziny, mój brat prowadzi kawiarnię restaurację w Oksfordzie.

W kuchni czuję się najbezpieczniej i najspokojniej, to dla mnie przyjemność i dlatego nie mam obawy, że ją porzucę.

Widzisz siebie jako szefową kuchni?

– Prowadzenie własnej restauracji nigdy nie było moim marzeniem, ale lubię się rozwijać, mam ogromną ambicję i chciałabym aplikować na staż w różnych restauracjach.

Wiem, że przede mną jeszcze wiele do nauczania. Ale prowadzenie restauracji to nie jest ten moment. Chcę pisać książki, podróżować, smakować i poznawać świat. Moja mama uczyła geografii, wychowałam się w otoczeniu map i jestem głodna świata. A podróże dają mi siłę, inspirację i pozwalają się nie wypalić.

Od szóstego roku życia chodziłam na kółka plastyczne, później było liceum plastyczne, Akademia Sztuk Pięknych. Studiowałam rzeźbę w drewnie, grafikę warsztatową i malarstwo. Studiowałam w Polsce i Stanach.

W wieku 24 lat zdałam sobie sprawę, że to nie jest dla mnie i muszę znaleźć swoją drogę. Był nią sport, który po latach zszedł na drugi plan. Po trzydziestce postawiłam wszystko na gotowanie i podróże, które zawsze były ze mną. I wiesz co? To była świetna decyzja, która dała mi dużo wolności.

Wysztalcenie artystyczne w twojej pracy pomaga?

– Bardzo! W „MasterChefie” estetyczne ułożone danie było dla mnie czymś naturalnym. Pamiętam, że moi koledzy i koleżanki mieli z tym duży problem. A ja to po prostu widziałam i układałam, bo na co dzień robiłam ładne rzeczy. Na studiach mieliśmy dużo pracy manualnej, tak samo jest w kuchni. A tworząc rolki czy pracując nad książką, mogę dać upust swojej artystycznej wizji.

Myślę smakiem i obrazem. Często słyszę pytanie, czy moje życie jest tak ładne jak mój Instagram. Jest, bo ja właśnie tak widzę świat, to nie jest żadna sztuczna kreacja czy scenografia. Taka jestem i nikogo nie udaję. ●

• Zabytkowa cerkiew św. Michała Archanioła w miejscowości Komyszuwacha w obwodzie zaporoskim, zniszczona w rosyjskim ataku rakietowym w Wielkanoc 2023 r.

DMYTRO SMOLIENKO/
UKRINFORM/
EAST NEWS



O PORWANEJ EUROPIE I UWAŻNYM CZYTANIU TOŁSTOJA

Niezbędny jest rozum, ale i uczucie.

Potrzebny jest Kartezjusz i Diderot, ale Tolstoj z Dostojewskim też się przydadzą

Tomas Venclova*

S pór Milana Kundery i Josifa Brodskiego o losy Europy Środkowej w jej konfrontacji z Rosją – wtedy jeszcze Związkiem Radzieckim – odbył się 40 lat temu (esej Kundery [„Zachód porwany albo tragedia Europy Środkowej”] ukazał się w końcu 1983 r., podczas gdy odpowiedź Brodskiego – na początku 1985). Zimna wojna trwała jeszcze wtedy w najlepsze; żaden z oponentów nie mógł przewidzieć jej kresu, który nastąpił nadszpiewanie szybko, nawet gwałtownie, i wzbudził ogromne nadzieje. Europa Środkowa oraz poważna część ZSRR zrzuciła jarzmo dominacji rosyjskiej. Oczekiwano także pomyślnej i w miarę energicznej demokratyzacji samej Rosji, która miała wprowadzić ją do grona „normalnych” krajów, i tą drogą rozwiązać większość globalnych problemów. W każdym razie piszący te słowa musi się przyznać, że wierzył w taką perspektywę.

Po 40 latach stoimy w obliczu nowej zimnej wojny, a na terenie Ukrainy – i nie tylko – widzimy wojnę bardzo prawdziwą. Koło się zamknęło.

Liczba 40 lat okazała się w pewnym sensie feralna. Panowanie stalinowskiego systemu w Polsce, Czechach, Słowacji i innych środkowoeuropejskich krajach zaczęło się w latach 1944–45 (w krajach bałtyckich, Bukowinie, Mołdawie i na tzw. Kresach – o kilka

lat wcześniej). Rozchwiało się na dobre w okolicach roku 1985 i ponownie zagraża wspomnianym krajom w okolicach roku 2025.

Katastrofalna polityka Putina grozi nie tylko tym państwom, które Milan Kundera połączył pod nazwą Europy Środkowej albo „porwanego Zachodu”. Zagroź całej Europie, całemu Zachodowi, całemu światu przyznającemu się do demokratycznych wartości. Mówi się wręcz o III wojnie światowej.

Powiedziałbym inaczej: III wojna światowa już miała miejsce, została przegrana przez ZSRR, i to z kretesem. Ale zamiast uznać klęskę systemu za wielką szansę, Rosja – mniej więcej tak jak Niemcy po roku 1918 – odczuła to jako porażkę i poniżenie wołające o rewanż.

Walka, którą obserwujemy, w mniemaniu Putina, jest początkiem tego rewanżu, czymś w rodzaju przyłączenia Sudetów albo Kłajpedy, za którymi mają nastąpić Gdańsk, Balkany, Paryż i Londyn. Co prawda idzie jak po grudzie, nie trzyma jeszcze tych Sudetów albo Kłajpedy mocno w ręku, ale to rzecz do naprawienia. Po prostu musi mu starczyć cierpliwości i uporu. I, niestety, czasem wygląda na to, że starcza.

A więc chodzi o IV wojnę światową. Ze strony Putina jest cyniczna, brutalna i ogromnie niebezpieczna dla ludzkości. Jest próbą powrotu do wieku XX, nawet wieku XIX i wcześniejszych epok. Dyktator uważa się za spadkobiercę i naśladowcę Piotra I, Katarzy-

ny II, a także Stalina – apostołów zdobyczy terytorialnych, podbojów, rozbiorów i „stref wpływu”.

Tyle że w erze nuklearnej i cybernetycznej taki powrót jest niemożliwy. Nawet charakter walk się zmienił: zamiast czołgów Guderiana albo Żukowa mamy okopy przypominające te z Verdun, nad którymi latają drony – a z drugiej strony te dziwne aparaty, nie bacząc na odległość, potrafią atakować nawet Kreml. Ale wojna jest wojną, śmierć jest śmiercią.

Nie będę się rozwodził nad możliwością globalnej katastrofy nuklearnej, chociaż po kilkunastu względnie spokojnych latach znów nie wygląda ona na wykluczoną. Weźmy to w nawias, bo najprawdopodobniej położyłaby kres wszelkim dyskusjom. Wróćmy do sporu Brodskiego i Kundery. Czym jest nowa sytuacja z punktu widzenia kultury? Jakie są jej skutki kulturalne i kulturalne przesłanki?

Ukraina, gdzie teraz toczą się walki, jest krajem kulturalnie przebogatym. Należy do strefy, którą Kundera nazwał Europą Środkową. Znajduje się na terenie przejściowym: jej różnorodność zawsze przyprawiała mnie o zawrót głowy.

Bolszewicy byli bardzo sprawnymi niszczycielami, ale tutaj nawet im nie wszystko się udało. Kiedy słyszę o rakietach uderzających w ukraińskie miasta, widzę nie tylko sobory bizantyjskie w Kijowie i Czernihowie, kościoły barokowe we Lwowie i Kamieńcu Podolskim, ale i operę odeską, którą tamtejsi mieszkańcy nie bez kozery uważają za równą paryskiej, al-

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Eugenio Montale*

Dzień Zmarłych

*Giną zapaliła świeczkę za swoich zmarłych.
Zapaliła ją w kuchni, zmarłych jest wielu i nie ma ich tutaj.
Trzeba sięgnąć do czasu kiedy była mała
a za kawę z mlekiem miała garść suchych kasztanów.
Trzeba odtworzyć małego i starego ojca
i jego wypadu by zdobyć dla niej troszkę słodkiego wina.
On wina pić nie mógł słodkiego ani kwaśnego
bo nie było pieniędzy a trzeba było nakarmić
prosiaki które ona wyprowadzała na pastwisko.
Wśród zmarłych można umieścić nauczycielkę która tłukła kijem
dziewczynkę po palcach zgrabiałych od zimna. Zmarli
są również niektórzy żyjący, półżywi o krok
od przeprawy. To cały tłum który nic nie znaczy
bo na pastwisko nie wyprowadzał prosiaków.*



***Eugenio Montale** – 1896-1981, włoski poeta i krytyk, od 1967 r. senator. Autor kunsztownej liryki refleksyjnej, jego eseje miały znaczny wpływ na intelektualistów włoskich. W 1975 r. otrzymał literackiego Nobla. Utwór za polskim wydaniem tomu wierszy „Zapiski z czterech lat”, przeł. Jarosław Mikołajewski, Wydawnictwo a5, Biblioteka Poetycka, tom 101, Kraków 2017.

FOT. KAJ HAGMAN/DOMENA PUBLICZNA

(często i na pruskich) układała się raczej niepomysłnie. Ale Rosja – tak jak Zachód – nie jest jednolita, istnieje w niej też tradycja Hercena, Sacharowa, Gorbaniewskiej, tradycja niezgody na zło, tradycja skruchy. „To ja nie ocaliłam wtedy Pragi, a wcześniej Warszawy,/ nie odkupię swej winy”, pisała Natasza Gorbaniewska (przekład Adama Pomorskiego), która zrobiła dla tych dwóch stolic więcej niż niejeden z ich obywateli.

Nie musimy także uważać siebie za świętych, za szlachetne ofiary zniewolenia, zawsze przychodzącego ze Wschodu. Jak zauważa Przemysław Czapliński, „porwany Zachód” po przyłączeniu się do wymarzonej macierzy Europy na ogół nie zaprezentował się w sposób budujący. Pod rządami PiS-u albo Orbána nie zabrakło ani nacjonalistycznej agresywności, ani nietolerancji religijnej, ani podważania prawa i awersji wobec rozmaitych mniejszości, ani rozgrzeszenia rodzimych faszystów, ani po prostu niewiarygodnej korupcji (o własnym podwórku litewskim nie będę mówił, ale proszę mi wierzyć, różnie tam bywało). Dryfowało to wszystko w kierunku Putina; Węgry Orbána posunęły się aż do wspierania jego polityki zewnętrznej, w Polsce albo Litwie przeszkadzała temu wielowiekowa tradycja, ale wewnątrz tych krajów swoisty putinizm, chociaż bez jego faszystowskiego natężenia, rozkwitał w najlepsze. Dzięki Bogu, rozwój sytuacji w Polsce niedawno dowiódł, że ten dryf jest (częściowo?) odwracalny.

A więc chodzi nie tylko o porwanie i zniewolenie Bogu ducha winnej Europy; chodzi także o to, że już przedtem była zacofana, zakrzepła w anachronicznych stereotypach (czasem zakrzepła nie gorzej od Rosji), dławiąco prowincjonalna, sprzeciwiająca się nieuchronnym, niezbędnym i rozsownym trendom globalistycznym.

Musimy pomagać Ukraincom w obronie ich etnosu i płodnej tradycji przed rakietami Putina i Szojgu, przed zakusami różnych Siergiejcewów, dążących do zniszczenia kultury. Ale nie mamy prawa zniżyć się do tego poziomu, odpłacać pięknym za nadobne, stać Siergiejcewami z przeciwnym znakiem. Niestety, odczuwam taką tendencję w niedawnych słowach pewnego litewskiego dziennikarza (mniejsza o jego nazwisko, bo mogli to powiedzieć inni): „Można mówić: Modest Musorgski i Antoni Czechow nie ponoszą winy za to, że ich utwory przyswaja sobie państwo będące złem w stanie czystym. Ale te utwory już są zatrute i niedotykalne; trędowaty nie ponosi winy za to, że się zaraził, lecz nikt go nie dotyka, bo takie są reguły bezpieczeństwa i higieny. Wszystkie utwory autorów rosyjskich – książki, sztu-

ki teatralne, filmy, obrazy – wszystko to jest skreślone, anulowane, stało się w najlepszym razie zerem, a w najgorszym złem ze znakiem minus”.

Powiedziałbym inaczej: cień zbrodniczego państwa kładzie się na kulturę i język, ale to nie oznacza, że kultura i język jako takie są dotknięte skazą nieuleczalną i współwinnę zbrodni.

Rozumiem dobrze wstręt do rosyjskiego artysty, który płaszczy się przed Putinem, tym bardziej do takiego, co bierze udział w jego propagandzie. Rozumiem, że toksyczna struktura społeczna Rosji zatruchiła poglądy niektórych klasyków rosyjskich, nawet tkankę artystyczną ich utworów, prowadząc do różnych rys u Puszkina, Dostojewskiego, Solżenicyna albo tegoż Brodskiego. Trzeba zdawać sobie z tego sprawę, kiedy się ocenia te utwory i twórców.

Ludzie pracujący w kulturze imperialistycznego i agresywnego kraju muszą odczuwać szczególną odpowiedzialność, zrewidować dogłębnie mentalność rosyjską i zrobić rachunek sumienia (najlepiej, kiedy dochodzą do tego sami, bez naszych wskazówek, ale wskazówki też mogą się przydać). Ale nie trzeba „przeginać pały”.

Nie zgadzam się na totalne odrzucenie kultury rosyjskiej. Alianci podczas II wojny światowej nie odrzucali Bacha, Goethego i Tomasza Manna (choć mogli mieć zastrzeżenia co do Nietzschego i Wagnera); audycje BBC zaczynały się od akordów Beethovena. Sądzę, że jest to niezły przykład dla nas.

Nienawiść jest zrozumiała w okopach. Bardzo dobrze pojmuję reakcję obronną Ukrainca, którego dzieci w każdej chwili mogą zostać zabite. Jest nie tylko usprawiedliwiona, ale i niezbędna. Nie wykluczam, że zmieniłbym – albo uściślił – te oto rozważania, gdybym był mieszkańcem Kijowa albo Lwowa.

Jednak raczej nie powiem, jak mówi poważana przeze mnie Oksana Zabuzko, że rosyjska literatura jest siatką maskującą dla rosyjskich czołgów. Nie powiem, że podrzuca wzory dla zachowań totalitarnych albo że w każdym razie bardzo się różni od literatury angielskiej, niemieckiej czy francuskiej.

Niektóre wypowiedzi Oksany Zabuzko oraz przykłady, po które sięga, trochę mnie dziwią.

Mówi, że Gierasim z opowiadania Turgieniewa na rozkaz pani bez wahania zabija ulubione zwierzątko i że rosyjscy żołnierze tak samo zabijają w Ukrainie każde żywe stworzenie – ale nie mówi, że Gierasim po tym zbrojstwie zrywa z panią wszelkie stosunki.

Mówi, że Natasza z „Wojny i pokoju” ucieka od narzeczonego z pierwszym nędznikiem, co jest typową rosyjską biernością wobec zła – no dobrze, a co z Emili w „Davidzie Copperfieldzie”? Mówi, że Katusza Masłowa przyzwyczaja się do prostytucji jako normy – no a Nana u Zoli?

W końcu mówi, że Wroński po samobójstwie Anny jedzie walczyć na Kaukazie – ależ nie, bo jedzie na Balkany walczyć z Turkami, a to jednak trochę inna sytuacja (co do kolonialnego podboju Kaukazu, Tolstoj pisał o tym w „Hadzi-Muracie”, opowieści, której chyba nic nie można zarzucić).

Zabuzko pisze także, że „humanizm po rosyjsku”, w tym Tolstoj ze swoją formułą „nie ma winnych”, rozgrzesza przestępców, wliczając w to (a może przede wszystkim) rosyjskich żołnierzy – morderców. Może niezupełnie tak? Może chodzi nie o rozgrzeszenie, tylko o empatię? Chrześcijaństwo wymaga empatii, i to nie tylko wobec ofiar.

Czy grozi nam III wojna światowa? Nie, ona już była. Związek Radziecki ją przegrał z krete sem. Ale IV? Kto wie?

Pewną empatię – choć inaczej – powinniśmy odczuwać także wobec grzeszników, nawet obarczonych okropnymi winami, bo też należą do rodzaju ludzkiego. To bardzo wysoko ustawiona poprzeczka, ale tak ją ustawił założyciel cywilizacji chrześcijańskiej, i tutaj nie możemy pozwolić sobie na niezgodę, jeżeli uważamy siebie za uczestników albo spadkobierców tej cywilizacji. I nie oznacza to usprawiedliwienia zbrodniarzy. Dostojewski nie usprawiedliwiał Raskolnikowa i Stawrogina ani Tolstoj, powiedzmy, cara Mikołaja I.

Kundera, a za nim i Zabuzko zwracają uwagę na przewagę uczucia, irracjonalności, destruktywnej namiętności w kulturze rosyjskiej (wbrew rozumowi, jakoby wyróżniającemu Zachód, także „porwany Zachód”). Łączą z tym fascynację złem, podczas gdy „nasza” kultura uważa albo chce uważać świat za domenę dobra (vide Mickiewicz, Dickens...).

Po części tak jest, ale tylko po części. W dziejach Rosji brak renesansu i prawdziwego oświecenia, a więc mniej jest kultu ratio i kwestionowania spraw. Ale diabeł ma wiele twarzy, potrafi przyjąć także twarz logiki (duszącej „konieczności historycznej”), porządku (martwego porządku kacetu), wątplenia (niewiary w nakazy moralne). I widzieliśmy takie go diabła na Zachodzie.

Nie tylko emocjonalny radykalizm, ale i konstrukcje zachodniego rozumu są źródłem niebezpiecznych skłonności Rosji: w końcu i marksizm, i nacjonalizm łącznie z szowinizmem narodziły się dość daleko na zachód od niej. Co do fascynacji złem – czasem jest to po prostu próba lepszego widzenia zła; tak interpretowałbym większość utworów Dostojewskiego. A czy nie był zafascynowany złem jego współczesny – bardzo zachodni Baudelaire?

Zabuzko mówi prawdę, kiedy przypomina sadyzm wielu żołnierzy radzieckich w Prusach Wschodnich i gdzie indziej. Ale primo, wtedy to nie było wyłączną cechą Rosjan i tylko Rosjan jako etnosu; secundo, sam termin „sadyzm” pochodzi od imienia pisarza, któremu można zarzucić najrozmaitsze grzechy poza grzechem bycia Rosjaninem.

A więc przeciwstawianie Rosji i Zachodu u Kundery i tych, którzy się z nim zgadzają, jest mocno upraszczające. Niestety, dzisiejsza sytuacja światowa to narzuca; niemniej nie powinniśmy – nawet teraz – zdawać się na łatwiznę.

Wschód nie jest wyłącznie domeną zła i Zachód nie jest wyłącznie domeną dobra; zło i dobro mieszka w każdym z nas, zarówno na Wschodzie, jak i na Zachodzie, w różnych proporcjach zależnych od naszego wysiłku. Bywa, i to często, że zło ucieleśnia się w państwie, systemie społecznym, w dyktatorze.

Ale kultura – to, z czym wiąże się skруcha i walaka – nie jest sprzymierzeńcem zła. Jest tym, co pomaga przemóc zło – czasem na krótko, czasem tylko w pewnym miejscu, jednak pomaga. Niezbędny jest tu rozum, ale nieodzowne jest też uczucie; potrzebny jest Kartezjusz i Diderot, ale przydadzą się także Tolstoj z Dostojewskim. ●



FOT. BARTOSZ BOBKOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Tomas Venclova

• ur. w 1937 r., litewski poeta, eseista, tłumacz. W czasach ZSRR dysydent, obrońca praw człowieka. Od końca lat 70. na emigracji w USA, w 2019 r. wrócił do Wilna. Po polsku ukazały się m.in. jego poezje „Rozmowa w zimie”, wymiana listów z Czesławem Miłoszem „Dialog o Wilnie”, biografia „Aleksander Wat. Obrazoburca”, „Niezniszczalny rytm. Eseje o literaturze”, „Z dzienników podróży”, „Wilno. Przewodnik biograficzny”. Ostatnio wyszła u nas jego książka „Litwa, ojczyzna moja”, dzieje kraju od prehistorii do odzyskania niepodległości w 1990 r.

• Esej napisany dla książki zbiorowej „Europa Środkowa – co dalej?” pod red. Przemysława Czaplińskiego i Krzysztofa Czyżewskiego, która ukaże się nakładem Wydawnictwa Pogranicze. Autorami pozostałych esejów są m.in. Jurij Andruchowycz, Timothy Garton Ash, Miljenko Jergović, Mykoła Riabczuk, Jacques Rupnik, Marci Shore i Oksana Zabuzko.



WYPĘDZIMY ICH DO OSTATNIEGO

W niedzielę 5 listopada 1939 r. pod poznańskie kamienice podjechały ciężarówki. Niemcy zaczęli akcję wysiedleńczą. Łącznie z ziem wcielonych do III Rzeszy wywieźli do Generalnego Gubernatorstwa blisko 400 tys. polskich obywateli.

1RP



• **Poznań, pierwsze dni okupacji. Niemiecki policjant z balkonu kamienicy kieruje przez mikrofon ruchem pieszych. Poznaniacy musieli stosować się do wydawanych po niemiecku poleceń, a za ich niewykonanie groziło nawet więzienie**

FOT. HULTON-DEUTSCH COLLECTION/CORBIS/GETTY IMAGES

Jacek Kubiak

Był październik 1939. Matka miała wątpliwości: „Zostać wszystko i wyjechać?”. Dieter Bielenstein, syn niemieckiego księgarza w łotewskiej Mitawie, opowiada, że nikt już wówczas nie miał wątpliwości, że to będzie wyjazd na zawsze, porzucenie ojczyzny, gdzie Niemcy bałtyccy żyli od kilku wieków, nieodwracalna strata. W końcu jednak matka postanowiła: „Wódz wzywa, pójdziemy za nim” („Der Führer ruft, wir müssen folgen”). Po 17 września było jasne, że Związek Sowiecki i nazistowskie Niemcy ściśle współpracują. Wojna w Polsce się już skończyła. Obie strony podpisały 28 września kolejną – po pakcie Hitler-Stalin z sierpnia – umowę: „Traktat o granicach i przyjaźni”, ostatecznie dzieląc Europę Środkowo-Wschodnią na strefy wpływów obu mocarstw. W poufnym protokole ZSRR zapewnił, że nie będzie stawiał Niemcom etnicznym przeszkód w migracji do Rzeszy ze swojego obszaru dominacji.

HEIM INS REICH

W krajach bałtyckich pojawił się lęk przed rosyjską inwazją. Większość Niemców bałtyckich – stanowili

na tamtym terenie ważną gospodarczo i społecznie grupę – również odczuwała ten strach, pamiętano jeszcze okrucieństwa rewolucji bolszewickiej. Natomiast władze w Berlinie starały się – z pomocą nazistowskich aktywistów wśród bałtyckich Niemców – jak najszybciej zorganizować transporty „Heim ins Reich”, jak brzmiał ówczesny slogan, co można tłumaczyć jako hasło „Do domu w Rzeszy”. Miał to być pierwszy krok w dalekosiężnych planach germanizacji zachodnich terenów Rzeczypospolitej. W Rydze więc już około połowy października zacumowały niemieckie statki pasażerskie gotowe wziąć na pokład „powracających”. Co ważne, zabrać ze sobą wolno było prawie wszystko. W lotewskich archiwach filmowych można znaleźć ujęcia, gdzie widać załadunek samochodów, koni, fortepianów. Na brzegu – orkiestra dęta, a zza burty odpływającego statku setki pasażerów żegnają porzucaną ojczyznę wyciągniętymi ramionami, czyli tzw. niemieckim pozdrowieniem. Większość z nich wkrótce zamieszka w Wielkopolsce lub na ziemi łódzkiej. Tymczasem 3 listopada Poznań przyobleka świąteczną szatę. Czerwone flagi ze swastykami zdobią budynki publiczne zarządzane już przez władze niemieckie. To uświetnia moment objęcia Urzędu Namiestnika Rzeszy w Warthegau, nowo utworzonej prowincji Rzeszy, przez Artura Greisera, działacza NSDAP z Gdańska. Pochodzi on ze Środy Wielkopolskiej, ze skromnej rodziny niemieckiego szewca. Przed hotelem Bazar – miejsce symboliczne – skąd przed tłumem polskich poznaniaków 27 grudnia 1918 r. przemawiał Ignacy Paderewski (zaraz potem wybuchło powstanie wielkopolskie) – świąteczne zgromadzenie Hitlerjugend ku czci Greisera. Radość. Poznań zostaje wcielony do Rzeszy czy raczej – z ówczesnego niemieckiego punktu widzenia – „wraca” po 20 latach do Rzeszy. Wkrótce potem, 20 grudnia, Willi, pracownik dużej firmy zbrojeniowej Deutsche Waffen- und Munitionsfabriken, oddelegowany do Poznania, by pracować w nowej filii przedsiębiorstwa, pisze do żony w Rzeszy: „Mein liebes Hännchen! Już od trzech tygodni jestem w naszej nowej ojczyźnie! Bardzo mi się tutaj podoba, bo Poznań jest pięknym, starym niemieckim miastem [...]. Jesteśmy pierwszymi osadnikami i krzewicielami kultury niemieckiej!”. Ziemie pokonanej Polski zostały podzielone między Sowiety a Niemcy. Wydzielono Generalne Gubernatorstwo z Warszawą, ale ze stolicą w Krakowie, a Śląsk, Wielkopolskę, część ziemi łódzkiej z Łodzią, północne Mazowsze z Mławą, Płockiem i Ciechanowem oraz Pomorze wcielono bezpośrednio do Rzeszy. To historycznie najdalszy zasięg terytorium państwa niemieckiego, granica Rzeszy przebiegała na wschód od Kutna.

GDYBY TO FÜHRER WIEDZIAŁ!

Wielkopolska i część ziemi łódzkiej weszły w skład Warthegau, nowej prowincji Rzeszy, miała się ona stać „wzorcowym krajem niemieckim”. „Za pięć lat nie będzie tu ani jednego Żyda i ani jednego Polaka”, grzmiał Robert Ley, przywódca Niemieckiego Frontu Pracy DAF, na wiecu w Łodzi w grudniu 1939 r. A Joseph Goebbels notował w dzienniku: „Führer nie chce asymilacji Polaków. Powinno się ich wtłoczyć do tego ich pomniejszonego państwa [tj. Generalnego Gubernatorstwa] i tam pozostawić samych sobie”. A jeszcze kilka dni później: „Polaków wypędzi się stopniowo aż do ostatniego. Bez pardonu. Cała ta prowincja musi stać się niemiecka aż do szpiku kości”. W niedzielę 5 listopada 1939 r. zaczęła się w Poznaniu akcja wysiedleńcza. Żółte autobusy poczty niemieckiej lub po prostu ciężarówki podjeżdżały pod wybrane kamienice. Wolno było zabrać tylko to, co się zmieści w podręcznym tobołku czy walizce. Opowiada Maria Świdarska, była jako dziecko świadkiem zdarzeń przy ul. Rzeczypospolitej (dziś Nowowiejskiego): „Tu z frontowych mieszkań wyrzucani byli wszyscy, z całej ulicy. Podjeżdżały samochody o godzinie 22.00 i wszyscy byli natychmiast owożeni do baraków, do obozu na Główniej, a Niemcy wyrzucali przez okno na podwórze wszystko, co było im w tych mieszkaniach niepotrzebne, zwłaszcza jakieś portrety, fotografie, pamiątki”. W listopadzie 1939 r. rodzina Bielensteinów z pierwszym transportem Baltendeutschów dotarła do Poznania. Otrzymała od administracji niemieckiej klucze do mieszkania w śródmiejskiej kamienicy. Dieter miał wówczas tylko osiem lat, ale ten moment, gdy weszli do mieszkania, zapamiętał: „Na piecu w kuchni stały garnki, posilek na stole, w szafach garderoba. Było jasne, że ludzie, którzy tu mieszkali, mieli może 10 minut na opuszczenie

mieszkania. Matka była wściekła: »Jak można tak ludziom robić? To straszne!«. I powiedziała coś, co mówiło wtedy wielu: »Gdyby to Führer wiedział, nigdy by na to nie pozwolił!«». Poznaniaków, a z czasem też mieszkańców sąsiednich gmin i powiatów wywożono do obozu na Główniej, przedmieściu Poznania, założonego w starych barakach magazynowych. Przez obóz przeszło do wiosny 1940 r. trzydzieści kilka tysięcy osób. Pobyt w obozie trwał niekiedy kilka dni, a czasem kilka czy kilkanaście tygodni. Zbliżała się zima, temperatura spadała do minus 27 st. C. Henryk Walendowski – nieżyjący już inicjator budowy pomnika Wypędzonych Wielkopolan, który zostanie odsłonięty w Poznaniu 5 listopada – pisze we wspomnieniach: „Baraki były prawie nieogrzewane, panował wszechobecny zaduch [...]. Betonową posadzkę przykrywano słomą, która wkrótce stawiała się sieczką. Był to zawszony barłóg”. We wszystkich wspomnieniach z obozu na Główniej przewija się motyw głośnych modlitw i pieśni religijnych. Niemiecka administracja je tolerowała. W założonych kilka miesięcy później obozach przesiedleńczych w Łodzi było to już niemożliwe, nazistowski aparat przemocy radykalizował się stopniowo. W obozie na Główniej wieczorami można było – wspomina Walendowski – śpiewać, np. tak: *Serdeczna Matko, opiekunko ludzi, Niech cię płacz sierot do łitości wzbudzi; Wygnańcy Ewy do Ciebie wołamy, Zlituj się, zlituj, niech się nie tulamy.* Potem następowała wywózka do Generalnego Gubernatorstwa, miejscowości docelowe były różne: Ostrowiec Świętokrzyski, Mielec, Opoczno, ale i Kraków czy Rzeszów. By pokonać dystans 200 czy 300 km, pociągi potrzebowały niekiedy dwóch-trzech dni. Wygnańcy w zamkniętych wagonach, bez aprowizacji. Na miejscu społeczności lokalne przyjmowały Wielkopolan w prowizorycznych kwaterach, przybysze musieli organizować sobie w obcym terenie życie od zera. Jak mówi niemiecki historyk Götz Aly, naziści mówili wciąż o „tysiącletniej Rzeszy”, ale niewiele z tego wynikało. Dominowały pośpiech i improvisacja. Akcję wysiedlenia koordynował z Berlina Adolf Eichmann, który był potem odpowiedzialny za organizację eksterminacji Żydów w obozach śmierci. Skazany w Jerozolimie na karę śmierci w 1961 r. W notatkach spisanych w więzieniu wspominał wysiedlenia Polaków. „Do końca lutego 1940 r. miano deportować okragły milion Żydów i Polaków z nowych prowincji wschodnich do Generalnego Gubernatorstwa. Ilość – wobec występujących trudności – w przepisany czasie choćby nawet w przybliżeniu praktycznie nieosiągalna. [...] Triumfy święciły ambicja, chęć odznaczenia się i głód władzy [...]. Wszyscy rzucili się do pracy. I wszystko szło za wolno. [...] Skutkiem był beznadziejny chaos. Błędnie oznaczone stacje końcowe. Nadmierne obłożenie pociągów. Brak informacji między stacją wysyłkową a odbiorcą transportu. Całkowite bezhołowie”. Tymczasem rodzina Bielensteinów jest nadal niezadowolona z mieszkania w poznańskiej śródmiejskiej kamienicy, ale ma już raczej mniej wątpliwości natury moralnej. Gerhard i Karin, rodzice Dietera, spacerując w podmiejskiej dzielnicy, znajdują wreszcie coś właściwego. Okazała willa. Teraz wystarczy już tylko skierować wniosek do „Pana Namiestnika Rzeszy, Wydział I/5 Mieszkalnictwo”, by rodzina mogła objąć dom z ogrodem należący do wziętego lekarza weterynarii Stefana Piotrowskiego.





w Polsce »proponują« Polakom »wysiedlić się« ze swych majątków i domów w ciągu 15 minut, ze sobą pozwalają zabrać jedynie to, co rodzina może udźwignąć, często bywało i tak, iż nie pozwalamo zabrać nawet dziecięcych zabawek”.

Kilka miesięcy później, w czerwcu 1940 r., Związek Radziecki zaanektował Litwę, Łotwę i Estonię. Mimo to rodzina Iriny nadal nie zdecydowała się na wyjazd, nawet wtedy, gdy Sowietci skonfiskowali ich rodzinne przedsiębiorstwo – dużą firmę budowlaną – ustanawiając ojca zarządcą z bardzo wysokim uposażeniem, dodając mu wszakże Grigorija, rosyjskiego „komisara”. Grigorij, „bardzo przyjemny człowiek”, powtarza coraz częściej: „Musicie wyjechać, nie możecie tutaj zostać”. Wyjeżdżają w ostatniej chwili. Krótko przed 22 czerwca 1941 r. trafiają w Łodzi do obozu przejściowego dla przesiedleńców niemieckich. W 1943 r. wracają do zajętej przez Niemców Rygi, ale wkrótce znowu trzeba było uciekać przed Sowietami. Jadą do Berlina i resztę wojennej tułaczki przeżywają już w Niemczech.

Tymczasem ok. 1,5 tys. km na południe od zajętych przez Sowietów krajów bałtyckich, w okolicach Odessy i w wielu innych miejscach na północnym wybrzeżu Morza Czarnego, też żyją Niemcy, potomkowie osadników z przełomu XVIII i XIX wieku. Ściągali ich caryca Katarzyna oraz Aleksander I, by skolonizować świeże zdobycze terytorialne, jakimi pod koniec XVIII w. stał się Krym i wybrzeża Morza Czarnego, ziemie anektowanego przez Rosję chanatu tatarskiego.

Opowiada Harry Hägelen, dziś mieszka pod Hanowerem. Jego ojciec był kierownikiem wiejskiej szkoły w niemieckiej wsi Marienthal pod Odessą, został latem 1938 r. uwięziony przez NKWD. „Matce wolno było raz w tygodniu odbierać z więzienia bieliznę męża do prania. Za któryśś razem znalazła w niej malutką karteczkę, gryps: »Tortury jak w średniowieczu, będziesz musiała sama wychowywać nasze dzieci«. Po jakimś czasie dostała informację z więzienia, że ojciec został skazany na 10 lat więzienia bez prawa do korespondencji”.

Skala represji, jakie dotknęły ukraińskich Niemców, była – nawet jak na sowieckie stosunki – trudna do wyobrażenia. Większość Niemców to byli (niegdyś) zamożni chłopci, a więc „kulacy”. Opierali się kolektywizacji. W latach 1937-38 trwały deportacje Niemców do Kazachstanu i na Syberię, porównywalne w skali jedynie z represjami przeciwko Polakom. Nie tylko deportacje, ale także systematyczne morderstwa. Szacuje się, że w latach wielkiej czystki w latach 30. NKWD wymordowało ok. 100 tys. Polaków i ok. 30-40 tys. Niemców żyjących w granicach ZSRR. Harry Hägelen mówi, że w jego wsi Sowietci wymordowali lub wywieźli mniej więcej jedną piątą mieszkańców.

ŻADNEMU NIEMCOWI NIC NIE ZROBIŁEM

Czystki etniczne na wielką skalę prowadzili Sowietci również na okupowanych po 17 września 1939 r. wschodnich terenach Rzeczypospolitej. Cel obu okupantów był wspólny: zrobić wszystko – także poprzez eksterminację ludności – by odrodzenie państwa polskiego nie było już w przyszłości w ogóle możliwe.

Obaj agresorzy potrafili zresztą w tej „wspólnej sprawie” znakomicie współdziałać. Włodzimierz Dusiewicz opowiada historię swojego ojca Władysława, naczelnika więzienia w Grodzisku Wielkopolskim. Podczas kampanii wrześniowej służył w randzie kapitana artylerii, dostał się do niewoli niemieckiej w pobliżu Brześcia nad Bugiem właśnie w tym czasie, gdy Armia Czerwona i Wehrmacht przygotowywały paradę zwycięstwa, jaką 22 września odbierali, stojąc ramię w ramię generałowie Heinz Guderian i Siemion Moisiejewicz Kriwoszejn. Niem-



• **Rodzina Piątkowskich z Gostynia. W środku Marian, oficer zamordowany w Katyniu. Z lewej jego matka, Józefa, z prawej – ojciec Maksymilian, zamordowany w publicznej egzekucji. Po lewej ich córka Irena, a po prawej, starsza, Barbara, łączniczka w powstaniu warszawskim. Z tyłu synowie - Grzegorz i Tadeusz. W grudniu 1939 roku Niemcy wywieźli Piątkowskich do Generalnego Gubernatorstwa**

FOT. ARCHIWUM RODZINNE

cy przekazali wówczas stronie sowieckiej wszystkich polskich jeńców pojmanych na tym odcinku frontu. Władysław był ranny, na noszach. Rosjanie zastrzelili go w transporcie. Ciało wyrzucili na nasyp. Pozostali oficerowie, którzy razem z nim przeszli z rąk niemieckich w ręce sowieckie, zostali przewiezieni do obozu w Ostaszkowie i zamordowani w kwietniu następnego roku razem z ponad 20 tys. innych polskich oficerów i przedstawicieli służb mundurowych w Katyniu, Charkowie i Twerze.

Żona Władysława Dusiewicza Jadwiga wraz z trójką dzieci została deportowana na początku 1940 r. z Grodziska Wielkopolskiego do Generalnego Gubernatorstwa.

„Umieram niewinny, nic nigdy żadnemu Niemcowi nie zrobiłem”, pisze Tomasz Wachowski, powstaniec wielkopolski, weterynarz z Leszna, do żony w przeddzień swojej śmierci. Było już po wyroku sądu doraźnego skazującego go na śmierć. List dociera do rodziny po czasie. Tymczasem jego córka Irena – ojciec był trzy dni wcześniej aresztowany jako zakładnik – wiedzona instynktem, bo ktoś mówił, że coś się dzieje na rynku, wybiegła ze szkoły. Usłyszała z oddali jakieś strzały, a gdy dobiegła, ujrzała już tylko ciało ojca wynoszone z miejsca egzekucji. Nic więcej nie pamięta.

Razem z Wachowskim tego dnia rozstrzelanych zostało 19 innych mieszkańców Leszna.

Podobne sceny rozgrywały się na rynkach wielu wielkopolskich miast, m.in. w Śremie, Kórniku i Mosinie. Między 20 a 23 października zamordowano 275 osób. Łączna liczba ofiar egzekucji, jawnych i tajnych, na miejscowych rynkach i w lesie, na anektowanych przez Rzeszę zachodnich ziemiach Rzeczypospolitej w pierwszych miesiącach okupacji sięga 40 tys. osób, głównie – inteligencja, księża, działacze społeczni, osoby cieszące się autorytetem.

W lasach koło Piaśnicy na Pomorzu – miejsce to zwane jest niekiedy „pomorskim Katyniem” – rozstrzelano na przełomie 1939 i 1940 roku kilkanaście tysięcy osób.

FOTOGRAFIA RODZINNA

Spójrzmy teraz na zdjęcie rodziny Piątkowskich z Gostynia. Jest syntezą ówczesnego polskiego losu. Zrobione niedługo przed wojną.

W środku najstarszy syn Marian, urzędnik Banku Cukrownictwa, w 1939 r. porucznik Wojska Polskiego, zamordowany w Katyniu. Z jego lewej strony matka Józefa, z prawej – ojciec Maksymilian, księgowy w lokalnej cukrowni oraz skarbnik Towarzystwa Naukowej Pomocy dla Młodzieży Męskiej Wielkopolski. Został zamordowany w publicznej egzekucji na rynku w Gostyniu razem z 29 innymi obywatelami miasta 21 października 1939 r. Z lewej Irena, najmłodsze dziecko, a z prawej – Barbara, za kilka lat będzie sanitariuszką i łączniczką

w powstaniu warszawskim. W drugim rządzie Grzegorz i Tadeusz, synowie, którzy szczęśliwie wrócili z kampanii wrześniowej. W grudniu całą rodzinę Piątkowskich – i rodziny wszystkich pozostałych 29 ofiar mordu na gostyńskim rynku – okupanci wywieźli do Generalnego Gubernatorstwa.

Łącznie deportowano do GG – według obliczeń prof. Marii Rutowskiej z Instytutu Zachodniego w Poznaniu – blisko 400 tys. obywateli polskich z ziem wcielonych do III Rzeszy. Dalsze 200-300 tys. pozbawiono domostw, majątku i osiedlono na gorszych warunkach w obrębie Warthegau, to tzw. rugi wewnętrzne.

Na ziemiach wcielonych do Rzeszy żyło też ponad 600 tys. obywateli polskich pochodzenia żydowskiego. Wszyscy oni również stracili domy, majątek, a potem i życie. Kilkadziesiąt tysięcy obywateli polskich z tych ziem uciekło, nie czekając na przesiedlenia.

Prof. Czesław Łuczak, historyk okupacji w Wielkopolsce, szacował liczbę ofiar przymusowych wysiedleń na ziemiach wcielonych do Rzeszy na blisko półtora miliona osób.

Na ich miejsce naziści sprowadzili kilkaset tysięcy, propaganda hitlerowska głosiła w 1944 r., że był to milion osadników. Pochodzili z Europy Środkowej i Wschodniej, z krajów bałtyckich, Wołynia, znad Morza Czarnego, z Besarabii, Bukowiny czy Dobruży.

PRZECIEŻ OJCIEC BĘDZIE NAS SZUKAŁ

Latem 1941 r. przez wieś rodziny Hägelen w ciągu dwóch dni i dwóch nocy bez przerwy oddziały Wehrmachtu ciągnęły na Odessę. Harry pamięta „klosz” stepowego kurzu nad wsią.

Plan Sowietów, by w ostatniej chwili bezpośrednio przed zbliżającym się frontem deportować mniejszość niemiecką znad Morza Czarnego do Kazachstanu czy na Syberię, powiódł się tylko częściowo. Większość mogła odetchnąć z ulgą.

Ale na wiosnę 1944 r. znów zbliżała się armia, tym razem Armia Czerwona. Następuje ewakuacja. Czarnomorcy ruszają na zachód, długie kolumny wozów końskich. Ale Harry i większość ewakuowanych idzie obok wozów piechotą, na wozach są tylko chorzy i starcy. Zagrożeniem z powietrza są samoloty sowieckie, a z przydrożnych lasów – sowiecka partyzantka. Mimo to kolumna z Harrym, matką i rodzeństwem (ojciec według ich wiedzy odsiaduje wyrok) dociera po dwóch miesiącach na Węgry, a po jeszcze jednym miesiącu – do Jarocina. Tu jest wreszcie spokój, cisza, można odpocząć. Ale po pół roku (przełom 1944/45) trzeba znowu uciekać przed Armią Czerwoną.

Rodzina zatrzymuje się we wschodniej strefie okupacyjnej. Sowieckie władze okupacyjne proponują powrót do „ojczyzny”. Matka na to przystaje: „Przecież, jak

Ojciec wyjdzie, będzie nas szukał”. Rosjanie wywiozą rodzinę Hägelen za koło podbiegunowe. Tam spędzi ona 10 lat na ciężkich robotach. Po zwolnieniu nie będą mogli pojawiać się w rodzinnych stronach. Dopiero na przełomie lat 80. i 90. Harry może pojechać do Odessy i w urzędzie stanu cywilnego uzyskać akt zgonu ojca rozstrzelanego dokładnie tego samego dnia, gdy w 1938 r. rodzinie powiedziano, że dostał wyrok 10 lat bez prawa do korespondencji.

Dieter Bielestein, syn lotewskiego księgarza z Mitawy, po śmierci rodziców przyjechał do Poznania, by znaleźć willę, gdzie spędził kilka lat dzieciństwa. Przeprosił rodzinę, w której domu mieszkał od 1940 do końca 1944 r. Przyjeżdżał potem jeszcze kilka razy, między nim a Danutą Szulczewską, córką właściciela willi, doktora Stefana Piotrowskiego, zawiązała się przyjaźń. I to mimo że ojciec pani Danuty został za udział w konspiracji zgilotynowany w Plötzensee w 1942 r.

A Irina von Schlippe mieszka dziś pod Monachium, choć ciągle odczuwa dystans wobec niemieckiego otoczenia. „Nie jestem Niemką – mówi. – Należę do Bałtów, Szwajcarzy też mówią po niemiecku, a nie są Niemcami”. ●

Źródła: Kolekcja wywiadów dotyczących ziem polskich wcielonych do III Rzeszy wchodząca w skład Poznańskiego Archiwum Historii Mówionej powstała we współpracy ze Związkiem Miast Polskich oraz Haus des Deutschen Ostens w Monachium. W tekście cytowane są również wypowiedzi „świadków historii” z filmu „Jasnowiąsa prowincja” (real. Jacek Kubiak, Klaus Salge, Janusz Zemer, ARTE 2009).

Jacek Kubiak

• dziennikarz i producent TV, wykładowca Wydziału Nauk Politycznych i Dziennikarstwa UAM w Poznaniu, prowadzi Poznańskie Archiwum Historii Mówionej (historiamowiona.poznan.pl), dział Wydawnictwa Miejskiego Posenia.

Pomnik Wypędzonych Wielkopolan

• Bardzo długo wysiedlenia Wielkopolan były na marginesie debaty historycznej przestonęte przez inne tragiczne rozdziały II wojny światowej. Kilkanaście lat trwały zabiegi Społecznego Komitetu Budowy Pomnika Wypędzonych Wielkopolan założonego przez nieżyjącego już Henryka Walendowskiego. 5 listopada br. – w 85. rocznicę pierwszego dnia deportacji – pomnik autorstwa prof. Karola Badyny zostanie odsłonięty.

Jasne strony dziejów

Europa się broni

Gdy trwa dyskusja o szturmujących granicę uchodźcach, a poparcie dla populistów rośnie, łatwo przeoczyć, że życie w Europie staje się coraz lepsze.

Brzezicki

Wojna na Ukrainie, kryzys uchodźczy, wzrost egoizmów narodowych nie mogą cieszyć, ale jeśli spojrzeć na dzieje Europy po 1945, a zwłaszcza po 1989 roku, nie sposób nie docenić, że jest tu naprawdę coraz lepiej. Pół wieku temu większość Europy zdominowana była przez państwa autorytarne albo dyktatury.

Przypomina o tym Timothy Garton Ash w książce „Homelands”, gdzie opisuje swe młodzieńcze podróże po kontynencie.

Nie tylko kraje bloku socjalistycznego, takie jak Polska, ale także niemal całe południe rządzone było z lekceważeniem praw człowieka. Prawicowe reżimy kontrolowały Hiszpanię oraz do 1974 roku Grecję i Portugalię. Włochy nie były dyktaturą, ale liczba ofiar mafii w tym kraju szła wówczas w tysiące. Jugosławią rządził Josip Bros Tito, którego ręce ociekały krwią.

Na północy za to szerzył się problem z terroryzmem będącym dziełem separatystów, jak Irlandzka Armia Republikańska, albo niemieckich lewaków, albo francuskiej skrajnej prawicy sprzeciwiającej się dekolonizacji – działająca w latach 60. XX wieku OAS próbowała nawet zabić Charles’a de Gaulle’a. Międzynarodówka terrorystyczna zresztą nie uznawała podziałów na północ i południe Europy, nie przejmowała się różnicami religijnymi czy też ideologicznymi.

We frankistowskiej Hiszpanii i potem ludzi zabijała baskijska ETA. Liczba zamachów szła w dziesiątki – w grudniu 1973 roku terroryści zabili premiera Hiszpanii Luisa Carrero Blanco, we wrześniu 1974 roku wrzucili bombę do kawiarni w Madrycie, zginęło 13 osób, w czerwcu 1987 roku bomba na parkingu w Barcelonie zabiła ponad 30 osób, drugie tyle raniła.

We Włoszech zabijała nie tylko mafia, premier Włoch Aldo Moro został zamordowany w 1978 roku przez Czerwone Brygady.

Urlike Meinhoff, założycielka zachodnoniemieckiej Frakcji Czerwonej Armii, na swoją terrorystyczną działalność brała pieniądze z NRD i od państw arabskich, a jej ludzie szkolili się w Palestynie.

Terroryści irlandzcy z IRA albo różnych jej odłamów potrafili

jeszcze pod koniec XX wieku zabijać dziesiątki osób. W 1998 roku w geście sprzeciwu wobec porozumień Brytyjczyków i Irlandczyków zamachowcy zabili w sądzie w Omagh 30 osób, a znacznie więcej raniła.

Dziś nazwy tych organizacji terrorystycznych są tematem dla historyków i autorów serialowych scenariuszy. Jeszcze w latach 90. XX wieku toczyła się na Bałkanach krwawa wojna – dziś już dwa państwa byłe Jugosławii – Słowenia i Chorwacja – są w Unii Europejskiej, reszta się, przynajmniej deklaratywnie, ubiega o członkostwo w UE.

Z tej perspektywy dzisiejsi populisci i problemy nie wydają się tak przerażające. Owszem, zamachowców i zamachów nie brak – nie są jednak dokonywane w imię idei zrodzonych w Europie. Dawni europejscy terroryści odłożyli broń, siedli do rozmów i się skompromitowali. Rządy także wykazały się wolą porozumienia. W efekcie gleba dla rodzimych radykalizmów stawała się coraz bardziej jałowa, bo większość ludzi chce jednak spokojnie pracować i cieszyć się pokojem.

W czasach zimnej wojny Europa żyła z groźbą wojny nuklearnej na co dzień. Dziś takiego zagrożenia nie ma. Rosja nie jest w stanie zdobyć w Ukrainie terenów o powierzchni kilku województw. Ukraińcy bronią się dzielnie, ale gdyby nie pomoc z Zachodu, padliby bardzo szybko. I właśnie ta pomoc pokazuje, jak sprawna może być Europa.

Unia Europejska, jeśli idzie o wsparcie finansowe Kijowa, jest na pierwszym miejscu, Niemcy zaś, jeśli idzie o pomoc zbrojną, ustępują jedynie USA. Wielka Brytania, która wyszła z UE, nie szczędzi Ukrainie pomocy. Polska – lider przemian politycznych i gospodarczych w Europie – także jest w czołówce państw pomagających Ukrainie.

W rankingach jakości życia pierwsze trzy miejsca zajmują miasta europejskie (w tym dwa z UE), czyli Wiedeń, Kopenhaga oraz Zurych. Jeszcze lepiej Europa wypada w rankingach państw.

I na koniec taki drobiazg – nawet mecze piłkarskie stały się w większości Europy rodzinną atrakcją, a nie okazją do nawalane kiboli. Przestańmy narzekać. ●

Antypolityka historyczna

Święty rozdwojony

Był Jan Pomuk czy także Jan Nepomuk?
Dwóch świętych czy tylko jeden?



Kult świętych od dawna fascynuje historyków, bo jest doskonałym barometrem zmian kultury. Zmienia się w zależności od potrzeb i emocji ludzi różnych epok. Weźmy św. Jana Nepomucena, o którym przypominała niedawno Beata Maciejewska, pisząc o zniszczeniu przez powódź figury na moście w Łądku-Zdroju.

Jan z Pomuka żył w II połowie XIV wieku i był kanonikiem praskim, współpracownikiem biskupa Jana z Jenštajnu. Biskup wdał się w ostry konflikt z królem Czech Wacławem IV i ofiarą padł jego współpracownik. W roku 1393 król kazał go zabić, a ciało wrzucić do Wełtawy z mostu praskiego. W XV wieku rodzinną miejscowość Jana (niedaleko Pilzna) zaczęto nazywać Nepomuk – stąd po czesku Jan Nepomucký, a po łacinie Johannes Nepomucensis, co przetłumaczono na polski jako Jan Nepomucen. Tytuł faktów. Dalej jest legenda.

W końcu XV wieku pewien kronikarz pomylił daty: napisał, że śmierć Jana nastąpiła w roku 1383, o 10 lat wcześniej niż naprawdę. W XVI wieku połączono obie wersje. Uznano, że król Wacław IV utopił aż dwóch księży, jednego w 1383 roku, a drugiego w 1393. Tak kanonik Jan się rozdwoił.

Kiedy zaś w 1729 roku zakończył się proces kanonizacyjny, uznano, że „prawdziwy” święty Jan Nepomucen to ten utopiony w 1383 roku. Efekt pomyłki wyparł autentycznego Jana z Pomuka. Dopiero w końcu XVIII wieku badacze rozwikłali ten galimatias i ponownie zjednoczyli obie postacie.

W połowie XV wieku pojawia się opowieść, że Jan był spowiednikiem królowej, żony Wacława IV, zamordowanym przez króla za dochowanie tajemnicy spowiedzi. Tymczasem Kościół w XVI wieku gwałtownie potrzebował patrona spowiedników. Postanowił bowiem wzmocnić praktykę indywidualnej spowiedzi usznej, znaną od dawna, ale często zaniedbywaną. Była to próba odpowiedzi na wyzwanie protestantyzmu. Protestanci kładą nacisk na indywidualne przeżycie religijne, na osobisty kontakt z Bogiem? Proszę bardzo – katolicy też, ale na swoich warunkach. Każdy wierny musi sam dokonać rachunku sumienia, wzbudzić w sobie żal

za grzechy, postanowienie poprawy itp. Czyni to jednak pod kontrolą spowiednika czuwającego nad doktrynalną poprawnością. W kościołach pojawia się konfesjonał. Jan Nepomucen na patrona spowiedzi był jak znalazł.

Jego kult rozpowszechnił się ogromnie, ale nie ten, o który chodziło reformatorem. Stał się patronem mostów, bo z mostu został zrzucony do wody. Stał się obrońcą przed plotką, bo bronił królową przed pomówieniem. Most, każdy wie, to miejsce niebezpieczne, bo siedzą pod nim diabły i wodniki. Dobra sława w społeczeństwie, w którym większość aktów prawnych dokonywano ustnie przy świadkach, była czymś niezbędnym; kto ją utracił przez obławę, ten miał kłopot z zawieraniem transakcji, skoro nikt mu nie chciał wierzyć. Wśród wiernych popyt na obrońcę mostów i dobrej sławy był o wiele większy niż na patrona spowiedzi.

W 1683 roku na miejscu kaźni nieszczęsnego kanonika z Pomuka, moście Karola w Pradze, stanął posąg Jana Nepomucena. Rzeźbiarz Johann Brokof przedstawił go w pełnym stroju kanonika, w birecie, z trzymanym oburącz krucyfiksem.

Wybitne dzieło barokowej rzeźby zeszło w lud, dało początek nieskończonej liczbie Nepomuków: na mostach i kładkach, na rynkach i rozstajach dróg.

W miarę jak późny barok stawał się coraz bardziej dynamiczny, św. Jan Nepomucen coraz dramatyczniej się przeginał, coraz ekspresywniej trzymał krucyfiks, prawie jakby chciał z nim tańczyć. W plastyce pojawiały się nowe wątki: oto prawy boczny ołtarz w wiedeńskim kościele św. Piotra, przedstawiający świętego w momencie upadku z mostu do rzeki. To szczyt barokowego dążenia, by uchwycić w rzeźbie moment zmienności, by w kamieniu czy drewnie uwiecznić to, co zniknie za ułamek sekundy.

Cała historia jest trochę melancholijna: z pastora nowoczesnej, indywidualistycznej religijności Jan staje się, mówiąc z lekką przesadą, rodzajem rzecznego bóstwa opiekuńczego. To niejeden wypadek w dziejach, gdy projekt modernizacyjny zostaje przechwycony przez tradycyjne formy życia. Ale z drugiej strony: bez Nepomuków, organicznie wrosłych w architekturę mostów i otaczającą je przyrodę, świat byłby smutniejszy (nie mówiąc już o tym, że nikt nie pilnowałby mostów). Abstrakcyjny patron spowiedzi nie miałby szans na taką popularność. Może więc dobrze się stało? ●

Maciej Janowski

– historyk, zajmuje się dziejami Polski i Europy w XIX wieku.

Robert Stefanicki

N

Niedawno minęła 70. rocznica premiery arcydzieła kina japońskiego – filmu „Siedmiu samurajów” Akiry Kurosawy (26 kwietnia 1954). Jego akcja rozgrywa się w niezwykle ważnym okresie historii Japonii. Przede wszystkim jednak film Kurosawy, jak wiele innych tego reżysera, przybliżył światu tradycję samurajów.

Z PROF. EWA PAŁASZ-RUTKOWSKĄ
ROZMAWIA ROBERT STEFANICKI

ROBERT STEFANICKI: „W XVI wieku Japonię ogarnęła wojna domowa, w zamęcie bezprawia zbójckie bandy siały grozę wśród wieśniaków”. Tymi słowami zaczyna się film „Siedmiu samurajów” Akiry Kurosawy. Jak doszło do tego momentu?

EWA PAŁASZ-RUTKOWSKA: To jest okres sengoku, czyli wojujących prowincji, czas wojny domowej, która trwała od mniej więcej połowy XV wieku z przerwami do początku XVII, kiedy po ostatecznej bitwie pod Sekigaharą w 1600 roku Ieyasu Tokugawa, późniejszy siogun, zjednoczył Japonię.

Ale w filmie jest też inny problem: wstrętnei wyzyskiwacze, którzy gnębią biednych wieśniaków. Chłopi musieli płacić podatki swemu panu, a czasem nie byli w stanie, plony były niepewne, Japonia jest narażona na różne klęski naturalne. Do tego na pokazaną w filmie wioskę wciąż najeżdża banda rabusiów. I widzimy, jak zrozpaczeni chłopi, obawiając się, że nie przeżyją do następnych zbiorów, decydują się na zatrudnienie bezpańskich samurajów.

Roninów.

– To słowo oznacza dosłownie człowieka pływającego, wędrującego. Nazywano tak samurajów, którzy utracili pana z różnych powodów i szukali pracy najemnej, żeby mieć środki do życia. Ta najęta siódemka robi wszystko, żeby ochronić chłopów przed złymi ludźmi.

Przyczyny walk w XVI wieku są bardzo złożone. Przede wszystkim chodziło o kontrolę nad ziemią, która była wyznacznikiem majątku, a ten dawał władzę. Kiedy Japonia stała się państwem prawa na początku VIII wieku, cała ziemia w kraju miała należeć do cesarza, który przydzielał działki poddanym, a ci mieli płacić określone podatki. Ale bardzo szybko zaczęły powstawać prywatne posiadłości, zwolnione z podatków. W kręgach arystokracji dworskiej nasilała się rywalizacja, co spowodowało, że konieczna była ochrona. I tak około XI wieku w stolicy, w Kioto, pojawili się wojownicy, którzy wcześniej działali już w prowincjach. Stopniowo rośli w siłę, tworzyli zależności wasalne, aż pod koniec XII wieku powstał pierwszy rząd wojskowy z siogunem na czele. Był to przywódca wojskowy, który rządził w imieniu cesarza i zawsze był przez niego mianowany.

Na szczycie był cesarz, który rezydował w Kioto.

– Kioto było stolicą do drugiej połowy XIX wieku. Niemal przez cały okres sengoku



Samuraj

NIGDY SIĘ NIE PODDAJE

Nie lękał się śmierci, szedł do boju,
bo wiedział, że albo zwycięży, albo przegra.
A jak przegra, to musi zginąć.

miał tam też siedzibę siogun i rząd wojskowy. Kioto stanowiło centrum polityczne, a było położone w środkowej części głównej wyspy Honsiu. Tymczasem w rejonach oddalonych od tego centrum, na wschodzie i na zachodzie, zachodziły nieodwracalne procesy, znów związane z przejmowaniem majątków i władzy. Japonia jest rozciągnięta geograficznie.

Trudno ją kontrolować.

– W prowincjach oddalonych od centrum coraz większą rolę zaczynają odgrywać niezależni wojownicy, nie roninowie, ale ambitni pomniejsi dowódcy, którzy osłabiają władzę siogunatu i związanych z nim możnych panów feudalnych. Powstają nowe układy, nowe zależności wasalne,

Czy każdy mężczyzna urodzony w klasie samurajów musiał zostać wojownikiem?

– Obowiązku nie było, ale przecież należeli do klasy wojowników, od dziecka odbierali odpowiednie wychowanie. Chłopców wpajano dumę z tego, że są samurajami, w wieku pięciu lat dostawali miecze zabawki. Przechodzili odpowiednią edukację, by zostać prawdziwymi wojownikami. To była klasa rządząca. W okresie Edo, kiedy nastał czas pokoju, wojownicy nadal praktykowali to, co ważne i niezbędne dla samuraja, czyli przede wszystkim kultywowali sztuki wojskowe, szermierkę, łucznictwo, jeździectwo, ale też musieli się uczyć, czytać i pisać. Wielu z nich komponowało poezję.

Pilnowano też czystości klasowej. W okresie wojen chłopów wcielano do

ale terminem „bushidō” zaczęto je określać w okresie Edo na podstawie prac, które wówczas powstały. Nie ma jednej kanonicznej książki na ten temat. Najważniejszym tekstem jest chyba „Hagakure”, czyli „Ukryte w listowiu”, tekst spisany przez pewnego wojownika z Sagi na podstawie tego, co opowiadał Jōchō Yamamoto, wojownik daimyō Nabeshimy, pana posiadłości feudalnej Saga.

Yamamoto zaczyna od tego, że drogę samuraja odnalazł w śmierci. I to chyba jest najważniejsze dla bycia samurajem. Samuraj był przygotowany na śmierć w każdej chwili, co powodowało, że się nie lękał, szedł do boju, bo wiedział, że albo zwycięży, albo przegra, ale jak przegra, to musi zginąć, bo hańbą i dla niego, i dla całej jego rodziny byłoby, gdyby poddał się i został pojmany. Ta hańba przechodziła z pokolenia na pokolenie.

Z jednej strony samuraj jest przygotowany na śmierć, z drugiej ceni każdą chwilę swojego życia. Oni byli bardzo wrażliwi na piękno przyrody, czerpali radość z chwili, wiedząc, że ich życie może być krótkie.

Kolejnym filarem drogi samuraja jest wierność panu. To jedna z pięciu powinności konfucjańskich, które służyły utrzymaniu porządku społecznego. Była przeważnie przestrzegana, chociaż zdarzały się przypadki zdrady. Samuraj musiał być poza tym sprawiedliwy, skromny, wykształcony zgodnie z wymogami, jakie obowiązywały w tym czasie. Powinien władać bronią. Miecz, jak wiemy, jest duszą samuraja, więc szermierkę trenowali zawsze, ale w czasie walk miecz dobywano w ostateczności.

Ważna była też szczerość, „szczerze serce”, czyli to, że się nie skrywa jakichś złych myśli, np. wobec tych, którzy są naszymi sojusznikami.

Nam samuraj kojarzy się przede wszystkim z mieczem i seppuku.

– Samobójstwo poprzez rozcięcie sobie brzucha krótkim mieczem jest bardzo typowe dla Japończyków i obecne w niemal całej historii samurajów, od kiedy zaczęli być ważni na arenie politycznej Japonii. Pierwszy przypadek podobno zanotowano, kiedy zaczęły się walki między rodami Taira i Minamoto, właśnie w wykonaniu pana z rodu Minamoto, czyli w XII wieku.

Powiedziałam, że samuraj nie mógł żyć w hańbie. Jeżeli jego cel nie został osiągnięty, czy to przeciwnik go pokonał w bitwie, czy w związku z jakąś ideą, z jakimś sposobem na życie, który był ważny, a nie udało mu się go zrealizować, to wtedy jedyną drogą było popełnienie seppuku. Poza tym było ono stosowane też jako kara, uważano, że jest to śmierć honorowa. Mamy sławny przypadek 47 roninów, którzy postanowili pomścić śmierć swojego pana i zabili sprawcę. Ponieważ to był już czas pokoju, początek XVIII wieku, władze wojskowe długo się zastanawiały, jak ich ukarać za to zabójstwo. Zgodzono się, że popełnią samobójstwo. Ich groby są w Tokio, ciągle odwiedzane, historia 47 roninów pojawia się też w sztukach teatralnych, w filmach.

Inny przykład to seppuku dokonywane po śmierci pana, czyli junshi. Takiej śmierci uniknął właśnie autor opowieści o życiu pod bokiem pana Nabeshimy, który przed swoją śmiercią zabronił wiernemu wasalowi odebrać sobie życie.

Część wojowników nie wyobrażała sobie życia bez pana. Teoretycznie taki wojownik zostawał roninem. Czasami zdarzało się, że ktoś inny przyjmował go na swoją służbę, na przykład następca zmarłego, ale ci najbardziej wierni chcieli odejść wraz ze swoim panem. W okresie Edo zabroniono tego proceduru, żeby ludzie nie tracili życia niepotrzebnie. Ale ostatni taki przypadek miał miejsce już w XX wieku, po śmierci cesarza Meiji w 1912 roku.

Gdy się zaczęły uroczystości pogrzebowe, jeden z jego generałów, Maresuke Nogi, rozciął sobie brzuch mieczem.

Samobójstwo popełniła też jego żona. Kobiety przeważnie szły w ślady mężów, tylko że przecinały sobie tętnicę szyjną sztylblem.

Właśnie, co z kobietami samurajów? W filmie Kurosawy nie istnieją.

– Kobiety odgrywały bardzo ważną rolę, bo wychowywały dzieci samurajskie zgodnie z kodeksem bushidō. Generalnie były podporządkowane mężom, co też wynikało z powinności konfucjańskich. Nie oznacza to jednak, że zawsze były potulne, nie miały swojego zdania i nie robiły niczego ważnego. Zdarzały się nawet wojowniczk. W historii walk Minamotów z Tairami pojawiają się waleczne bohaterki. Kobiety przeważnie walczyły naginatą, czyli włócznią. W późniejszym okresie bywało, że gdy mąż walczył poza domem, broniły zamku, domu przed wrogiem. W okresie bakumatsu, czyli schyłku siogunatu, kiedy dochodziło do rozruchów, w niektórych domenach powstały nawet oddziały kobiece, które wspierały mężczyzn.

Moją ulubioną bohaterką i ważną postacią dla ówczesnej i późniejszej historii Japonii jest Yae z domu Yamamoto, która świetnie władała bronią palną, strzelbą. Kiedy nastały nowe czasy, po restauracji władzy cesarskiej w 1868, wyszła za mąż i stała się bardzo aktywną działaczką społeczną, była sanitariuszką w okresie pierwszych wojen, które Japonia toczyła pod koniec XIX i na początku XX wieku, z Chinami i z Rosją. Oprócz tego kultywowała sztuki, była np. mistrzynią drogi herbaty, ale też założycielką żeńskiej szkoły Dōshisha w Kioto.

Kiedy nastąpił koniec samurajów?

– W 1877 roku doszło do ostatniej bitwy, kiedy Takamori Saigō i inni samurajowie wyruszyli przeciwko armii z poboru. Choć Saigō długo wspierał cesarza, walczył, by przywrócić go do władzy, tak jak wielu nie mógł pogodzić się z utratą pozycji klasy rządzącej i przywilejów stanu rycerskiego. Wielu nie mogło się odnaleźć w nowych czasach. Ponadto samurajom nakazano obcięcie długich włosów, a przede wszystkim zakazano publicznego ukazywania się z mieczami, które przecież były ich symbolem.

Ostatnie głośne seppuku w stylu samurajskim popełnił sławny pisarz Yukio Mishima.

– Bo nie zrealizował swojej idei. Chciał, by Siły Samoobrony przywróciły realną władzę cesarzowi, ale żołnierze go nie posłuchali, więc postanowił się rozstać z życiem. To był rok 1970.

Są jakieś inne echa kultury samurajskiej we współczesnej Japonii?

– W popkulturze ich jest mnóstwo. Nobunaga jest chyba nadal w dziesiątce najpopularniejszych bohaterów japońskich, razem z jego następcą, a wcześniej wasalem i zresztą synem chłopca, Hideyoshim Toyotomim, bardzo dobrym strategiem. To są postaci znane, obecne w grach komputerowych, anime, mangach. Największa stacja telewizyjno-radiowa NHK produkuje seriale o wojownikach, wielką popularnością cieszył się ten o Shinsengumi, czyli policji sioguna z końca siogunatu Tokugawów, czyli lat 60. XIX wieku. Lojalność wobec pana jest też obecna w japońskiej kulturze korporacyjnej. ●

nasilają się walki o dominację w regionie. Ten proces nazywa się „wypieraniem góry przez dół”, czyli tych możnych ze stolicy przez lokalnych wojowników. Jednym z najsławniejszych jest Nobunaga Oda, który szybko podporządkował sobie jedną trzecią Japonii. Zaliczany jest do tzw. sengoku daimyō, czyli panów feudalnych okresu sengoku.

W okresie Edo (1603-1868), za czasów siogunów z rodu Tokugawa zjednoczoną Japonię podzielono na ponad 250 posiadłości, które należały do panów feudalnych, określanych już tylko jako daimyō.

Czy wyzysk feudalny w Japonii w tym czasie można porównać z wyzyskiem w Europie?

– Myślę, że chłop wszędzie miał tak samo źle. Musiał płacić podatki, które były w miarę określone na ziemiach należących do sioguna, ale jeżeli pracował na ziemi jakiegoś pana feudalnego, to ten mógł je zwiększać właściwie dowolnie.

Chłopi ubożeli, głodowali, w ich rodzinach dochodziło nawet do dzieciobójstwa, co się brzydko nazywało „pieleniem”. Ograniczano w ten sposób liczbę osób w rodzinie do wyżywienia.

Czy możliwy był awans klasowy?

– W zjednoczonej, podporządkowanej siogunowi Japonii, mniej więcej w połowie XVII wieku, społeczeństwo formalnie podzielono na klasy. Byli wojownicy jako klasa rządząca, chłopci, rzemieślnicy i artyści oraz czwarta, najbardziej poniżana klasa kupców. Praktycznie obowiązywał zakaz przechodzenia z klasy do klasy. Zdarzały się ucieczki chłopów z ziemi, ale przeważnie byli bardzo surowo karane.

Główny bohater w filmie Kurosawy, Kikuchiyo, grany przez Toshirō Mifune, jak się okazuje, pochodził z chłopstwa, czyli był takim fałszywym samurajem.

– W filmie nie sprecyzowano, jak do tego doszło, ale takie przypadki się zdarzały. Bogaty chłop mógł czasami, przez odpowiednie kontakty, zdobyć status samurajski i dwa miecze. Były też przypadki małżeństw córek bogatych chłopów z samurajami. Hirobumi Itō, wojownik, a następnie pierwszy premier Japonii (1885-88), był synem chłopca, ale wychowanym w rodzinie samurajskiej.

oddziałów piechoty ashigaru, lekkostopych. Niektórzy z nich zdobywali miecze samurajskie. Ale kiedy zaczął się proces jednoczenia Japonii, od lat 70. XVI wieku, przystąpiono do tzw. polowania na miecze, odbierano je tym, którzy nie byli wojownikami. Jednym z powodów takich działań było przeciwdziałanie wystąpieniom zbrojnym przeciwko wojownikom.

Skąd się wzięli samurajowie?

– Warstwa wojowników zaczęła się kształtować w IX-X wieku. Byli potrzebni m.in. jako ochrona posiadłości w prowincjach, zarówno państwowych, jak i prywatnych. Zatrudniano ludzi, którzy potrafili władać bronią. Początkowo były to grupy rodzinne, jacyś krewni dowodzącego, ale w miarę rosnących potrzeb rozrastały się, powstawały oddziały zbrojnych, bushi, i zależności wasalne. Potem, o czym wspomniałam, zaczęło dochodzić do konfliktów na dworze cesarskim i wśród arystokratów, tam także potrzebowano ochrony. Arystokraci przeważnie źle ich traktowali, uważano ich za nieokrzesanych, ale niezbędnych. I stopniowo umacniali oni swoją pozycję, aż ostatecznie zdominowali Japonię.

Szczególnie ważne stały się w stolicy dwa rody wojowników – Minamotowie i Tairowie. Doszło jednak między nimi do rywalizacji i ostatecznie w 1185 roku w bitwie morskiej w cieśninie Dannoura Minamotowie zwyciężyli. Kilka lat później głowa tego rodu, Yoritomo, został pierwszym siogunem w Japonii. Siogunów zawsze mianował cesarz, a ich zadaniem było utrzymanie spokoju w kraju.

Siogunowie mieli związki z rodem cesarskim?

– Większość z nich, jak wspomniane rody Minamoto i Taira, pochodziła od cesarzy. Szczególnie ważny był ród Minamoto. Ale cesarz cedował na nich władzę, by utrzymywali spokój w kraju. Dlatego wspierał też Nobunagę Odę, który nie miał takich korzeni, ale też nie został siogunem.

Czym był kodeks samurajski bushidō?

– Tłumaczymy to jako droga bushi, czyli droga wojownika. W kulturze Japonii mamy wiele dróg, to jest takie podejście filozoficzne: droga herbaty, droga miecza. Są to normy moralne dotyczące samurajów,

ANTON DROBOWYCZ



MORATORIUM NA EKSHUMACJE *to mit*

W Ukrainie nie obowiązuje uniewinnienie za Tragedię Wołyńską.
Przeciwnie, przyjęto, że ci, którzy brali udział w mordach na ludności cywilnej,
nie mogą być uznani bez zastrzeżeń za bohaterów.

Od redakcji. Od kilku lat trwa polsko-ukraiński spór o ekshumację polskich ofiar rzezi wołyńskiej. 2 października na stronie internetowej Ukraińskiego Instytutu Pamięci Narodowej pojawił się komunikat, w którym strona ukraińska deklaruje, że w 2025 roku może dojść do ekshumacji w obwodzie rówieńskim. Jeśli rzeczywiście do nich by doszło, być może byłby to przełom w sprawie. Dzień po opublikowaniu komunikatu na łamach „Ukraińskiej Prawdy” ukazał się artykuł Antona Drobowycza, dyrektora Ukraińskiego Instytutu Pamięci Narodowej, który tłumaczy punkt widzenia na tę sprawę strony ukraińskiej. Publikujemy go w całości.

W ostatnich miesiącach trudno nie zauważyć, jak zmieniła się retoryka Polski wobec Ukrainy. Na łamach czołowych ukraińskich i polskich czasopism zaroilo się od ostrych cytatów polskich polityków, którzy domagają się sprawiedliwości historycznej, zrozumienia i zgody na prowadzenie poszukiwań oraz ekshumacji ofiar Tragedii Wołyńskiej.

Część ekspertów do spraw międzynarodowych zaczęła twierdzić, że nasi zachodni sąsiedzi rzeczywiście mogą podjąć próbę zablokowania lub spowolnienia integracji europejskiej Ukrainy, gdy nasze

społeczeństwo i politycy nie pójdą na ustępstwa w kwestiach historycznych.

I choć żaden z wysokich urzędników państwowych nad Wisłą nie opisał wyczerpująco i szczegółowo, o jakie ustępstwa chodzi, to może się okazać, że tak naprawdę nikogo nie interesuje zgłębianie treści ewentualnego porozumienia.

POLITYCY KONTRA HISTORYCY

W relacjach między państwami, szczególnie bliskimi i sąsiednimi, historia nigdy nie będzie wyłącznie historią, zawsze będzie mieć zabarwienie lub posmak polityczny. Co nie oznacza, że należy zrezygnować z dialogu i harmonizacji polityk historycznych państw w celu zmniejszenia napięć oraz zapobieżenia konfliktom w przyszłości. Zadanie nie należy do łatwych, na pewno też nie uda się dojść do porozumienia w 100 proc. spraw, ponieważ społeczeństwa zawsze będą miały różne poglądy na określone wydarzenia, liczby i okresy historyczne. Nie możemy jednak zrezygnować z dążenia do tego celu.

W relacjach z Polakami do tematów trudnych należą wydarzenia z początku XX wieku, okres

XX-lecia międzywojennego i kwestia najbardziej ostra, czyli Tragedia Wołyńska. Nie chodzi wyłącznie o kwalifikację konfliktu narodowościowego pomiędzy ukraińskimi i polskimi formacjami powstańczymi w latach 1943–1945, lecz także o jego przyczyny, określenie liczby ofiar oraz procedurę i sposób ich upamiętnienia.

W relacjach międzypaństwowych przeszłością zajmujemy się na pięciu poziomach poprzez: działania na najwyższym szczeblu politycznym (międzypaństwowe komisje ds. porozumienia, resortowe grupy robocze, przygotowywanie i przyjmowanie dokumentów ramowych w sprawie kwalifikacji wydarzeń z przeszłości oraz określenia wspólnej wizji współpracy i przyszłości);

działania środowisk eksperckich dla zapewnienia dialogu o historii i kulturze; prowadzenie badań w miejscach pochówku ofiar, a także zbrodni i zabójstw;

przeprowadzanie (w razie potrzeby) ekshumacji i ponownych pochówków; uporządkowanie miejsc pamięci poprzez umieszczanie tablic oraz innych znaków pamięci, a także wzniesienie pomników i muzeów oraz współczesnych form memorializacji.

◄ **Polscy archeolodzy podczas prac ekshumacyjnych w 2013 roku niedaleko Włodzimierza Wołyńskiego**

FOT. JAKUB ORZECHOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Podstawą wymienionych form współpracy powinno być ustawodawstwo naszych państw i Umowa między Rządem Rzeczypospolitej Polskiej a Rządem Ukrainy o ochronie miejsc pamięci i spoczynku ofiar wojny i represji politycznych, podpisana w Warszawie w dniu 21 marca 1994 roku.

Wymienione działania wymagają profesjonalnych studiów, przebadania archiwów i świadectw [uczestników wydarzeń], a także zaangażowania historyków, kulturologów, archeologów, specjalistów od poszukiwań i prac budowlanych, a czasem także kryminologów i biegłych sądowych z medycyny.

To sfera, w której zasadniczo liczyć się powinny opinie specjalistów, a nie polityków. Oczywiście przy założeniu, że celem jest poznanie przebiegu wydarzeń, rozwiązanie trudnych problemów i oddanie czci zmarłym. Na podstawie świeżej dyskusji w polskich mediach można sądzić, że większość głośniejszych komentarzy wypowiedzieli politycy różnych szczebli, a nie historycy, specjaliści od pochówków i archiwści. I to nie w kwestiach ogólnych, lecz bardzo specjalistycznych – prac poszukiwawczych i ekshumacji.

Opinia publiczna zwraca uwagę na wymienione tematy, bo dotyczą spraw bardzo drażliwych – przemocy wobec niewinnych osób i przenoszenia szczątków ludzkich. Charakterystyczne, że większość wypowiedzi polityków nie zawierała żadnych konkretów co do lokalizacji [pochówków] ani określenia sposobu opieki nad nimi. Skupiono się natomiast na wymiarze etycznym zagadnienia, twierdząc, że nieetyczny jest zakaz ekshumacji.

W ferworze dyskusji część komentatorów przekroczyła granice zdrowego rozsądku, twierdząc, że w Ukrainie polskie „kości leżą na polach, rowach i studniach Wołynia i Galicji”.

Na dowód nie przytoczyli jednak żadnych przykładów, choć zgodnie z danymi Ukraińskiego Instytutu Pamięci Narodowej zdecydowana większość znanych polskich miejsc pamięci w Ukrainie (nawet nielegalnych) ma kształt grobów, oznaczona jest tablicami pamiątkowymi lub co najmniej krzyżami. W nieznanych zaś pochówkach nie można przeprowadzić natychmiastowej ekshumacji, jak tego żąda wielu komentatorów, ponieważ najpierw trzeba je odnaleźć i zbadać.

Opisany format relacji dwustronnych, budowany wokół wypowiedzi pozamerytorycznych, nie wskazuje na chęć nawiązania normalnego dialogu i dokonania postępu w kwestiach historycznych. Przeciwnie, pokazuje próbę upolitycznienia sprawy upamiętnień i historii. Strona polska przy tym niemal całkowicie ignoruje fakt, iż powodem niechęci do udzielania zezwoleń na prace poszukiwawcze i ekshumacyjne w Ukrainie jest brak odnowienia ukraińskich upamiętnień [w Polsce] po ich zniszczeniu w 2015 roku.

MIT „MORATORIUM”

W licznych polskich wypowiedziach szczególnie zaskakuje powracanie do tematu „moratorium na poszukiwania i ekshumacje”. Od czasu do czasu pojawia się on nawet w mediach i opiniach ukraińskich ekspertów, choć owo moratorium nie istnieje prawnie i praktycznie. Ustawodawstwo ukraińskie nie przewiduje procedury ustanowienia moratorium, zaś przepisy sektorowe nie zawierają mechanizmu jego zaprowadzenia i upoważnienia w tej sprawie dla któregośkolwiek urzędnika państwowego.

Ministerstwo Kultury i Komunikacji Strategicznej wydaje zezwolenia na prace poszukiwawcze, czyli przebadanie miejsc ewentualnych pochówków lub miejsc zgonów. Z kolei Państwowa Międzyresortowa Komisja ds. Upamiętnienia Uczestników Operacji Antyterrorystycznej, Ofiar Wojny i Represji Politycznych wydaje zezwolenia na prace ekshumacyjne i stawianie pomników. Wyłącznie te instytucje rozpatrują wnioski o prowadzenie wymienionych prac oraz podejmują stosowne decyzje (lub wnioski odrzucają), opierając się na jakości przedłożonych dokumentów i ocenie zasadności samego wniosku. Nie mogą natomiast ustanawiać zakazów o charakterze systemowym. Rzecz jasna wymienione organy władzy państwowej biorą pod uwagę wywiązywanie się lub niewywiązywanie się ze swoich zobowiązań przez partnerów zagranicznych, lecz również w tym przypadku nie mają prawa nakładać trwałych ograniczeń.

Wferworze dyskusji część komentatorów przekroczyła granice zdrowego rozsądku, twierdząc, że w Ukrainie polskie „kości leżą na polach, rowach i studniach Wołynia i Galicji”

Poza tym fakty nie potwierdzają polskich wypowiedzi na temat „moratorium”. Od 2019 r. strona polska otrzymała trzy zezwolenia na prowadzenie prac poszukiwawczych, ostatnie wydano po podpisaniu memorandum ministrów kultury w 2022 roku. Badania zaś przeprowadzono w roku następnym na terenie byłej wsi Puźnyki w obwodzie tarnopolskim.

Nie we wszystkich przypadkach zachodzi potrzeba ekshumacji po przeprowadzeniu badań miejsc pochówku. Jeśli bowiem szczątkom doczesnym nie grozi niebezpieczeństwo bądź gdy w pobliżu niczego się nie buduje czy też skład gleby nie prowadzi do uszkodzenia pochówków – wówczas eksperci z reguły zalecają upamiętnienie bezpośrednio w miejscu odkrycia szczątków. Czyli bez naruszania spokoju zmarłych, narażania integralności szczątków podczas wydobycia z ziemi, transportu i ponownego pochówku. Oprócz tego ustanowienie pamiątkowego znaku, wzniesienie mogiły lub pomnika będzie wymagało zaangażowania mniejszych sił i środków.

Ostatnie wypowiedzi polskich osób publicznych na temat ekshumacji nie zawierały analizy sytuacji i wskazania konkretnych miejsc pochówku. Polska strona milczy też o niewywiązywaniu się ze swoich zobowiązań, ignorując przy tym fakt, że [ukraińskie] moratorium nie istnieje. Wszystko to świadczy bardziej o motywach politycznych niż o intencji związanej z etyką, podejściem humanitarnym czy też chęci prowadzenia dialogu.

„DLACZEGO MAMY ZMIENIAĆ TAKTYKĘ?”

W zeszłym miesiącu rozmawiałem z posłem na Sejm RP z ramienia Prawa i Sprawiedliwości – nigdy nie należał do „jastrzębi” i zawsze zajmował stanowisko raczej umiarkowane. Gdy rozmowa zmierzała ku końcowi, niespodziewanie zadał bezpośrednie pytanie na temat polsko-ukraińskich porozumień w sprawach historycznych: „Dlaczego sądzicie, że ktokolwiek zamierza wypełniać zobowiązania podjęte w latach 90.? Nie wywiązujemy się z nich od niemal 10 lat, lecz osiągamy stały postęp. Pozwolenia, choć wolno, lecz są wydawane, zaś o samym problemie dyskutuje się na najwyższym szczeblu. I nawet posągi lwów umieszczono na Cmentarzu Orląt we Lwowie bez żadnego pozwolenia. Dlaczego nasi urzędnicy mieliby zmieniać swoją taktykę?”.

Mój rozmówca wyrzcił bardzo prostą myśl – dopóki niewywiązywanie się ze zobowiązań przez stronę polską będzie odbierane

jako pozycja silnego, dopóty nikt jej nie zmieni. Problem będzie zagadywany, szukane będą tematy zastępcze dla odwrócenia uwagi od zniszczonej ukraińskiej mogiły w Monasterzu, która stała się kością niezgody. Przede wszystkim jednak będą się koncentrować na tym, że strona ukraińska jest nieustępliwa i nie wydaje pozwoleń na ekshumacje, które mają wymiar humanitarny.

Dopóki opinia publiczna nie pozna szczegółów sprawy i nie da sygnału politykom, że się zagalopowali, dopóty nic się nie zmieni. I nie ma znaczenia, kto jest u władzy, ponieważ zarówno liberalowie, jak i konserwatyści eksploatują tematy, które gwarantują pewną wygraną.

W Polsce są jeszcze ludzie, którzy trzeźwo patrzą na sytuację, jak byli minister spraw zagranicznych Jacek Czaputowicz. Gotowi publicznie nazwać taką politykę podczas wojny „polityką hieny”.

To jednak wyjątek, a nie poważny mainstream zdolny zmienić nastawienie

Wferworze dyskusji część komentatorów przekroczyła granice zdrowego rozsądku, twierdząc, że w Ukrainie polskie „kości leżą na polach, rowach i studniach Wołynia i Galicji”

koalicyjnego rządu Donalda Tuska czy też bardziej bezkompromisowe stanowisko PiS.

Dlatego łamanie przez Polaków zobowiązań i nieodnawianie zdewastowanych grobów, na co w polskich mediach nie zwrócono nadmiernej uwagi, może być celową taktyką. Okazuje się bowiem, że odmowa wydawania pozwoleń Polakom lub niechęć ich udzielania przez władze ukraińskie – co narusza powzięte zobowiązania – natychmiast nagłaśnia się w polskich mediach i upolitycznia. Taka strategia medialna się opłaca, bo sprawa oburza zwykłych wyborców i podnosi notowania najbardziej zagorzałych „bojowników o prawdę historyczną”. Choć przez dziesięciolecie obowiązywała zasada równorzędnej współpracy i podejmowania decyzji lustrzanych [upamiętnienie w Ukrainie, upamiętnienie w Polsce].

W tej sytuacji znika argument zdrowego rozsądku i równoprawności, na co coraz częściej zwracają uwagę postronni obserwatorzy, nawet w UE. Z polskiej retoryki i beczynności [w sprawie upamiętnień ukraińskich] naprasza się wnioski, że dla nich [Polaków] liczy się wyłącznie godność polskich ofiar i zachowanie polskich pomników, bo ukraińskie nie mają znaczenia. Pomimo oczywistej wymowy wielu faktów nie chciałbym, żeby podobne stwierdzenie okazało się prawdą. I żeby europejski naród realizował podobną strategię wobec sąsiedniego państwa, zwłaszcza podczas toczącej się wojny.

W tym kontekście optymizmem napawa wypowiedź prezydenta Polski Andrzeja Dudy, który zaapelował, by nie wiązać kwestii historycznych z przystąpieniem Ukrainy do UE. Pozostaje żywić nadzieję, że nowy polski rząd upora się z zawilościami sytuacji i podejmie właściwe decyzje, resetując stosunki ukraińsko-polskie w sferze historycznej.

PRZEKSZTAŁCANIE WROGOŚCI W POLITYKĘ

Rozgoryczenie opisaną sytuacją jest wynikiem wydarzeń ostatniej dekady, głównie za sprawą polskich konserwatystów. Podważono osiągnięcia z lat 90. i pierwszej dekady XXI wieku, czyli działań obu społeczeństw na rzecz dialogu historycznego na podstawie wartości ogólnoludzkich, zasad chrześcijańskich i zdrowego pragmatyzmu. Wielką zasadą „Przebaczamy i prosimy o przebaczenie”, która czerwona nicią przewijała się przez liczne dokumen-

ty dwustronne, strona polska odrzuciła, zastępując ją nieustannymi pretensjami i żądaniami. Opartymi nie na faktach i kontekście stosunków dwustronnych w XX w., lecz – jak przestrzegał parlament ukraiński – na „upolitycznieniu tragicznych kart ukraińsko-polskiej historii”.

W efekcie znaczna część polskiego społeczeństwa jest „nakręcona” przez polityków i wrogo nastawiona do Ukraińców w sprawach historycznych. Przede wszystkim przez uproszczoną wizję wydarzeń Tragedii Wołyńskiej oraz ekstrapolowanie odpowiedzialności za nią na współczesną Ukrainę. Natomiast zdecydowana większość Ukraińców słabo interesuje się tymi wydarzeniami i nie żywi wobec Polski urazy. Ani za konsekwencje współpracy Petlury z Piłsudskim, politykę sanacji i pacyfikowanie Ukraińców, czyli de facto agresywną asymilację w okresie międzywojennym. Czy też za liczne ukraińskie ofiary polskich formacji podziemnych z lat 40. i akcję „Wisła”.

Ukraińcy pozytywnie postrzegają polskich sąsiadów dzięki przyjaznym relacjom z ostatnich dekad. Na oficjalnym szczeblu nie obowiązuje uniewinnienie za Tragedię Wołyńską, przeciwnie, przyjęto, że ci, którzy brali udział w mordach na ludności cywilnej, nie mogą być uznani bez zastrzeżeń za bohaterów. Nie mogą unikać osądu, nawet jeśli chodzi o weteranów walk o niepodległość Ukrainy.

Opisana sytuacja nie może trwać wiecznie i w szerokich kręgach społeczeństwa ukraińskiego może się zrodzić antypolski resentment. Stanie się tak, gdy konfrontacyjna retoryka się utrzyma, strona polska będzie tolerować akty wandalizmu wobec ukraińskich grobów i miejsc pamięci, żądając jednocześnie ustępstw w zakresie upamiętnień polskich w Ukrainie. Gdy politycy polscy będą ogólnikowo oskarżać Ukraińców o zbrodnie z przeszłości bez podjęcia rzeczywistego dialogu ekspertów. Wówczas skoncentrowanie się na wrogości stanie się polityczną normą, zaś sprawy historyczne zatrują stosunki dwustronne.

Trudno o większy powód do radości dla rosyjskich imperialistów i putinowskich propagandystów.

W tej sytuacji plan działania ukraińskich i polskich urzędników państwowych oraz osób zaangażowanych w rozwiązywanie problemów historycznych wydaje się oczywisty. Jeśli zależy nam na dobru Ukraińców i Polaków, musimy przejść do działań konstruktywnych i profesjonalnych, zgodnie z zasadą „mniej deklaracji politycznych, a więcej czynów”. Mapa drogowa mająca na celu przezwyciężenie obecnego kryzysu jest następująca:

- odnowienie zdewastowanych upamiętnień ukraińskich w Polsce;
- udzielanie Polakom wszystkich niezbędnych pozwoleń na prace poszukiwawcze i ekshumacyjne (obecnie wiadomo o 10 lub 12 wnioskach);
- udostępnienie przez obie strony działek pod rozbudowę cmentarzy i rozszerzenie terenu przeznaczanego na miejsca pochówków, np. w Pikulicach [Polska] i Mościskach [Ukraina];
- uruchomienie instytucjonalizacji dla rozwiązania problemu pochówków i miejsc pamięci narodowej – w formie wspólnej komisji instytutów pamięci narodowej (zgodnie z porozumieniem z 2020 r.) bądź komisji międzyresortowej ministerstw kultury (porozumienie z 2022 r.);
- przywrócenie Ukraińsko-Polskiego Forum Historyków lub podobnego forum pracy nad złożonymi tematami historycznymi i wypracowania nie populistycznego, lecz rzeczywistego obrazu wydarzeń z przeszłości z upowszechnieniem efektów jego prac obu społeczeństwom.
- I punkt ostatni. Proces ten powinien się zakończyć przyjęciem wspólnego oświadczenia ramowego na najwyższym szczeblu politycznym, które uzdrowi sytuację, potępi upolitycznienie historii i nada priorytet uczciwości i pojednaniu po prawie dekadzie turbulencji. ●

Tłum. Mirosław Czech



Drugiego listopada 1920 roku w Stanach Zjednoczonych odbywało się powszechne głosowanie, które miało wyłonić 29. prezydenta USA. W szranki stanęli Warren G. Harding z Partii Republikańskiej oraz James M. Cox, z Partii Demokratycznej. Była to pierwsza elekcja prezydencka od czasu zakończenia I wojny światowej, a także pierwsza po wprowadzeniu 19. poprawki do konstytucji amerykańskiej, która gwarantowała prawa wyborcze kobietom.

W głosowaniu triumfował Harding, zdobywając przeszło 60 proc. głosów obywateli i 404 głosy elektorskie. O godzinie 20 informację tę ogłosiła rozgłośnia KDKA z Pittsburgha, głosem pierwszego radiowego spikera, Leo H. Rosenberga, choć człowiekiem odpowiedzialnym za to był rodowity mieszkaniec Pittsburgha, 46-letni wówczas Frank Conrad.

Dane o wynikach wyborów uzyskano telefonicznie, od redakcji „Pittsburgh Post”. Audycji słuchało jakieś 100 osób, ale poznali wyniki dużo wcześniej niż miliony, które musiały czekać do następnego dnia, by kupić gazetę. Ową audycję uważa się za pierwszą audycję radia publicznego na świecie.

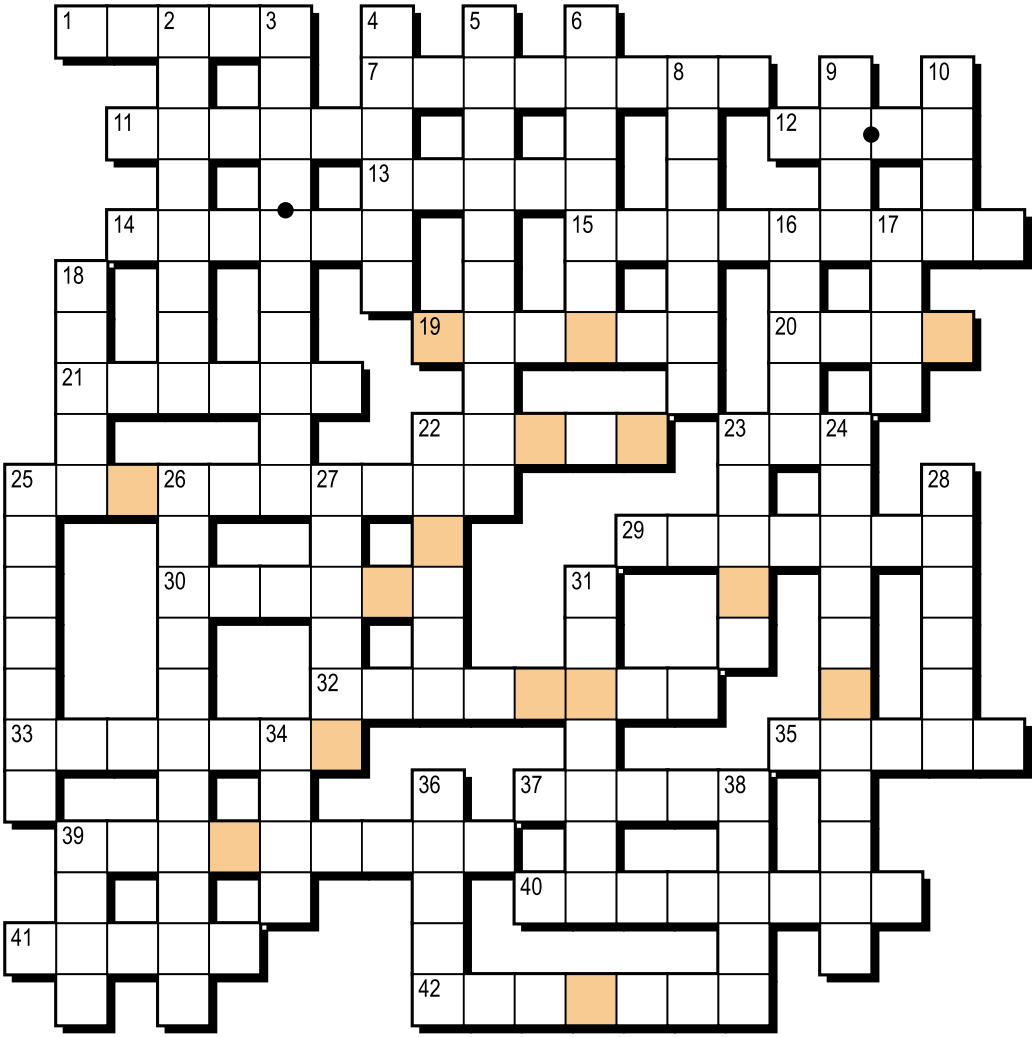
Nie ma pewności, czy już wówczas stacja nazywała się KDKA czy może wciąż posługiwała się pierwotnie nadanym kodem 8ZZ. Na pewno była jednak rozgłośnią założoną przez firmę Westinghouse Electric & Manufacturing Company. I tu wracamy do wspomnianego Conrada, który w Westinghouse rozpoczął pracę w warsztatach serwisujących firmowe sklepy. Miał wtedy zaledwie 16 lat i formalnie ukończone 7 klas podstawówki, ale szybko zwrócił na siebie uwagę przełożonych i awansował w strukturze – w wieku 30 lat był generalnym inżynierem. W ciągu życia uzyskał przeszło 200 patentów, m.in. na licznik energii elektrycznej.

Interesował się także radiem, w 1916 roku otrzymał licencję (o kodzie 8XK) na amatorski nadajnik radiowy, ale rychło wojna wymusiła zakaz nadawania stacjom amatorskim i prywatnym. Conrad wrócił do radia po wojnie. 17 października 1919 roku nadał audycję muzyczna – puszczał muzykę ze swojej prywatnej kolekcji płyt. Spodobało się, nasz didżej wprowadził więc regularne „programy”, a kiedy skończyła się jego płytoteka, dogadał się z lokalnym sklepem muzycznym – ten dostarczał Conradowi płyt w zamian za informację, gdzie i za ile można je kupić.

Potem Conrad transmitował też koncerty członków swojej rodziny, a kiedy jego programy zdobywały coraz większą popularność, Westinghouse postanowiło powołać do życia własną rozgłośnię radiową.

Dzisiejszą „Weekendówkę”, na cześć owej pierwszej oficjalnej audycji radiowej, z 2 listopada 1920 roku, poświęcamy więc radiu, radiowcom i sławnym programom. Miłego odbioru!

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie
„Weekendówki”
nr z 26.10:

- Poziomo:** : 4) gwiazda
5) Kalifornia 7) Maria
9) Predator 11) Niezniszczalni
12) bohater 15) cyborg
17) Bunt maszyn 18) Iwan
20) plan 21) John 24) filmy
25) kloce 26) atlas
27) Chicago 29) Brigitte
30) Slater
Pionowo: 1) ciąża
2) Commando 3) gorączka
4) gaże 5) kariera
6) morderca 8) Arnie
9) przedszkole 10) Danny
12) Ben Richards 13) True
Lies 14) ratunek 15) Conan
16) Bliźniacy 19) Nowy Jork
22) atleta 23) pomnik
28) hity

HASŁO: KAKTUS JACK

Od redakcji: W diagramie wkrađł się błąd, przedostatnia litera hasła powinna być w polu L16, a nie M16 (w określeniu 27 poziomo: Chicago), czyli zamiast „H” – do hasła powinno być przenieszone „C”. Za błąd serdecznie przepraszamy.

TWOJE RADIO

Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

- 1)** urządzenie, którego nazwa powstała od angielskich słów „radio detecting and ranging”
7) potocznie o najpopularniejszej stacji radiowej w Polsce
11) serwuje muzykę
12) „Radio ...”, hit grupy Queen
13) ... Furtado, nagrała piosenkę „... on the Radio”
14) może być nadawca albo odbiorca
15) zasiedli przy radioodbiornikach
19) wpłaca pieniądze, by wesprzeć działalność np. radia internetowego
20) audycja „... z radiem”, co roku w Jedyńce
21) obdarzony „radiowym” głosem, czyta listy dialogowe do filmów, audiobooki

- 22)** ... Waters, nagrał płytę „Radio K.A.O.S.”
23) ... Hanks, zagrał w „radiowym” filmie „Bezsennosc w Seattle”
25) potocznie o dawnym przenośnym radyku na baterie
29) debiutują na liście przebojów
30) Radio Wolna ..., jego dyrektorem był m.in. Jan Nowak-Jeziorański
32) fachowcy zapraszani do audycji radiowych
33) nazwisko Beyoncé, wykonawczyni utworu „Radio”
35) dawna dzierzoniowska fabryka radioodbiorników, powstała w 1945 r.
37) „... Dziadek”, kojarzona z audycją z określenia 20 poziomo
39) prowadzi program, odczytuje wiadomości, zapowiada piosenki
40) „Radio Nowhere” Bruce’a Springsteena
41) ... Suflera („Twoje radio”)
42) pozycja w programie radiowym

Pionowo:

- 2)** serwis informacyjny (potocznie)
3) zespół, który nagrał piosenkę „Radio młodych bandytów”
4) codziennie w samo południe w radiowej Jedyńce
5) odpowiada za jakość dźwięku podczas audycji
6) ... dźwięku, skomponował muzykę do programu radiowego
8) głośniki o dużej mocy
9) ... akustyczna, działa na organ słuchu
10) „W kawiarniany gwar jak tornado ... się wdarł” – w piosence, w której „kumpel radio zniósł”
16) „Radio ...”, przebój grupy Enej
17) Radio ... Music Hall, sala koncertowa w Nowym Jorku
18) oczyszcza dźwięk z „nieczystości”
22) „Radio ...”, serial telewizyjny z lat. 90.
23) nazwisko autora wiersza „Ptasie radio”

- 24)** Warszawa, ulica ... 3/5/7 (adres radiowej Trójki)
25) zakłócenia w głośnikach
26) Marek, dziennikarz radiowy, wieloletni prowadzący Listy Przebojów Programu Trzeciego
27) The Rolling ..., śpiewają: „When I’m drivin’ my car and the man comes on the radio...”
28) urządzenie do łączenia dźwięków
31) Guglielmo, włoski fizyk, pionier radiotechniki
34) przestrzeń, w której rozchodzą się fale radiowe
36) mass ... (prasa, radio, telewizja, internet)
38) Radio ..., rozgłośnia z Poznania
39) Radio ..., sieć stacji radiowych obejmująca m.in. rozgłośnie diecezjalne

Leszek Rydz

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34310976

wysokiebcasy



NIEobojętne

Wesprzyj kobiety doświadczające przemocy domowej



Kup prenumeratę, a my cały dochód ze sprzedaży prześlemy na akcję

wysokiebcasy.pl/nieobojetne